

JOANNE HARRIS

W TAŃCU

PRZEŁOŻYŁA MAGDALENA GAWLIK-MALKOWSKA

Przedmowa

To smutne, że w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat opowiadanie straciło swoje pierwotne znaczenie. W świecie prozy liczy się teraz objętość, a zatem twórcy krótkich form dołączyli do grona wymierających gatunków. Powszechnie uważa się, że brak im artystycznej odwagi, potrzebnej do napisania powieści z prawdziwego zdarzenia, i dlatego poprzestają na tworzeniu poślednich form „jednorazowych”.

Nic bardziej mylnego. Dobre opowiadanie (a znam kilka nawet bardzo dobrych) pozostaje w pamięci znacznie dłużej niż powieść. Potrafi zdumieć, rozpalić, oświecić i poruszyć daleko bardziej. Często bywa niepokojące, przewrotne lub przerażające. Nasuwa pytania, podczas gdy większość powieści próbuje podsuwać odpowiedzi. Ze wszystkich książek, które przeczytałam i bardzo mi się spodobały, najlepiej zapamiętałam opowiadania, owe przejmujące, anarchistyczne wizje w głąb przeróżnych światów, do serc ludzi.

Niektóre dręczą mnie mimo upływu czasu. Do dzisiaj nie daje mi spokoju los samotnego przechodnia Raya Bradbury’ego. Nadal płaczę nad „Różą dla Eklezjastesa” Rogera Żelaznego i mam ciarki na wspomnienie „Tego wspaniałego życia” Jerome’a Bixby’ego. A za każdym razem gdy wsiadam do metra, ogarnia mnie irracjonalny niepokój wywołany opowiadaniem „Pociąg zwany Moebius”, choć czytałam je, mając zaledwie dwanaście lat, i nawet nie zapamiętałam nazwiska autora.

Uważam, że opowiadanie to forma trudna i czasochłonna. Zawrzeć pomysł na niewielkiej przestrzeni, zachować jego proporcje i utrzymać odpowiedni ton jest zajęciem wymagającym i zarazem frustrującym. Napisanie czterech lub pięciu tysięcy wyrazów w formie powieści zabiera mi jeden dzień, lecz w formie opowiadania pochłania nierzadko dwa tygodnie. Przeważnie moje opowiadania są eksperymentalne, podobnie jak dziadkowe wino. Nigdy nie jestem pewna powodzenia: niekiedy opowiadanie zaistnieje, innym razem umrze śmiercią naturalną jak przydługi dowcip bez puenty. Nie mam pojęcia, dlaczego tak się dzieje. Ale lubię je pisać. Lubię ów wachlarz nieskończonych możliwości, różnorodność, wyzwanie. Piszę je (albo raczej próbuję pisać) od dziesięciu lat. Oto pierwszy zbiór, który ukazuje się w druku.

Faith i Hope jadą na zakupy

Cztery lata temu moja babcia zamieszkała w domu starców w Barnsley. Często ją odwiedzałam, zanim umarła, i owe wizyty dały początek licznym opowieściom. Oto jedna z nich.

Jest poniedziałek, więc na pewno znowu będzie pudding ryżowy. Co nie znaczy, że personel domu Meadowbank przejawia szczególną troskę o nasze zęby. Wynika to raczej z powszechnego tu braku wyobraźni. Jak powiedziałam kiedyś Claire, jest masa rzeczy, których nie trzeba przeżuwać. Na przykład ostrygi. Albo foie gros. Awokado w sosie vinaigrette. Truskawki ze śmietaną. Creme brulee z wanilią i gałką muszkatołową. Skąd zatem owa parada mdłych puddingów i gumowatego mięsiwa? Claire - naburmuszona blondynka, wiecznie żująca gumę - popatrzyła na mnie jak na wariatkę. Zdaniem personelu udziwnione potrawy podrażniają żołądek. Boże broń, aby niedobitki naszych kubków smakowych były narażane na zbyt gwałtowne bodźce. Hope musiała mnie usłyszeć, gdyż uśmiechnęła się nad ostatnim kęsem placka. Może jest ślepa, ale nie głupia.

Faith i Hope. Z takimi imionami mogłyśmy uchodzić za siostry [Faith (ang.) - wiara; hope (ang.) - nadzieja. (Przyp. tłum.)], Kelly - ta z ustami zbyt mocno obrysowanymi konturówką - uważa nas za dziwaczki. „Wiara, nadzieja i miłosierdzie!” podśpiewuje czasami Chris, sprzątając pokoje. Jest najlepszy ze wszystkich. Wesoły i niefrasobliwy, zawsze obrywa za to, że z nami rozmawia. Nosi obcisłe koszulki i kolczyk. Powtarzam mu, że nic nam po miłosierdziu, co niezmiernie go bawi. Mówi, że jesteśmy Hinge i Brackett [Hinge i Brackett - bohaterki angielskiego serialu, popularnego w latach siedemdziesiątych, o perypetiach dwóch energicznych starszych pań. Obie role grali mężczyźni. (Przyp. tłum.)] Butch i Sundance.

Nie twierdę, że to złe miejsce. Jest tylko takie zwyczajne, ale nie swojską zwyczajnością domu, ze znajomą wrzawą i bałaganem. Przywodzi na myśl poczekalnię i szpital, wyczyszczone pomieszczenie, przesycone wonią odświeża - cza powietrza, z dyskretną, acz niezaprzeczną nutą uryny. Z reguły nie mamy wielu gości. Należę do szczęśliwców: mój syn Tom zjawia się co dwa tygodnie ze stosem czasopism i bukietem chryzantem, ostatnio żółtych. W obawie o stan moich nerwów starannie filtruje informacje. Jednakże rozmowa zazwyczaj się nie klei. „Dobrze się czujesz, mamo?” oraz garść uwag na temat ogrodu to wszystko, na co go stać, ale chce jak najlepiej. Hope przebywa tu od pięciu lat, jeszcze dłużej niż ja, i dotąd nikt jej nie odwiedził. W ostatnie święta podarowałam jej

pudełko czekoladek, mówiąc, że przysły od jej córki z Kalifornii. W odpowiedzi posłała mi jeden ze swych ironicznych uśmiezków.

- Jeśli to prezent od Priscilli, skarbie - odparła, sznurując usta - to ty jesteś Ginger Rogers.

Wybuchnęłam śmiechem. Od dwudziestu lat jestem przykuta do wózka; ostatni raz tańczyłam w czasach, gdy mężczyźni nosili kapelusze.

Ale jakoś dajemy sobie radę. Hope pcha mój wózek, a ja mówię jej, którędy ma iść. Nie, żeby to było szczególnie potrzebne; ostatecznie są rampy. Jednakże pielęgniarki lubią, jak sobie wzajemnie pomagamy. Odpowiada to ich filozofii praktycznego wykorzystania wszystkich dostępnych środków. No i, oczywiście, czytam na głos. Hope uwielbia opowieści. W gruncie rzeczy to ona pierwsza zachęciła mnie do lektury. Przeczytałyśmy „Wichrowe Wzgórze”, „Dumę i uprzedzenie” oraz „Doktora Żywago”. Nie mamy tu wielu książek, ale co miesiąc przyjeżdża biblioteka objazdowa i wtedy Lucy wypożycza nam coś dobrego. Jest studentką i zna się na rzeczy. Kiedyś tylko nie chciała wypożyczyć „Lolity”, więc Hope była zła. Lucy uznała, że to dla nas nieodpowiednia lektura.

- Książka jednego z najwybitniejszych pisarzy dwudziestego wieku to twoim zdaniem nieodpowiednia lektura! - Hope wykladała niegdyś w Cambridge, pewno dlatego w jej głosie wciąż pobrzmiwa czasem władczy ton. Ale Lucy nie dała się przekonać. One wszystkie, nawet te najmiłsze, mają na twarzy ów charakterystyczny, pobłażliwy uśmiezek, mówiący „Ja wiem lepiej”. „Ja wiem lepiej, bo ty jesteś stara”. I znowu pudding ryżowy, mówi Hope. Ryżowy pudding dla duszy.

O ile Hope nauczyła mnie doceniać literaturę, o tyle ja przekonałam ją do czasopism. Były moją pasją od lat: moda, rubryka towarzyska, restauracje, kino. Zaczęłam od recenzji książek, niepostrzeżenie przechodząc do artykułów oraz nowinek ze świata mody. Odkryłyśmy, że mam wrodzony talent do opisywania rzeczy, i odtąd wspólnie oddawałyśmy się rozkosznej kontemplacji świata blichtru, wzdychając nad brylantami Cartiera, szminkami Chanel oraz mnogością ekskluzywnej odzieży. To doprawdy niezwykle. W młodości nie przejawiałam zainteresowania podobnymi sprawami. Sądzę, że Hope ubierała się wtedy z większą elegancją niż ja; wszak chodziła na uniwersyteckie bale i rauty oraz pikniki. Z biegiem czasu różnice między nami zatarły się niemal całkowicie. Ot, wytworność domu opieki. Tutaj ubrania bywają dobrem wspólnym, gdyż niektórzy zapominają, co stanowi ich własność. Najładniejsze rzeczy noszę przy sobie, w specjalnej siatce pod wózkiem. Pieniądze i resztki biżuterii chowam pod tapicerką siedzenia.

Nie powinnam trzymać tu pieniędzy. Nie ma na co ich wydawać, a nie wolno nam wychodzić bez opieki. W drzwiach jest zamek szyfrowy i co poniektórzy próbują wymknąć się wraz z gośćmi. Pani McAllister - lat dziewięćdziesiąt dwa, żwawa i stuknięta - ucieka niemal bez przerwy. Myśli, że wróci do domu.

Chyba zaczęło się od butów. Takich lśniących, skórzanych i soczyście czerwonych, na niebotycznych obcasach. Znalazłam ich zdjęcie w jednym z czasopism i wycięłam. Czasem wyjmowałam je chyłkiem, żeby sobie na nie popatrzeć, nie wiedzieć czemu zmieszana i oszołomiona. Przecież chodziło tylko o buty. Hope i ja nosimy prawie jednakowe pantofle, bezkształtne półbuciki o barwie owsianki, niezaprzeczalnie i dobitnie stosowne. Jednak po cichu marzymy o manolach na sześciocalowych obcasach z pleksiglasu, zamszowych kłapkach w kolorze fuksji albo butach Jimmy'ego Choo [Manolo Blahnik, Jimmy Choo - ekskluzywne marki butów. (Przyp. tłum.)] z ręcznie malowanego jedwabiu. Rzecz jasna to absurd. Jednakże pragnęłam tych pantofli tak gorąco, że niemal mnie to przeraziło. Jeden jedyny raz chciałam wstąpić pomiędzy lśniące kartki czasopisma. Skosztować wykwintnych potraw, obejrzyć filmy, przeczytać książki. Wymarzone buty, ich rozradowana, zuchwała czerwień oraz niebotyczne obcasy stanowiły symbol owego niedostępnego dla mnie świata. Buty stworzone do wszystkiego - przybierania wytwornych i nonszalanckich póz, uwodzenia, stapania, fruwania - tylko nie do chodzenia.

Trzymałam zdjęcie w torebce, rozkładając je czasem niczym mapę prowadzącą do skarbu. Hope wkrótce odkryła, że coś ukrywam.

- Wiem, że to głupie - powiedziałam. - Być może tracę rozum. Pewnie skończę jak pani Banerjee, nosząc dziesięć płaszczy i kradnąc cudzą bieliznę.

Hope roześmiała się na te słowa.

- Nie sądzę, Faith. Doskonale cię rozumiem. - Powiodła dłonią po stole w poszukiwaniu filiżanki z herbatą. Wie działałam, że w podobnych sytuacjach lepiej jej nie pomagać. - Chcesz zrobić coś niestosownego. Ja marzę o egzemplarzu „Lolity”, ty o czerwonych butach. Dla ludzi w naszym wieku są to rzeczy jednakowo niestosowne. - Przy sunęła się bliżej, zniżając głos. - Jest adres? - spytała.

Był. Knightsbridge. Równie dobrze mogła to być Australia.

- Hej! Butch i Sundance! - Wesoly Chris przyszedł umyć okna. - Planujecie napad?

Hope tylko się uśmiechnęła.

-Nie, Christopher - odrzekła przebiegle. - Ucieczkę.

Zaplanowałyśmy ją z chytrą przezornością jeńców wojennych. Miałyśmy działać z zaskoczenia, co dawało nam istotną przewagę. Krzepiąco przewidywalne i bezpiecznie

unieruchomione nie byliśmy nałogowymi uciekinierkami, jak pani McAllister, lecz osobami, na których niezłomnie można polegać. Musiałyśmy tylko odwrócić uwagę pielęgniarki dyżurnej, wywabić ją zza biurka, odciągnąć daleko od wyjścia. Hope zaczęła przesiadywać przy drzwiach, nasłuchując dźwięku wciskanych cyfr, dopóki z całą pewnością nie ustaliła kombinacji. Zaatakowałyśmy z dokładnością wytrawnych strategów. Za dziewięć dziewiąta w piątkowy ranek wyjęłam z popielniczki niezgaszonego papierosa pana Bannermana, po czym wrzuciłam do metalowego kosza z papierem, w moim pokoju. Za osiem dziewiąta byliśmy w holu i zmierzałyśmy w stronę jadalni. Zgodnie z moimi przewidywaniami dziesięć sekund później z sufitu połała się woda. Z naszego korytarza dobiegł krzyk pani McAllister.

- Pożar! Pożar!

Dyżur miała Kelly. Bystra Lucy pewnie pamiętałaby o zabezpieczeniu drzwi, a gruba Claire nie ruszyłaby się z krzesła. Ale Kelly zerwała ze ściany najbliższą gaśnicę i pobiegła w kierunku, skąd dochodził rwetes. Hope pchnęła mnie ku drzwiom, po omacku szukając przycisków. Była dokładnie za siedem dziewiąta.

- Szybko! Ona zaraz wróci!

- Cicho. - Pik-pik-pik-pik. - Mam. Wiedziałam, że lekcje muzyki wreszcie na coś się przydadzą. - Drzwi stanęły otworem. Wymknęłyśmy się na skapaną w blasku słońca żwirową alejkę.

Tutaj Hope potrzebowała mojej pomocy. W prawdziwym świecie nie było ramp. Z wysiłkiem odwróciłam wzrok od nieba i drzew. Tom nie wyprowadzał mnie na dwór od ponad pół roku.

- Prosto. Teraz w lewo. Zatrzymaj się. Przed nami wybój. Ostrożnie. Teraz znowu w lewo. - Wiedziałam, że przystanek znajduje się tuż za bramą. Autobusy kursowały jak w zegarku. Przyjeżdżały pięć minut przed pełną godziną i dwadzieścia pięć po każdej godzinie, kaszląc i posapując niczym emeryci. Przez jedną straszną chwilę byłam przekonana, że przystanek zniknął. W dawnym miejscu prowadzono roboty drogowe; wzdłuż krawężnika biegł rząd równo ustawionych pachołków. Wówczas zobaczyłam, że przesunięto go tymczasowo o jakieś pięćdziesiąt jardów. Zza wzniesienia wyłonił się autobus.

- Naprzód! Biegiem!

Hope zareagowała błyskawicznie. Ma długie i wciąż umięśnione nogi; w dzieciństwie tańczyła w balecie. Wychyliłam się do przodu, mocno ścisnęłam torebkę i wyciągnęłam rękę. Z tyłu dobiegł nas krzyk; obejrawszy się za siebie, ujrzałam Kelly, która wrzeszczała coś w oknie mojego pokoju. Ogarnęły mnie wątpliwości, czy kierowca zabierze staruszkę na wózek, lecz był to autobus kursujący do szpitala, więc miał specjalny podnośnik. Kierowca rzucił

nam obojętne spojrzenie i kiwnął ręką. Gdy znalazłyśmy się w środku, zaczęłyśmy chichotać jak swawolne uczennice. Inni pasażerowie spoglądali na nas bez cienia podejrzliwości. Mała dziewczynka posłała mi radosny uśmiech, co uprzytomniło mi, że dawno już nie widziałam nikogo młodego.

Wysiadłyśmy przy dworcu. Za część pieniędzy spod tapicerki kupiłam dwa bilety do Londynu. Na chwilę spanikowałam, kiedy kasjer zapytał o moją legitymację, lecz Hope poinformowała go swoim profesorskim tonem, że zapłacimy pełną stawkę. Mężczyzna podrapał się po głowie, po czym wzruszył ramionami.

- Jak panie sobie życzą - powiedział.

Pociąg był długi; czuć było woń kawy i spalonej gumy. Poprowadziłam Hope po peronie do miejsca, gdzie konduktor opuścił rampę.

- Wyprawa do wielkiego miasta, miłe panie? - W czapce przesuniętej zawiadaczko na tył głowy konduktor przypominał nieco Chrisa. - Pani pozwoli - zwrócił się do Hope, mając na myśli wózek. Hope potrząsnęła głową.

-Dam sobie radę, dziękuję.

- Prosto - poinstruowałam. Konduktor popatrzył na niewidomą Hope, ale szczęśliwie powstrzymał się od komentarza.

Kartka z adresem w Knightsbridge wciąż tkwiła w mojej torebce. Kiedy usiadłyśmy w przedziale (z kawą i ciastkami dostarczonymi przez wesołego konduktora), raz jeszcze popatrzyłam na zdjęcie. Słyszac szelest papieru, Hope uśmiechnęła się pobłaźliwie.

- Czy to nie idiotyczne? - spytałam, spoglądając na bu ty, lśniące i czerwone jak lizaki Lolity. - Czy nie zachowuje my się idiotycznie?

- Naturalnie - odparła z całym spokojem, popijając kawę. -I to właśnie jest cudowne.

Podróż do Londynu trwała zaledwie trzy godziny. Spodziewałam się, że zabierze więcej czasu, lecz pociągi nabrały prędkości zgodnie z tempem współczesnego życia. Wypiłyśmy jeszcze jedną kawę i porozmawiałyśmy z konduktorem (który miał na imię nie Chris, lecz Barry). Próbowałam opisać Hope krajobrazy przemyskujące za oknem.

- Nie ma pośpiechu - zauważyła Hope. - Nie musisz teraz opisywać. Omówimy to sobie ze szczegółami po powrocie.

Kiedy dotarłyśmy do Londynu, zbliżała się pora lunchu. Rozmiary stacji King's Cross, imponująco przeszklonej i brudnej, znacznie przerosły moje oczekiwania. Rozglądałam się ciekawie na wszystkie strony, jednocześnie wskazując Hope drogę. Otaczał nas wielonarodowościowy tłum ludzi we wszystkich przedziałach wieku. W ogólnym chaosie nawet Hope straciła rezon i stanęłyśmy na peronie, zachodząc w głowę, gdzie podzieli się

bagażowi. Wszyscy prócz nas wydawali się doskonale zorientowani, dokąd idą, bez pardonu trącając stojący wózek. Poczułam, że tracę odwagę.

- Hope - wyszeptałam. - Nie jestem pewna, czy potrafię.

Ale Hope zdążyła już dojść do siebie.

- Bzdura - odrzekła pokrępiającym tonem. - Złapiemy taksówkę, tam, skąd tak mocno wieje. - Wskazała na lewo, gdzie istotnie widniała tabliczka z napisem „Wyjście”. - Zrobimy to, co inni. Weźmiemy taryfę. Naprzód! - Zaczęłyśmy się przeciskać przez tłum podróżnych, Hope powtarzała „przepraszam”, a ja nią sterowałam. Ponownie zajrzałam do torebki i Hope zachichotała. Jednakże tym razem nie patrzyłam na zdjęcie. Wprawdzie w Meadowbank dwieście pięćdziesiąt funtów wydawało się zawrotną sumą, lecz, jak zrozumiałam na dworcu, w ciągu lat spędzonych z dala od świata ceny niepostrzeżenie poszybowały w górę. Zastana wiałam się, czy wystarczy nam pieniędzy.

Gburowaty taksówkarz bez entuzjazmu złożył wózek. Hope pomogła mi utrzymać równowagę, co okazało się niełatwe, gdyż nie jestem tak szczupła jak niegdyś.

- Zjemy lunch? - zaproponowałam, chcąc odpędzić ożywieniem niemiłe wspomnienie twarzy kierowcy.

Hope skinęła głową.

- Byle nie tam, gdzie podają pudding ryżowy - odrzekła kapryśnie.

- Czy Fortnum i Mason's nadal istnieje? - spytałam taksówkarza.

- Owszem, skarbie, podobnie jak Muzeum Brytyjskie - odparł, niecierpliwie zwiększając obroty silnika. Zdawało mi się, że dodał cicho: „Miejsce w sam raz dla was dwóch”.

Hope parsknęła śmiechem.

- Może pojedziemy tam w następnej kolejności - rzekła grzecznie, budząc tym moje nieopisane rozbawienie. Kierowca spojrzał na nas podejrzliwie i ruszył naprzód, wciąż mamrocząc pod nosem.

Są miejsca, które przetrwają wszystko. Do nich należy Fortnum's, mały przedsiwonek rajy, migoczący obietnicą zatopionych skarbów. Gdy wszystkie cywilizacje upadną, Fortnum^ pozostanie nienaruszony, ostatni legendarny obrońca starej wiary, ze swymi grzecznymi odźwiernymi i szklanymi żyrandolami. Na pierwszym piętrze wkroczyłyśmy między góry pralinek i kohorty kandyzowanych owoców. W rześkim powietrzu snuł się aromat wanilii, goździków i brzoskwiń. Hope powoli obracała głowę na wszystkie strony, wdychając piękny zapach. Były tam trufle, kawior i foie gras w maleńkich puszkach, olbrzymie gąsiorzy z zielonymi śliwkami zatopionymi w wiekowej brandy oraz wiśnie o

barwie wymarzonych butów. Przepiórcze jaja, nugaty i langues de chat w torebkach z papieru ryżowego oraz lśniące bataliony butelek szampana. Pojechałyśmy windą na najwyższe piętro do kawiarni, gdzie wypiliśmy herbatę Earl Gray z porcelanowych filiżanek, wspominając ze śmiechem plastikową zastawę Meadowbank. Usiłując nie myśleć o kurczących się oszczędnościach, zamówiłam suty posiłek: wędzonego łososia i jajka sadzone na bułeczce lekkiej jak piórko, koreczki ze zrolowanych sardeli i suszonych pomidorów, szynkę parmeńską z różowym melonem, a na deser parfait z moreli i czekolady.

- Jeśli w niebie jest choć po części tak miło - mruknęła Hope - od razu mogę tam iść.

Nawet konieczność wyprawy do łazienki okazała się objawieniem: czyste, połyskujące kafelki, kwiaty, włochate różowe ręczniki, pachnący krem do rąk, woda kolońska. Spryskałam Hope zapachem frezji i spojrzałam na nasze odbicia w wielkim lustrze. Spodziewałam się, że w swoich babcinych sweterkach i praktycznych spódnicach będziemy wyglądać nijako, trochę niedorzecznie. Może istotnie tak wyglądałyśmy. Lecz w moich oczach byłyśmy odmienione, piękniejsze: po raz pierwszy dostrzegłam dawną Hope. I dawną Faith.

Spędziłyśmy w Fortnum's mnóstwo czasu. Odwiedziłyśmy dział kapeluszy, szali, torebek oraz sukien. Skrzętnie notowałam wszystko w pamięci, aby móc później opowiedzieć Hope. Cierpliwie pchała mój wózek w gąszczu bielizny, płaszczy i wieczorowych kreacji, lekkich niczym podmuch letniego wiatru, muskając cienkimi, smukłymi palcami jedwabie i futra. Wreszcie z ociąganiem wyszłyśmy na zewnątrz: ulice były wspaniałe, lecz pozbawione życia. Kiedy patrzyłam na śpieszących wokół ludzi, opryskliwych bądź obojętnych, znów ogarnęło mnie uczucie podobne do strachu. Zatrzymałyśmy taksówkę.

Stremowana i zdenerwowana wyjęłam ponownie kartkę, pobielałą w zgięciach od częstego rozkładania. I znowu poczułam się stara i bezbarwna. A jeśli sprzedawca mnie nie wpuści? Albo wyśmieje? Jeszcze gorsze było podejrzenie - ba, niemal pewność - że buty okażą się zbyt drogie, że wydałam za dużo pieniędzy, że od początku nie dysponowałam wystarczającą sumą... Na widok księgarni kazałam kierowcy przystanąć, po czym z jego pomocą wysiadłyśmy i kupiłam dla Hope egzemplarz „Lolity”.

Nikt nie uznał, że to dla nas niestosowna lektura. Hope z uśmiechem chwyciła książkę i powiodła palcami po gładkim grzbiecie.

- Jak ślicznie pachnie - powiedziała miękko. - Już prawie zapomniałam.

Taksówkarz, długowłosa Murzyn, popatrzył na nas z uśmiechem. Najwyraźniej świetnie się bawił.

- A teraz dokąd, moje panie? - zapytał.

Nie potrafiłam udzielić mu odpowiedzi. Drżącymi palcami podałam mu kartkę z adresem. Gdyby się zaśmiał, chyba wybuchnęłabym płaczem. I tak byłam bliska łez. Lecz kierowca tylko ponownie wyszczerzył zęby i dołączył do szalonego korowodu pojazdów.

Sklep był mały. W pojedynczej witrynie ustawiono półki, a na nich po jednej parze butów. Za nimi dostrzegłam oświetlone wnętrze, całe ze szkła i jasnego drewna, z wysokimi wazonami białych róż na podłodze.

- Zaczekaj - powiedziałam do Hope.

- Co się stało? Zamknięty?

- Nie.

Sklep był pusty. Widziałam dokładnie. Wewnątrz stał sprzedawca, długowłosego młodzieniec w czerni. Buty na wystawie były bladozielone i malutkie, niczym pączki, które lada chwila rozwiną stulone płatki. Ani jedna para nie miała ceny.

- Naprzód! - zakomenderowała Hope.

- Nie mogę. Ja... - Nie dokończyłam. Ponownie ujrzałam samą siebie, starą i nijaką, odartą z magii.

- Boisz się? - burknęła kpiąco Hope i pchnęła wózek.

Niewiele brakowało, a staranowałyby ustawiony przy drzwiach wazon z różami.

- W lewo! - krzyknęłam. Hope wykręciła wózek, mijając kwiaty dosłownie o włos.

Sprzedawca popatrzył na nas z zaciekawieniem. Miał bystrą, przystojną twarz. Z ulgą dostrzegłam, że w jego oczach czai się przyjazny uśmiech. Wyjęłam zdjęcie.

- Chciałabym je obejrzeć - oznajmiłam, naśladowując stanowczy głos Hope, który w moim wydaniu zabrzmiał nie zbyt przekonująco. - Rozmiar cztery.

Oczy sprzedawcy rozszerzyły się nieco, ale nie powiedział ani słowa. Odwróciwszy się, poszedł na zaplecze, zastawione pudełkami z obuwem. Przymknęłam oczy.

- Chyba mamy jeszcze jedną parę.

Ostrożnie wyjął pantofle z pudełka, błyszczące jak lustro i czerwone, czerwone, czerwone.

- Mogę zobaczyć?

Przypominały bombki na choinkę, rubiny, rajskie owoce.

- Życzy pani przymierzyć?

Nie skomentował wózka ani starych, kluchowatych stóp w półbucikach o barwie owsianki. Natomiast przyklęknął na wprost mnie, ciemne włosy opadły mu na twarz. Delikatnie zdjął mi buty. Wiedziałam, że widzi pajęczynę żył oplatających kostki i czuje

fiołkowy aromat talku, który Hope co wieczór wciera mi w stopy. Z wielką ostrożnością nasunął pantofle; podbicie wygięło się ostrzegawczo.

- Pokazać? - Delikatnie wyprostował nogę, żebym mogła zobaczyć.

- Ginger Rogers - szepnęła Hope.

Buty do tupania, dreptania, płasania, do wszystkiego, tylko nie do chodzenia. Przez dłuższą chwilę spoglądałam na nie z zaciśniętymi pięściami i gorąca słodycz zalewała mi serce. Ciekawe, co Tom powiedziałby na mój widok. Zakręciło mi się w głowie.

- Ile? - spytałam ochryplym głosem.

Młodzieniec podał cenę tak zawrotną, iż wzięłam to za pomyłkę: była wyższa od sumy, którą zapłaciłam za swój pierwszy dom. Poczułam gwałtowny skurcz w żołądku.

- Niestety - usłyszałam z oddali własny głos - są zbyt drogie.

Z jego twarzy odczytałam, że spodziewał się takiej odpowiedzi.

- Ach, Faith - powiedziała łagodnie Hope.

- Nic nie szkodzi - zakomunikowałam obojgu. - Tak na prawdę wcale do mnie nie pasowały.

Młodzieniec potrząsnął głową.

- Ależ myli się pani - odrzekł z dziwnym uśmiechem. - Moim zdaniem wręcz przeciwnie.

Delikatnie zdjął buty - czerwone jak jabłuszko, samochód wyścigowy, walentynkowe serce - i schował z powrotem do pudełka. Pomieszczenie, jasne jak przedtem, natychmiast straciło nieco ze swego czaru.

- Panie są tu przejazdem?

- Tak. - skinęłam głową. - Bawiliśmy się świetnie, ale pora wracać do domu.

- Szkoda. - Sięgnąwszy do wysokiego wazonu przy drzwiach, wyjął różę. - Przyjmie ją pani ode mnie? - Włożył mi różę do ręki. Była doskonała: niezwykle wonna, z ledwo rozchylonymi płatkami. Pachniała letnim wieczorem i „Jeziorem łabędzim”. W jednej chwili zapomniałam o czerwonych butach. Nieznajomy mężczyzna podarował mi kwiaty.

Wciąż mam tę różę. Przewiozłam ją pociągiem w plastikowym kubku z wodą, a potem wstawiłam do wazonu. Żółte chryzantemy i tak już oklapły. Gdy zwiędnie, zasuszę pachnące płatki. Posłużą mi jako zakładki do „Lolity”, którą czytam razem z Hope. Niestosowna książka, być może. Ale niech tylko spróbują ją zabrać.

Brzydka Siostra

Zawsze trochę współczułam brzydkim siostronom Kopciuszka. Czułam też, że w ich historii kryje się coś więcej, niż mówią baśnie, kreskówki i przedstawienia.

Nie jest łatwo być Brzydką Siostrą. Zwłaszcza w samym środku gwiazdkowego sezonu teatralnego [W Wielkiej Brytanii, podczas świąt Bożego Narodzenia tradycyjnie wystawia się adaptacje sceniczne bajek dla dzieci. (Przyp. tłum.)], wśród typowego dla niego blichtru i przebieranek, gwizdów, szyderczych okrzyków i dowcipów z brodą. Mogłabym wymienić jeszcze opluwanie przez bandę rozwrzeszczanych dzieciaków o twarzach umazanych lodami bądź obsypywanie mąką przez dziewczynę w stroju Księcia, zanim wszyscy udadzą się na ucztę, wieńczącą szczęśliwe zakończenie bajki.

Wielkie dzięki.

Oczywiście dawniej bywało gorzej. Część winy za to ponoszą panowie Grimm, a także pan Perrault i jego zdzięcinniały tłumacz. Szklane pantofelki, dobre sobie. Owe pan - toufles de verre prześladują mnie od tamtej pory. Nieważne, że w oryginale były vair, czyli gronostajowe, i dzięki temu nie uciskały tak bardzo podbicia (a nawet mogły pasować, co dopiero zabiłoby ćwieka Księciu i jego latawicy). Przeszłość była okrutna: kruki wydziobywały nam oczy - oczywiście po ślubie, tak aby nic nie zakłóciło święta Jaśnie Pyszalkowatej - i zasłużona kara spotykała bezbożników.

W dzisiejszych czasach dręczy się nas wersją Disneya, niemal równie nieprzyjemną: za sprawą przeróżnych gagów zło spadło do poziomu śmieszności. Czarny charakter utracił wszelką godność. Natomiast zostały przedstawienia uliczne i spektakle charytatywne z udziałem blednących gwiazd oper mydlanych i osobnika, który na krótko zabłysnął w teleturnieju.

Mimo to nie narzekam; jestem profesjonalistką. W przeciwieństwie do tak zwanych artystów, którzy po sezonie biorą wszystko jak leci. Brzydka Siostra to rola dla samotnego jeźdźca. Nie wazcie się o tym zapominać.

My - moja siostra i ja - urodziłyśmy się gdzieś w Europie. Zdania na ten temat są podzielone. Tak czy inaczej, mało kogo obchodzi, skąd pochodzimy. Ani co się z nami dzieje po opuszczeniu kurtyny. Dla Brzydkiej Siostry nie ma „długo”. „Szczęśliwie” raczej też nie.

Ojciec nas uwielbiał; matka - podobnie jak wszystkie matki - miała ambicję dobrze nas ustawić (najlepiej w pewnym oddaleniu od siebie samej). Tragiczne zdarzenie przekreśliło wspaniałe plany. Upadek z konia zabił naszego pobłażliwego ojca. Matka

ponownie wyszła za mąż, tym razem za wdowca z córką. Oto początek historii, którą oczywiście znacie. Znacie przynajmniej wersję córki: tę, w której wdowiec umiera, a my dręczymy wdzięcznego chudzielca o imieniu Kopciuszek. Każemy dziewczynie sprzątać, szyć i gotować dla nas obfite posiłki, no i brutalnie pozbawiamy ją szansy zostania królową nastolatek na balu w Hotelu Zamkowym. Myszy, suknia, chrzestna matka z różdżką i podobne bzdury.

Powtarzam jeszcze raz: bzdury. Rzeczywistość wyglądała zupełnie inaczej.

O tak, była niebrzydka, na swój chorobliwy sposób. Płowa, blada blondynka, tak drobna i chuda, jak my wysokie i przysadziste. Sama doprowadziła się do tego stanu: nie jadła nic innego jak tylko surową marchewkę, ubierała się na czarno i obsesyjnie spalała kalorie. W życiu nie widzieliście tak wypucowanych podłóg (zamiatanie: 400 kalorii, froterowanie: 500). Rzadko raczyła się do nas odezwać; w uniesieniu słuchała śpiewaków zawodzących pieśni o miłości i oglądała co - niedzielne popisy kuglarzy na wiejskim placu. Podobała się chłopakom (jakżeby inaczej), ale marzyła o księciu. Miejscowe wyrostki nie zaspokajały ambicji Jej Wysokości.

Pewnie, że jej nienawidziłyśmy. Obie dość przeciętnej urody (dopiero potem zrobiono z nas brzydule), tu i ówdzie za bardzo przy kości. Do tego kiepska cera i kudłate włosy, których nijak nie dawało się wyprostować. Panna Pyszałkowata była smukła i zgrabna, wymarzony rozmiar 36. Na naszym miejscu każda by ją znenawidziła.

Naturalnie, że nosiła łaachmany. Ten typ tak ma. Poza tym, ów gałganiarski wygląd był wówczas bardzo w modzie - firmowe łaachy warte fortunę, przy których chuda sylwetka to mus; z moimi nogami wyglądałabym w nich jak krowa. A buty! Gdybyście zobaczyli jej kolekcję: nie tylko gronostajowe, ale z krokodyla, norek, pleksiglasu, strusia, jaszczurki, jedwabiu. Wszystkie na sześciocalowych obcasach, z cienkimi paskami, nawet w zimie (pomyślcie, jak to załatwi jej nogi za dwadzieścia lat). Kto widział, ten wie.

Zauważyliście, że historia lansuje ładne buzie? Henryk VIII: zła prasa. Ryszard Lwie Serce: dobra prasa. Katarzyna Aragońska [Katarzyna Aragońska - pierwsza żona Henryka VIII; rozwód z nią spowodował konflikt z papieżem i powstanie Kościoła anglikańskiego. (Przyp. tłum.).] zła prasa. Anna z Klewe [Anna z Klewe - czwarta żona Henryka VIII. (Przyp. tłum.).] dobra prasa. Dużą winę ponoszą tu nadworni malarze, kronikarze również. Znacie zakończenie: dostała Księcia (gwoli ścisłości niskiego, grubego i łysiejącego), zamek, złoto, białe wesele, płatki róż i cały kram. My dostałyśmy kruki. Można umrzeć ze śmiechu.

Ale bywa gorzej. Jak już wspomniałam, dla Brzydkiej Siostry nie ma „długo i szczęśliwie”. Nikt nie raczył pomyśleć o zakończeniu; wszyscy popadli w zachwyty nad Mości

Pyszalkowatą i jej tycimi stopkami. Co nas spotkało? Czy zniknęliśmy, ot tak? Nie, stała się z nami rzecz następująca: my, zapomniane siostry, niebawem brzydkie siostry, siostry dziwaczki, siostry niby z „Boskiej Komedii” obrosłyśmy legendą jak pryszczami. Stoczyłyśmy przegraną potyczkę z braćmi Grimm i Perraultem, po czym bezskutecznie próbowałyśmy uwieść Tennysona. W dwudziestym wieku liczyłyśmy na łut szczęścia, ale - jak wspomniałam - nastąpiła era Disneya i to nas dobiło. Za jedno przychylne spojrzenie byliśmy gotowe zaprzedać duszę diabłu.

Jesteśmy jednak rutynowanymi aktorkami. Przynajmniej ja; siostra, jak na mój gust, pogrywa nieco pod publiczkę. W Boże Narodzenie niezmiennie pokrywam twarz szminką, wciskam na głowę upudrowaną perukę i wkładam krynolinę. Lubię myśleć, że moja rola kryje w sobie coś szlachetnego, niemal heroicznego: ukryty patos, dostrzegalny jedynie przez garstkę wybrańców. Większość ludzi i tak nie patrzy na mnie; obserwują ją, nieprawdaż? Mademoiselle Pyszalkowatą w falbaniastej sukni i błyszczących pantofelkach. Gdy tylko się odezwę, moje słowa giną zazwyczaj w kakofonii gwizdów i śmiechu. Ale co mi tam. Jestem profesjonalistką. Pod absurdalnym kostiumem i grubą warstwą szminki drzemie tajemnica. Usilnie wierzę, że któregoś dnia spocznie na mnie wzrok mojego Księcia.

Wczoraj była Wigilia. Najlepsza noc w roku. Och, rzecz jasna, później też odbywają się przedstawienia - prawie do końca stycznia - lecz wieczór wigilijny nie ma sobie równych. Potem magia ustępuje miejsca depresji: wszyscy są rozleniwieni, obżarci i odliczają czas do końca sezonu. Publiczność nie dopisuje. Aktorzy gubią kwestie. Spektakl przenosi się do Blackpool lub innego zamierającego wówczas kurortu, gdzie wegetuje aż do następnego roku. Kostiumy wędrują do skrzyń. Lampy gasną. Ale oto nadeszła Wigilia; ludzie byli weselsi i hałaśliwsi niż zwykle, widzowie żywiej reagowali sykami i gwizdami, a dziatwa była umazana słodyczami jeszcze niemiłosierniej. Sam Książę zdawał się bardziej zniewieściały, najdroższy Kopciuszek zaś, nasza gwiazda i oczko w głowie, jeszcze słodsza, ładniejsza, delikatniejsza, bardziej migotliwa i bajkowa niż kiedykolwiek.

Tylko ja czułam się jakoś inaczej niż zwykle. Gdy rozpoczął się ostatni akt, rozboleła mnie głowa. Przeszło mi przez myśl, czy aby na dobre nie wycofać się z branży; wyjechać, osiąść gdzieś w Europie, gdzie nie zostaną rozpoznana.

Mrzonki, uznałam w duchu. Dla Brzydkiej Siostry nie ma ucieczki.

Jednakże myśl nie ustępowała. Co się ze mną dzieje? Potrząsnęłam głową, chcąc odzyskać jasność myślenia. Wówczas, po raz pierwszy w mojej długiej karierze, nastąpiło coś tak dziwnego, że mało się nie zająknęłam.

Byłam obserwowana. Mężczyzna siedział niedaleko od rampy, ukryty w półmroku; rosły, długowłosy i nieco zgarbiony pod szarym, kosmatym okryciem. Nie spuszczał ze mnie wzroku.

To było niezwykle - ba, zdumiewające. Graliśmy akurat scenę, w której Kopciuszek śpiewa swą żalną pieśń w otoczeniu współczujących zwierząt, a ja wraz z siostrą mizdrzymy się przed lustrem. A jednak nie było wątpliwości (na wszelki wypadek raz jeszcze łypnęłam w stronę widowni): mężczyzna patrzył na mnie.

Na mnie. Serce idiotycznie podskoczyło mi w piersi. Nie był najprzystojniejszy, to fakt; jego wygląd świadczył dobitnie, że pierwszą młodość ma za sobą. Mimo to emanował siłą i autorytetem, a wielkie oczy pod gęstą strzechą włosów były błyszczące i uważne. Nieoczekiwanie dotarło do mnie, że mam na sobie idiotyczny kostium: gigantyczną turniurę, za duże buty i absurdalnie wypchany stanik. Pewnie uznał, że wyglądam komicznie, skonstatowałam ponuro. Jednak na twarzy mężczyzny malował się wyraz powagi.

Do końca sceny czułam na sobie jego spojrzenie. Kiedy ponownie wyszłam na deskę, po rozczulającym dialogu Księcia z Kopciuszkiem, mężczyzna wciąż był na widowni; w kolejnej scenie tak samo. Gdy wreszcie sypnięto mi mąkę w twarz i widownia zawyła z radości, on jeden nie wybuchnął śmiechem. Widziałam, że pochyla głowę, pewno zasmucony (tak sobie wyobrażałam) ponizem dumnej heroiny. Serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi. Jak w transie odegrałam ostatnią scenę, machinalnie wygłaszając kwestie, ze wzrokiem mimowolnie utkwionym w twarzy nieznanego. Twarzy mało atrakcyjnej, choć interesującej i wyrazistej. Jego dłonie - niepospolicie wielkie, jak łapy dzikiego zwierzęcia - kryły w sobie obietnicę delikatności. Oczy błyszczały w mroku niczym ślubna obrączka. Drżałam od stóp do głów.

Ostatnia scena. Kurtyna opada. Trzymając się za ręce, wyszliśmy raz jeszcze, aby pokłonić się publiczności. Kiedy się pochylałam, mężczyzna gorączkowo wyszeptał mi do ucha:

- Spotkajmy się na zewnątrz. Proszę.

Rozejrzałam się gwałtownie, podświadomie wypatrując innej kobiety - piękniejszej, bardziej godnej - która podejdzie bliżej i odpowie na jego wezwanie. On jednak nadal uważnie spoglądał na mnie złocistymi oczami. Odwzajemniłam spojrzenie, tak przejęta, że nawet nie poczułam dotyku rozpalonej dłoni stojącego obok mnie aktora. Mężczyzna kiwnął głową, jakby w odpowiedzi na nieme pytanie.

- Ja?

- Tak, ty.

I zniknął w tłumie, zwinnie i niepostrzeżenie jak myśliwy.

Wywoływano nas czternaście razy. Serpentyńy sypały się gęsto, fruwało konfetti, podrabiany Książę i Jaśnie Pani dostali kwiaty. Widownia biła huczne brawa (dały się też słyszeć pojedyncze gwizdy pod adresem wiecie kogo), lecz w moim umyśle panowała wielka cisza i wielkie zdumienie. Tak jakby w głowie otworzyło mi się nagle trzecie oko, o którego istnieniu nie miałam dotąd pojęcia. Za kulisami zrzuciłam perukę i kostium, po czym wybiegłam na dwór, przekonana, że to żart, że mężczyzna - kimkolwiek był - odszedł, zabierając skrawek mojego serca.

Czekał w uliczce za teatrem. Wiszący po drugiej stronie ulicy neonowy afisz przedstawienia oświetlał mu włosy. Śnieg skrzypiał mi pod stopami. Mężczyzna znacznie górował nade mną wzrostem, choć nie jestem niska. Po raz pierwszy w życiu poczułam się mała. Tak: mała i delikatna.

- Od razu wiedziałem - odezwał się ochryplym głosem, kiedy znalazłam się w zasięgu jego ramion. - Jak tylko cię zobaczyłem. Zupełnie jak w bajce. - Mówiąc te słowa, obsypywał pocałunkami moje włosy i twarz. - Chodź ze mną. Te raz, zaraz. Rzuć wszystko. Zaryzykuj.

- Ja? - szepnęłam, z trudem łapiąc oddech. - Przecież jestem Brzydką Siostrą.

- Już ja znam te gwiazdy pierwszego planu. Wszystkie są takie same. Spotkałem kiedyś dziewczynę... - Urwał, jakby zabolalo go samo wspomnienie. - Teraz już wiem. Przejrzałem je. - Zamilkł i popatrzył na mnie. - O tobie też wiem wszystko.

Objęłam go, wtulając twarz w futrzane kłapy szarego płaszcza. Serce zabiło mi jeszcze mocniej.

- Ale ja jestem... - spróbowałam ponownie.

- Nie. - Przejechał palcami po mojej twarzy, rozmazując szminkę. - Nie jesteś.

Spróbowałam wyobrazić sobie, jak to jest nie być Brzydką Siostrą. Słowo „brzydka” towarzyszyło mi od zarania; wciąż mnie określa. Kim będę bez tego słowa? Na samą myśl zadrżałam.

Nieznajomy dostrzegł moją minę.

- To tylko jeden z aspektów naszych ról - powiedział. - Dobry, zły, brzydki. My też jesteśmy bohaterami, na swój sposób. My, którzy po opuszczeniu kurtyny odchodzimy z kwitkiem. Odrzuceni. Pozbawieni szczęśliwego zakończenia. Należymy do siebie, ty i ja. Po tym, co oboje przeszliśmy, zasługujemy na coś lepszego.

- Ale... bajka - zaoponowałam bez przekonania.

- Napiszemy ją od nowa. - Powiedział to z niezłomnym przekonaniem. Poczułam, że mój opór słabnie. Za nami słyhać było dudnienie dyskotekowej muzyki - rozpoczynał się bal; jak zwykle wczesnym wieczorem, puby serwowały trunki po niższych cenach.

- Przecież nawet cię nie znam! - zawołałam. Chodziło rzecz jasna o to, że nie znałam siebie: lata w skórze Brzydkiej Siostry pozbawiły mnie własnej tożsamości, pozostała tylko ta narzucona. Po raz pierwszy w życiu poczułam piekące łzy.

Nieznajomy uśmiechnął się szeroko. Zobaczyłam, że ma dość duże zęby, ale życzliwe spojrzenie.

- Mów do mnie Wilczku - zaproponował.

Gastronomikon

Niektórzy jakoś nie mogą powiązać autorki „Złego nasienia” i „Śpij, blada siostró” z autorką „Czekolady” i Jeżynowego wina”. Napisałam to opowiadanie, żeby posłużyło jako łączące ogniwo. Poza tym jedzenie też może być przerażające.

Kiedy zapraszamy gości na obiad, zawsze coś nie gra. Ostatnio był dziwny zapach, coś stuknęło w ścianach, nagle pojawił się tygi i wyjątkowo szpetny karzełek, którego pośpiesznie wrzuciłam do zlewu, puszczając wodę, zanim zdążył podeptać świeżo polukrowaną partię babeczek. Światła w jadalni przygasły, rzucając osobliwą, czerwonawą poświatę, lecz wszyscy uznali to za usterkę instalacji, a ja uratowałam sytuację, podając kawę i napoje w salonie.

Żaden z gości nie zwrócił uwagi na szelest dochodzący zza okienka łączącego kuchnię z jadalnią, a jeśli nawet, z grzeczności powstrzymano się od komentarza.

Na pewno przez ten pudding.

Pozostałe potrawy były bezpieczne: sałatka z krewetek, następnie pieczony kurczak, zielone warzywa, ziemniaki pieczone i piure oraz marchewka z groszkiem. Ernest ucieszyłby się z szarlotki, zawsze prosi o taki deser. Lecz postanowiłam wypróbować coś nieco bardziej oryginalnego: na przykład gateau z Czarnego Lasu albo tort cytrynowy.

Rzecz jasna, preferencje Ernesta narzucają pewne ograniczenia: w książce kucharskiej jest dział, do którego w ogóle nie zaglądam, ponieważ mąż nie zje nic wymyślnego lub „zagranicznego”. Nikt by nie przypuszczał, że ma w sobie cudzoziemską krew. Jest taki angielski: zawsze ubiera się elegancko, musowo ogląda „Archerów”, głosuje na konserwatystów i kocha swoją matkę.

Spotkałam ją zaledwie kilka razy, jeszcze przed ślubem. Było to dla mnie niemałe zaskoczenie. Naturalnie zmieniła imię, ale rzucało się w oczy, że nie jest stąd. Miała długie czarne włosy spięte srebrną klamrą i bardzo ciemne oczy. Włosy Ernesta są nieco jaśniejsze, oczy raczej piwne niż brązowe, karnacja zaś mniej złocista, lecz i tak dostrzegłam między nimi podobieństwo.

Podobnie jak syn ubierała się na modłę angielską, choć nie tak starannie; suknia nie budziła zastrzeżeń, lecz nie wkładała pończoch: stopy w delikatnych, złotych sandałach były bosc. Zamiast swetra zapinanego na guziki nosiła haftowany szal z napisem wyszytym złotą nitką wzdłuż krawędzi. Pamiętam, że jej cudzoziemski wygląd wzbudził we mnie zakłopotanie, lecz starałam się je ukryć. Ernest chyba podzielał moje odczucia, choć

najwyraźniej darzył matkę bezkrytycznym uwielbieniem. Moim zdaniem okazywał to z przesadą - gładził ją po włosach i nadszkiwał jej jak schorowanej staruszce. A nie była ani schorowana, ani stara: wyglądała co najwyżej na trzydzieści pięć lat i... była piękna. Rzadko używam tego słowa w odniesieniu do ludzi, ale do niej pasowało jak ulał. Piękna. Jako osoba o dość przeciętnym wyglądzie czułam się przy niej trochę nieswojo; wiadomo, co ludzie opowiadają o mężczyznach i ich matkach.

Nigdy nie poznałam ojca Ernesta. Podobno był Anglikiem, ale wyprowadził się dawno temu, kiedy Ernest był mały. Nie widziałam żadnych zdjęć, a matka raczej nie miała ochoty o nim rozmawiać.

„W naszej rodzinie kobiety nigdy nie zaznały szczęścia z mężczyznami”, tymi słowami porzucała temat. Zapewne jego rodzice sprzeciwiali się małżeństwu z cudzoziemką. Sądzę, że moi też nie okazaliby zadowolenia. Gdyby wiedzieli.

Chyba przypadłam jej do gustu. Po naszym ślubie wyjechała - pochodziła z Persji albo innego kraju arabskiego - i choć Ernest nigdy tego nie potwierdził, podejrzewałam, że wróciła w rodzinne strony. Staralam się nie afiszować ze swoją radością, ale w głębi serca odczułam ulgę. Wizyta teściowej wywołałaby w sąsiedztwie niemałą sensację.

W prezencie ślubnym podarowała nam książkę kucharską. Na widok sporej paczki owiniętej w szkarłatny papier Ernest od razu domyślił się, co jest w środku. Ujął matkę za ramiona i pośpiesznie zagadał do niej w niezrozumiałym języku. Nie krył poruszenia, a w oczach matki dostrzegłam łzy. Na szczęście byliśmy sami.

Wreszcie przyjął paczkę. Nie wiem dlaczego, ale uczynił to z pewnym ociąganiem. Następnie wręczył ją mnie, rzucając przelotne spojrzenie na matkę.

- Nasz rodzinny skarb - powiedział łagodnym tonem. - Od pokoleń przechodzi z matki na córkę. To najcenniejsza rzecz, jaką ma. Twierdzi, że w twoich rękach będzie bezpieczna.

Zerwałam szkarłatny papier (dziwny kolor jak na ślub, zauważyłam w duchu). Szczerze mówiąc, nie rozumiałam, o co tyle zamieszania. Trzymałam w rękach starą książkę w skórzanej oprawie, pociemniałą od wielokrotnego dotykania. Niestarannie przecięte kartki pokrywała czcionka mikroskopijnej wielkości. Gdzieś tam widniały liczne plamy, które uniemożliwiłyby odczytanie tekstu nawet przy znajomości języka.

Kartki były różnej grubości; tu i ówdzie na marginesach dopisano komentarze albo dokleiono karteczki z zapiskami. Na początku dołączono parę stron, zapisanych innym charakterem pisma. Jedne przepisy były po angielsku, inne w językach obcych, które rozpoznałam, przeważnie po francusku i niemiecku. Na wewnętrznej stronie okładki widniała lista nazwisk.

- Wszystkie kobiety w naszej rodzinie - wyjaśniła matka Ernesta, pokazując palcem. - Masz tu ich nazwiska.

Tylko ostatnie było angielskie. Sulebha Alazhred Patel. Trochę trudne do wymówienia. Nic dziwnego, że je zmieniła.

- Czy to książka kucharska? - Wśród zapisków po angielsku dostrzegłam listę składników. - Bardzo lubię gotować.

Ernest i matka wymienili spojrzenia.

- Tak, książka kucharska - odparła wreszcie. - Bardzo stara i bardzo cenna.

- Dla matki ma szczególną wartość - dodał Ernest. - Sprawowała nad nią pieczę od śmierci mojej babki.

- Dziękuję - odpowiedziałam grzecznie. - Prześliczna.

Ci mężczyźni, pomyślałam. W ich mniemaniu kuchnia matek nie ma sobie równych. Domyślałam się, że Ernest poprosi, abym gotowała w domu z przepisów jego mamy. Oby tylko nie były zbyt egzotyczne. Drewniane meble okropnie chłoną zapach curry. Poza tym sąsiedzi... wiadomo, jak ludzie potrafią plotkować. A przecież Ernest wygląda zupełnie jak Anglik.

Niepotrzebnie się przejmowałam. Po wyjeździe matki Ernest wyraźnie się uspokoił. W ogóle jest opanowanym człowiekiem, wolnym od - jak to się mówi - namiętności. Tylko raz widziałam, że jest wzruszony - podczas tamtego spotkania z matką. Nigdy nie powiedziałabym tego wprost, ale moim zdaniem nie wpływała na niego najlepiej. Jej wyjazd wyszedł mu zdecydowanie na dobre.

Co do książki kucharskiej, niewiele się pomyliłam. Zawsze nalegał, żebym korzystała z przepisów teściowej, nawet jeśli miałam podobne. Początkowo niezbyt mi się to podobało - prawdę mówiąc, nie byłam pewna, czy to higieniczne: te wszystkie plamy i odciski zatłuszczonych palców - ale plastikowa obwoluta częściowo rozwiązała problem. Oczywiście Ernest jest bardzo skrupulatny. Zaraz rozpozna, gdy dodam jeszcze jeden składnik albo odrobinę zmodyfikuję przepis. Wszelkie odstępstwa budzą jego nieopisaną irytację. Nauczyłam się ściśle przestrzegać receptur (czasem dziwnie sformułowanych, bo książka jest bardzo stara) i zbytnio nie eksperymentować. Ernest ma swoje ulubione potrawy, wszystkie z pierwszych stron książki: są to tradycyjne angielskie przepisy na zapiekankę z mięsa i kartofli czy wołowinę z cynaderkami zapiekaną w cieście. Z pozostałych przepisów w ogóle nie korzystam. Zresztą większość i tak jest po arabsku. Zdążyłam się też zorientować, że potrawy są jak dla nas zbyt egzotyczne. Czasami mnie korci, żeby sprawdzić, co się stanie, ale z góry

mogę przewidzieć reakcję Ernesta. „Tylko bez dziwactw, kochanie. Co powiesz na schabowy?”.

Poprzestaję na jego ulubionych potrawach. Szarlotka z sosem waniliowym. Strucla z dżemem. Kapusta duszona z mięsem i ziemniakami. Kielbaski zapiekane w cieście. Nigdy o tym nie wspomina, ale pewnie matka przyrządzała mu je w dzieciństwie. Albo należały do ulubionych potraw jego ojca. To takie ujmujące.

Mieliśmy szczęście, Ernest i ja. Niedługo po ślubie dostał pracę w dużym koncernie chemicznym: wytyczona ścieżka awansu, korzystne godziny pracy, trzy tygodnie wakacji w roku. Kupiliśmy ładny dom na nowym osiedlu, praktyczny samochód rodzinny. Mamy dwójkę dzieci, Cheryl i Marka; oboje są już prawie dorośli i świetnie im idzie na studiach. Żadnych poważnych chorób, klęsk ani nawet włamania. W zeszłym miesiącu, jak to często bywa po przyjęciu u nas w domu, Ernest dostał kolejny awans. Mawia w żartach, że to sprawka mojej kuchni. Nie wynikają z tego żadne wielkie pieniądze. Po co nam więcej? Jestem oszczędna. Nie przepadam za futrami ani biżuterią. Mamy ładny, wygodny dom oraz nową przeszkloną werandę. Chodzę na zajęcia układania kompozycji kwiatowych, a Ernest ma swojego golfa. Dzieciom nic nie brakuje. Jesteśmy zabezpieczeni.

A jednak czasami zachodzę w głowę, gdzie się podział mężczyzna, którego poślubiłam. Ach, nie jestem rozgoryczona, skądże znowu. Ale muszę przyznać, że choć na szczęście Ernest nie należy do grona nieodpowiedzialnych mężczyzn, przed którymi ostrzegała mnie moja matka, niekiedy zastanawiam się, co by było, gdyby miał w sobie więcej... hm... żaru. Gdyby był chociaż trochę mniej angielski. I gdybyśmy (ten jeden jedyny raz) spędzili wakacje w Bombaju albo Marrakeszu zamiast w Skegness czy Zatoce Robin Hooda. I dla odmiany trochę zaryzykowali, otworzyli się na coś nowego. Albo choć raz zjedli gobi saag aloo zamiast wołowiny z cynaderkami zapiekanej w cieście.

W zeszłym miesiącu była rocznica naszego ślubu. Dwadzieścia pięć lat, kto by pomyślał, srebrne wesele. Na tę okazję zaplanowałam ucztę. Ernest pracował do późna (obowiązki na nowym stanowisku), pomyślałam więc, że zaskoczę go uroczystą kolacją. Wyjęłam książkę, odruchowo otwierając ją na pierwszych stronach, zapisanych niemal całkowicie po angielsku i w przeciwieństwie do reszty dość czytelnych.

Dwadzieścia pięć lat małżeństwa nauczyło mnie, że przepisy z pierwszych dziesięciu stron są całkowicie bezpieczne. Och, wprawdzie czasem dochodzą mnie dziwne odgłosy i zapachy albo raptem przygasa światło, zmienia mi się perspektywa widzenia lub widzę, że ściany przechylają się na jedną stronę, ale moim zdaniem to niewielka cena za pyszny pudding Yorkshire albo leciutką tartę z twarogiem. Zresztą zazwyczaj dzieje się tak jedynie

za pierwszym razem, potem jest spokojniej. To doskonale przepisy: żadnego oszczędzania na składnikach ani kupowania mrożonego ciasta francuskiego. Przyprawy mielę własnoręcznie w dużym kamiennym młynku, który dostałam od Ernesta na pierwszą rocznicę. Nie żałuję ani chwili - na gotowanie potrzeba czasu. Sprawia mi to prawdziwą przyjemność. Nigdy nie przepadałam za nowoczesnymi gadżetami - mikserami, robotami kuchennymi, mikrofalówkami i resztą. Ernest nazywa je „złodziejami smaku”.

Dwadzieścia pięć lat, pomyślałam. Książka kucharska musi zawierać co najmniej tysiąc przepisów, a ja korzystałam zaledwie z pierwszych trzydziestu. Były najnowsze, wskazywał na to stan papieru. Późniejsze kartki miały kolor starego pergaminu do pieczenia, pismo zaś zrudziało i wyblakło. Powyżej setnej strony było niewiele zapisków po angielsku, a i te stały się prawie nieczytelne. „Zmieszać tykwę mąki kukurydzianej z utłuczonym drewnem smokowca, gdy księżyc jest w czwartej kwadrze...”. Serio!

Ale w sumie nie było tak źle. Przerzucając kartki, znalazłam kilka ciekawych przepisów, które nie brzmiały nazbyt wymyślnie. Jako danie główne zamierzałam podać pieczone udziec jagnięcy, na deser placek z brzoskwiniami i lodami. Na przystawkę zaś chciałam zaserwować coś, czego do tej pory nie przyrządzałam. Przecież Ernest nigdy nie powiedział wprost, żebym nie wychodziła poza dziesiątą stronę. No i mieliśmy rocznicę. Podczas niektórych uroczystości nawet doskonała sałatka z krewetek po prostu jest zbyt banalna.

Znalazłam go w okolicach czterdziestej strony. Część tłumaczenia napisano po francusku, ale rozumiałam większość tekstu. Brzmiał bardzo zachęcająco. Zresztą w szkole byłam niezła z francuskiego. Uznałam, że sobie poradzę. Entree. To znaczy przystawka, prawda? Uważnie przejrzałam listę składników. Raczej nie stanowiły problemu. Niektóre wyrazy zapisano w skrócie (uznałam, że „jog.” oznacza „jogurt”); natknęłam się też na dziwną pisownię. Czas gotowania również był niejasny: znalazłam wyraz podobny do „długo”, co bynajmniej nie ułatwiało sprawy. Uznałam, że gdy mięso poleży w marynacie z ziół godzinę lub dwie, z pewnością nabierze aromatu.

Początkowo szło śpiewająco. Swoim zwyczajem utłukłam przyprawy w młynku, następnie dodałam kropelkę wytrawnej sherry, jogurt i cukier. Całość wyglądała trochę blado, ale dołożyłam łyżeczkę Gentleman's Relish [Gentleman's Relish (ang.) - popularna w Anglii pasta z sardeli, masła, orientalnych ziół i przypraw. (Przyp. tłum. (w tłumaczeniu wyraz brzmiał rapace d'homme [Rapace d'homme (franc.) - drapieżnik polujący na człowieka; także: chciwość, żądza. (Przyp. tłum.) pewnie chodziło o francuski odpowiednik). W przepisie napisano po prostu viande, więc wzięłam ładny kawałek piersi z kurczaka, bez

skóry, pokroiłam w paseczki i włożyłam do naczynia z marynatą. Następnie zajęłam się jagnięcina. Zapadał zmrok, ale dopiero gdy zdejmowałam skórkę ze zblanszowanych brzoskwiń, zobaczyłam, że lampki w kuchni przygasły, zamieniając się w czerwone punkciki. W powietrzu unosił się zapach przypominający fetor śmietników pozostawionych na słońcu. Pewnie dolatywał od sąsiadów, ja dwa razy dziennie przecieram nasz kosz środkiem dezynfekującym. Następnie rozległ się głośny łomot za ścianą w kuchni. Przypuszczałam, że nastoletni syn sąsiadów znowu nastawił wieżę na cały regulator; chwała Bogu, nigdy nie mieliśmy takich kłopotów z naszą dwójką. Rozpyliłam odświeżacz powietrza i dokładnie pozamykałam okna.

Przygotowując ciasto do deseru, usłyszałam gong, jakby podziemny dzwon raz po raz wybijał ten sam głuchy ton. Ze zdenerwowania mało nie zapomniałam obrócić kurczaka w marynacie.

Spojrzałam na zegar kuchenny. Ernest wróci do domu o ósmej, czyli została godzina na przygotowania. Jeżeli lampy znowu zaczną dziwnie się zachowywać, będę musiała rozstawić świece. Zresztą taka miła odmiana nie zaszkodzi. Doda kolacji nieco romantyzmu.

Jagnięcina wyszła pierwsza klasa. Przygotowałam też pieczony pasternak, ziemniaki piure i nowalijki, a placek z brzoskwiniami wstawiłam pod grill w piekarniku, żeby na wierzchu zrobiła się chrupiąca skorupka. Jeszcze raz przewróciłam kawałki kurczaka i w nagrodę nalałam sobie mały kieliszek czerwonego wina.

Siódma trzydzieści. Wyłączyłam piekarnik i zostawiłam placek, żeby trochę ostygł (najlepszy jest nieco przestudzony, z lodami waniliowymi). Postanowiłam obsmażyć kurczaka, a z reszty marynaty zrobić sos. Była to dość śmiała decyzja, zważywszy na upodobania Ernesta, ale uznałam, że jeśli danie nie będzie mu smakowało, zawsze mogę przyrządzić naprędce sałatkę z krewetek.

Dzwon nie przestawał bić. Rozważałam możliwość zastukania w ścianę, ale po namyśle zrezygnowałam. Nie warto zadzierać z sąsiadami. Za karę nie dostaną od nas kartki na Boże Narodzenie, i tyle.

Włączyłam radio. Nastawiłam stację z muzyką klasyczną (nic szczególnie wyrafinowanego, tylko najszynniejsze utwory) i podkręciłam głośność, żeby zagłuszyć dzwonenie. Od razu lepiej. Nalałam sobie drugi kieliszek wina.

Nastawiłam piekarnik na niską temperaturę, żeby mięso było ciepłe, i zaczęłam nakrywać do stołu. Podłoga przechyliła się nieco, ściany odchyliły się od pionu, obrus zaś uparcie zjeżdżał ze stołu. Wreszcie unieruchomiłam go posrebrzanym świecznikiem, po czym ustawiłam na środku kompozycję z czerwonych goździków. Zganiłam się w duchu za wino,

gdyż kręciło mi się w głowie, a ręka dygotała tak bardzo, że świeca gasła za każdym razem, gdy próbowałam ją zapalić. Ponownie poczułam stęchłą woń, a dźwięk gongu zagłuszył nawet radio, które zresztą również zaczęło szwankować: od czasu do czasu muzyka cichła i rozlegały się przeraźliwe piski. W pokoju zrobiło się strasznie gorąco (jak zawsze podczas gotowania), dlatego przykręciłam termostat i powachlowałam się egzemplarzem „Radio Times”.

Za kwadrans ósma nadal panował nieznosny upał. Miałam nadzieję, że nie zanosi się na burzę; na dworze zapadł nieprzenikniony mrok. Z radia dochodziły tylko piski, więc je wyłączyłam. Mimo to nadal słyszałam daleki świst, przypominający odgłosy pustyni. Pewnie coś z prądem. Dudnienie gongu zaczęło działać na mnie kojąco. Miałam wrażenie, że gdyby ucichł, pozostałe odgłosy dotarłyby do mnie znacznie wyraźniej.

Usiadłam i poczułam, że skądś ciągnie. Wiało jednak nie zimnym, a gorącym powietrzem. Zajrzałam do kuchni, chcąc sprawdzić, czy zamknęłam piekarnik. Wszystko wyglądało jak należy. Wówczas zauważyłam, że okienko łączące kuchnię z jadalnią jest uchylone na kilka cali. Czerwone światło padało na blat. Drzwi do kuchni zamknęły się z cichym trzaskiem.

Nigdy nie należałam do histeryczek. Jest to cecha, którą Ernest lubi we mnie najbardziej: nie cierpię robić zamieszania. Lecz patrząc na zamknięte drzwi, zatrzęślam się od stóp do głów. Odgłosy dobiegające zza ściany przybrały na sile: dzwon bił ogłuszająco, rozlegało się szuranie oraz coś, co przypominało głosy, mrukiwe głosy szepczące w jakimś niezrozumiałym języku. Światło padające na blat wcale nie przypominało elektrycznego, raczej dzienne, ale było jakoś bardziej czerwone i ciemniejsze, jakby pochodziło od słońca znacznie starszego niż nasze. Naszło mnie mimowolne podejrzenie, że za okienkiem znajduje się nie jadalnia, lecz zgoła odmienny krajobraz: stary, potwornie jałowy i pokryty pyłem, a z piasku wystają wyszczerbione mury niegdyś wspaniałych miast, natomiast na czerwonej linii horyzontu czai się coś nieokreślonego i (na szczęście) ponad wszelkie wyobrażenie. Powoli wyciągnęłam rękę, aby domknąć okienko, wówczas jednak ogarnęła mnie niezbita pewność, że po drugiej stronie ktoś (odrażająco, niewyobrażalnie inny) chyłkiem próbuje uczynić to samo i wnet poczuję dotyk jego palców; wtedy zaś będę krzyczeć i krzyczeć bez końca...

To musiało być wino. Cóż innego? Wiedziałam jednak, że jeśli zaraz nie wyjdę z kuchni, zhańbię się do reszty. Zrzuciłam fartuch, chwyciłam torebkę i błyskawicznie pobiegłam do drzwi wyjściowych, zamykając je za sobą na klucz. Oczywiście, kolację trzeba będzie spisać na straty, lecz nawet ta potworna myśl nie nakłoniłaby mnie do powrotu.

Dałabym głowę, że gdy przekręcałam klucz w zamku, z kuchni doleciał odgłos wzmożonego szurania oraz niepokojący brzęk naczyń, jakby coś ogromnego przepchnęło się przez okienko, rozrzucając filiżanki i spodki po linoleum. Niewątpliwie była to sprawka pobudzonej wyobraźni. Albo wina. Mimo to wolałam nie ryzykować. Nie w naszą rocznicę. Ernest zrozumie.

Spotkałam go, kiedy szedł podjazdem, jak zwykle punktualny.

- Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy, kochanie - powiedziałam bez tchu, całując go w policzek.

Zerknął przelotnie na okno kuchenne, gdzie za firanką czerwone światło rozgorzało na dobre.

- Gotowałaś coś, skarbie? - zapytał czujnie. - Masz rumieńce.

Posłałam mu swój najdzielniejszy uśmiech.

- Pomyślałam, że moglibyśmy to uczcić i skosztować dziś czegoś innego - odrzekłam.

Ernest okazał pewne zdenerwowanie i jego oczy znowu powędrowały do okna. Podążając za jego wzrokiem, odniosłam wrażenie, że za firanką przesuwają się jakieś cień, przerażająco bezkształtny i wielki.

- Czy coś się stało? - spytał Ernest.

- Skądże - odparłam zdecydowanie, ciągnąc go w przeciwnym kierunku. - Może przydałoby się nam trochę odmiany? Co powiesz na rybę z frytkami, a potem kino? W kinie Majestic grają coś z Clintem Eastwoodem. Po filmie wpadniemy do pubu.

- Hm... to byłoby miłe. - Ernest odetchnął z ulgą. Za naszymi plecami załomotały drzwi kuchenne, brzęknęło szkło. Szliśmy naprzód, nie oglądając się za siebie. - Jesteś pewna, że wszystko gra? - powtórzył Ernest.

- Naturalnie - odpowiedziałam. - Mały wypadek w kuchni, nic wielkiego. Wszystko będzie dobrze. Zresztą - dodałam wesoło, zatrzasnąwszy furtkę ogrodową - nie mogę ciągle sterczeć przy garach, prawda?

Sprzątnę po powrocie, postanowiłam w duchu, kiedy szliśmy Acacia Drive, trzymając się za ręce. Przy odrobinie szczęścia może nawet uratuję jagnięcinę. Zjemy ją jutro na zimno, z młodymi ziemniakami i sałatką. Deser chyba też będzie dobry.

Nie byłam tylko pewna, czy przetrwa kurczak.

Łut szczęścia

Liceum w Leeds, gdzie spędziłam dziesięć owocnych lat, stało się źródłem inspiracji do napisania wielu opowiadań. Ich akcja jest zazwyczaj osadzona w liceum męskim imienia Świętego Oswalda, miejscu fikcyjnym, które z biegiem czasu zyskało w moim umyśle wszelkie pozory realności. Oto jedno z tych opowiadań. Przypuszczam, że nie ostatnie.

Ostatnia opowieść świata powstała między godziną siódmą pięćdziesiąt pięć a ósmą trzydzieści, w piątek, pierwszego grudnia 2002 roku. Lwia jej część zrodziła się zapewne podczas śniadania, lecz rozchybotane pismo w ostatnich dwóch akapitach i nonszalanckie potraktowanie wielkich liter oraz interpunkcji wskazywało na to, że końcówka została napisana w szkolnym autobusie. Była to dziewiętnasta praca na stercie złożonej z dwudziestu dwóch zeszytów, co oznaczało, że gdy pan Fisher przystąpił do jej sprawdzania, dochodziła godzina siedemnasta.

Pan Fisher wiódł samotny żywot w niedużym domu szeregowym w centrum miasta. Nie miał samochodu; z tego względu wolał spędzać piątkowe wieczory w szkole i sprawdzać prace, które musiał oddać w następnym tygodniu. A i tak potem zabierał do domu stertę nieprzeczytanych zeszytów. Od ponad czterdziestu lat nosił je w tej samej starej skórzanej teczce, wprawdzie wysłużonej i przetartej w szwach od ciężaru dziesiątek - setek - tysięcy wypracowań, lecz wciąż nadającej się do użytku. Akurat tego dnia odkrył w niej dziurę, przez którą długopisy, linijki, tudzież inne drobne przedmioty mogły wyslizgnąć się niepostrzeżenie i zagać. Na dworze zapadł zmrok i zaczął prószyć mokry, mało romantyczny śnieg. W trosce o stan teczki pan Fisher postanowił zostać trochę dłużej, zaparzyć sobie ostatnią filiżankę herbaty i sprawdzić resztę prac.

W liceum imienia Świętego Oswalda dobiegał końca niezbyt udany semestr. Dla większości chłopców z 3f pisanie wypracowań miało tę samą rangę, co nauka tańców ludowych oraz zajęcia z technologii żywienia. Perspektywa świąt Bożego Narodzenia oraz rychłych egzaminów powodowała jeszcze większy spadek kreatywności. Ależ tak, próbował zachęcić ich do nauki. Mimo to książki już nie budziły w uczniach takiego entuzjazmu jak dawniej. Pan Fisher pamiętał czasy - niezbyt odległe - gdy młodzież kipiała inwencją, książki były na wagę złota, świat zaś pełen opowieści, które mknęły jak gazy, atakowały jak tygrysy i eksplodowały jak fajerwerki, rozświetlając serca i umysły. Widział to wszystko; lubił patrzeć, jak klasę ogarnia gorączka. Były to czasy bohaterów, smoków i dinozaurów, odkrywców kosmosu, męźnych rycerzy oraz olbrzymich małp. W owych czasach, pomyślał

pan Fisher, pomimo czarno-białych filmów snuliśmy marzenia w kolorze, dobro niezmiennie brało górę nad złem i tylko Amerykanie mówili po amerykańsku.

Teraz wszystko było czarno-białe i choć pan Fisher od lat nauczał z niezmienną pasją i poświęceniem, czuł, że jego głos nie brzmi tak przekonująco jak dawniej. Jego uczniom, zadufanym wyrostkom o wyżelowanych włosach i idealnym uzębieniu, wszystko wydawało się nudne. Szekspir był nudny. Dickens i Na całym świecie chyba nie było historii, której by nie słyszeli. Sam pan Fisher zaś (który niegdyś marzył o zostaniu pisarzem) stopniowo i mimowolnie dochodził do straszliwego wniosku. Zrozumiał mianowicie, że dotarli do kresu wszechrzeczy. Wszystko zostało już napisane. Magia ulotniła się bezpowrotnie.

Zaiste była to ponura refleksja. Pan Fisher porzucił tę myśl i na pocieszenie wyjął z teczki czekoladowe ciasteczka. Nie wszyscy chłopcy cierpieli na brak wyobraźni. Na przykład Alistair Tibbet. Pomińmy fakt, że część wypracowania napisał w autobusie. Sympatyczny chłopak, rozczulająco niechlujny i wiecznie roztargniony. Niezbyt błyskotliwy, to prawda, jednakże miał w sobie iskrę, która z całą pewnością zasługiwała na uwagę.

Z głębokim westchnieniem pan Fisher utkwiał wzrok w zeszytcie Tibbeta, próbując nie myśleć o padającym śniegu oraz o tym, że autobus o siedemnastej na pewno odjedzie bez niego. Jeszcze cztery zeszyty, postanowił w duchu, a potem do domu, a tam kolacja, potem łóżko - drobne krzepiące przyzwyczajenie podczas zimowego weekendu. I tak pan Fisher dopił wystygłą herbatę, po czym przystąpił do lektury ostatniej opowieści świata.

Minęło kilka minut, nim zrozumiał, że ma do czynienia z Opowieścią Ostatnią. Jednakże w miarę upływu czasu, siedząc w rozgrzanej klasie, przesyconej wonią kredy i pasty do podłóg, pan Fisher doznał uczucia szczególnego. Zaczęło się od skurczu przepony, jakby uruchomił dawno nieużywany mięsień. Zaczął szybko oddychać, następnie dławić się, po czym znowu gwałtownie nabierał powietrza. Złany potem czytał wypracowanie. Po skończonej lekturze odłożył czerwony długopis i wrócił do początku, powoli i metodycznie czytając każde słowo.

Zapewne tak czuje się poszukiwacz złota - zawiedziony, bez grosza przy duszy, gotów wracać do domu - który przystaje na drodze, ściąga but i wytrząsa zeń bryłkę kruszcu wielkości własnej pięści. Pan Fisher raz jeszcze przeczytał wypracowanie, tym razem krytycznie, zapewniając marginesy czerwonymi uwagami. Nadzieja, zrazu nieśmiała, z każdą chwilą przybierała na sile. Na jego ustach zamajaczył mimowolny uśmiech.

Gdyby wówczas ktoś go spytał, czego dotyczyło wypracowanie Tibbeta, odpowiedź nastroczyłaby mu niemało trudności. Opowiadanie zawierało wątki rozpoznawalne, mgliście znajome elementy: przygoda, wyprawa, mężczyzna, dziecko. Jednakże próba przedstawienia

opowieści Tibbeta w takich kategoriach równała się jałowej próbie opisanja ukochanej twarzy w kategoriach nosa, oczu bądź ust. Pan Fisher miał przed sobą coś nowego. I od początku do końca oryginalnego.

W ciągu czterdziestu lat pracy w zawodzie nauczyciela języka angielskiego pan Fisher doszedł do wniosku, że literatura nie kryje w sobie żadnych nowości. Doskwiera jej wieczna powtarzalność fabuły: nieszczęśliwi kochankowie, motyw wędrówki, sprytny oszust, zemsta, ocalenie, męka dojrzewania oraz bezustanna walka dobra ze złem. Większość wspomnianych wątków stosowano jeszcze przed epoką Szekspira; ba, nawet Biblia zawierała niewiele nowatorskich rozwiązań. Tutaj zmiana kostiumu, tam miejsca akcji: historie nie umierają, odradzają się tylko mniej więcej co pokolenie, dopasowane do stylu epoki. Owo przekonanie dawno temu położyło kres ambicjom pana Fishera: zirytowany uznał, że cokolwiek napisze, pozostanie jedynie mglistym odzwierciedleniem czegoś innego.

Ale oto okazało się, że jego teoria się nie sprawdziła. Opowiadanie Tibbeta było ponadczasowe, jego przesłanie na wskroś oryginalne - być może po raz pierwszy od stu lat - święty Graal literatury, ostatnia opowieść na świecie.

Pan Fisher uznał, że taka historia mogłaby stać się przedmiotem zainteresowania wielu ludzi. Na przykład Hollywoodu, skażonego brakiem nowych pomysłów, sięgającego po coraz drastyczniejsze środki ekspresji oraz motywy z gier komputerowych. Wydawców książek, gazet, czasopism. Odkrywca idea mogła zapoczątkować dynastię, pokolenia pokrewnych opowieści. Właściciel praw autorskich zasługiwał na więcej niż tylko sławę czy bogactwo. Zasługiwał na nieśmiertelność.

Przed oczami pana Fishera ponownie stanął Alistair Tibbet. Miły, niezbyt błyskotliwy chłopiec. Nieco przydługie włosy, rozchełstana koszula, notoryczne spóźniałstwo. Mało wyszukany styl, makabryczna ortografia. Trudno oczekiwać, żeby ktoś taki mógł godnie zaistnieć w mediach. Cóż za marnotrawstwo. Wątpliwe jest, by Tibbet docenił wagę swego odkrycia; sam charakter pisma świadczył o wyjątkowym roztargnieniu. Pan Fisher doszedł do wniosku, że Tibbet od początku odgrywa w tym wszystkim rolę drugorzędną: genialnego idioty, który przypadkowo odkrywa zasadę matematyczną, ale nie potrafi wyłożyć jej zasad. Nie, Tibbet zmarnuje swoją szansę. Zresztą, któż był jego nauczycielem? Kto wszystkiego go nauczył? Czterdzieści lat wytężonej pracy to nie byle co: ten chłopiec nareszcie wynagrodzi mu poniesione trudy.

Pomimo upływu lat pan Fisher nigdy nie zapomniał o swych dawnych ambicjach. Przyjął tylko - jak się okazało, niesłusznie - że brakuje mu talentu bądź inspiracji, by samemu chwycić za pióro. Teraz uprzytomnił sobie, że powstrzymywała go jedynie niepewność i

strach. Wreszcie dotarło do niego, co pragnie powiedzieć, jak odcisnie w historii swój ślad. Wiedział, co pozwoli mu tego dokonać: przed jego oczami wyrastała wizja trzystustronicowej powieści. Przede wszystkim liczyło się właściwe potraktowanie tematu, bez którego każda opowieść, choćby nie wiadomo jak oryginalna, była tylko pobożnym życzeniem. Poza tym przecież nawet Szekspir czerpał inspirację z Boccaccia. Pan Fisher postanowił, że do niedzieli sporządzi konspekt, który następnie roześle do wydawców. Ostrożność była jak najbardziej wskazana: oświadczenie, zdeponowane w banku, potwierdzi, że prawa autorskie należą do niego. Na rynku wydawniczym roiło się od ludzi pozbawionych skrupułów, w przemyśle filmowym tym bardziej. Przy odrobinie szczęścia przed świętami zaczną napływać oferty.

A Tibbet? W ferworze gorączkowych planów pan Fisher niemal zapomniał o uczniu. Chyba coś mu się należało? Naturalnie współudział w przedsięwzięciu nie wchodził w rachubę. Przy swarliwości dzisiejszego społeczeństwa, ani chybi, oznaczało to kłopoty. Pan Fisher pograżył się w głębokim namyśle. Następnie ujął czerwony długopis i starannie napisał pod wypracowaniem: Interesujące - konieczna większa dbałość o styl. 4+. Uznał to za dostateczne wyróżnienie; średnia ocen w tej klasie rzadko wynosiła więcej niż 3.

Dwadzieścia pięć po piątej. Z korytarza dobiegł hałas: sprzątaczkę chowały wiadra i miotły. Następny autobus pana Fishera odjeżdżał o wpół do szóstej: jeśli się pospieszy, powinien zdążyć. Pozostawiwszy na skraju biurka stertę zeszytów trzecioklasistów - oprócz zeszytu Tibbeta, który wraz z ciastkami umieścił w teczce - oplukał filizankę, zamknął szufladę na klucz i włożył płaszcz.

Na dworze wciąż sypał śnieg; płatki wirowały bez ładu i składu. Pan Fisher ruszył w stronę przystanku. Panował przejmujący ziąb. Nauczyciel uświadomił sobie, że w pośpiechu zapomniał szala i rękawiczek, leżących w szufladzie biurka, ale dochodziło wpół do szóstej, dlatego postanowił nie wracać. Wolał złapać autobus.

Ulicą jeździło niewiele pojazdów; na skraju drogi utworzyła się szara breja. Autobus się spóźnił. Pan Fisher stanął pod zdewastowaną budką przystanku i zawzięcie chuchając w dłonie, rozmyślał o książce. Serce waliło mu w piersi, był jednak pełen niezwykłej energii. Jakby znów miał trzynaście lat, palce umazane atramentem, w ustach metaliczny posmak młodości, w sercu zaś niezbitą pewność, że któregoś dnia będzie wielki i stanie się bohaterem...

W budynku szkoły kolejno gasły światła. Za dziesięć szósta i wciąż ani śladu autobusu. Pan Fisher postanowił iść piechotą. Od domu dzieliło go zaledwie parę mil, przynajmniej będzie miał więcej czasu do namysłu.

Uznał, że rzucanie się na pierwszą ofertę byłoby wielkim błędem. Lepiej odczekać kilka miesięcy, niech wydawcy się licytują. Na szczęście nie był w ciemną bity. Jego doświadczenie wreszcie się na coś przyda.

Pogrążony w miłych marzeniach maszerował szybkim krokiem, uśmiechając się pod nosem. Po chwili poczuł głód; na wspomnienie ciastek przystanął i otworzył teczkę.

Ciastka znikły. Pan Fisher zmarszczył brwi. Czyżby zostawił je w szufladzie? Nie, pamiętał, że wziął jedno, a resztę schował do teczki. Sprawdził raz jeszcze, dla pewności stając pod latarnią. Ciastka przepadły jak kamień w wodę. Pomarańczowe światło pomogło mu rozwiązać zagadkę. Dziura w rogu teczki powiększyła się o całą długość szwu, czego nie zauważył, przejęty rozmyślaniami o książce. Pan Fisher poczuł przyływ irytacji. Nie znośił niczego gubić. Jego rozdrażnienie było tak wielkie, że minęło kilka sekund, zanim przypomniał sobie o zeszytach Tibbeta.

Zeszytu nie było. Pan Fisher poczuł, jak pot występuje mu na czoło. Książka! Sprawdził ponownie, przetrząsając rozdygotanymi rękami rozdartą teczkę. Dziennik w sztywnej oprawie i plastikowy segregator tkwiły na miejscu, za duże, by wypaść. Tak samo piórniki. Ale opowieść, Opowieść Ostatnia, znikła bez śladu. Ogarnęła go fala paniki. Musiał ją zgubić po drodze. Tylko gdzie? Znajdował się milę od szkoły, zeszyt wypadł gdzieś na trasie. Pan Fisher postanowił wrócić tą samą drogą i go znaleźć.

Jak pomyślał, tak zrobił. Posuwał się bardzo wolno: wiatr wiał mu w twarz, zapierając dech, śnieg zacinął boleśnie. Co gorsza, pan Fisher stwierdził, że opowieść rozmywa mu się w pamięci. Pamiętał wprawdzie niektóre elementy - wędrówka, mężczyzna, chłopiec - lecz najbardziej utkwily mu w głowie błędy ortograficzne oraz fakt, że uczeń odrobił lekcje w autobusie.

Chodnik pobieliał, zamieć utrudniała widoczność. Pan Fisher wędrował po własnych śladach, które wkrótce zasypał śnieg. Niczego jednak nie znalazł. Na przystanku też było pusto. Podszedł nawet pod bramę szkoły, ale zeszyt przepadł.

Kiedy o ósmej wieczorem znalazła go policja, gołymi rękami rył w zaspie pokrywającej krawężnik i z dzikim wzrokiem mamrotał coś pod nosem. Policjanci natrafili na niego w samą porę, gdyż - jak powiedział oficerowi dyżurnemu sierżant Merle - stary dureń był bliski śmierci. Zawieźli go na oddział urazowy. Okazało się, że szukał zeszytu jakiegoś ucznia. Co za poświęcenie. Tym nauczycielom naprawdę za mało płacą. Kopał jak szalony. Pomyślałby kto, że szukał złota.

Rocznik '81

Napisałam to opowiadanie do antologii; dochód z jej sprzedaży przeznaczono na akcję „Magiczny Milion”, zainicjowaną, by wesprzeć rodziców samotnie wychowujących dzieci. Miało być historią o czarach, lecz dotyczy raczej sytuacji, kiedy po magii nie zostało już śladu...

Było nas dwanaścioro. Wszyscy stoimy na zdjęciu, od prawej: Hannah Malkin, Claire Corrigan, Anne Wyrđ, Jane Beldame, Gloria Krone, Isabella Fraye. W dolnym rzędzie: ja, niemożliwie młoda, dalej Morwenna Hagge, Judith Weisz, Carole Broome i Dizzy McKelpie w okularach jak denka od butelek, z rudymi włosami rozsypanymi na kołnierzu mundurka. Po lewej stronie widać Paula (Chalky) Wighta, naszego rodzyńka i niekwestionowanego prymusa. W branży czarodziejskiej początkowo chłopaków jest jak na lekarstwo, a potem dostają najcieplejsze posadki. Zastanawiałam się, czy ta reguła sprawdziła się w przypadku Paula Wighta. Ciekawe, czy się ożenił.

Od razu czułam się niepewnie. Obiecałyśmy to sobie dwadzieścia lat temu, co dla osiemnastolatka było niemal wiecznością. Potem słyszałam plotki i czytałam artykuły w gazetach, lecz nie utrzymywałyśmy kontaktu, prócz sporadycznych kartek na Boże Narodzenie czy Lampas [Saksońskie Święto Chleba (obchodzone 31 lipca), podczas którego zjada się pierwsze wypieki z zebranego w tym roku ziarna. (Przyp. tłum.)]. Doszły mnie słuchy, że Carole zamieszkała w walijskiej komunie, Hannah poślubiła uzdrowiciela ciała astralnego, zamieszkałego w Milton Keynes, a Isabella pracowała w City jako konsultantka. Wszystko to brzmiało dość konwencjonalnie. Jednakże pogłoski nie pozwalały ustalić kwestii zasadniczych: która przytyła, która straciła moc (albo, co gorsza, parała się Kaosem), która przeszła transformację plastyczną, a następnie wyparła się tego w żywe oczy.

Oczywiście Dizzy stanowiła wyjątek. Któż nie znał losów Desiree McKelpie? Była człowiekiem instytucją - oglądałyśmy jej twarz na okładkach brukowców, na billboardach i ekranach telewizorów. Warzyła miłosne nalewki na potrzeby członków rodziny królewskiej oraz hollywoodzkiej śmietanki. Wiedziałyśmy o jej romansach i rozwodach; wzdychałyśmy na widok wytwornych kreacji, snułyśmy domysły nad obwodem talii, która z roku na rok stawała się coraz węższa.

Spojrzałam na siebie krytycznym okiem. W przeciwieństwie do Annę, Dizzy czy Glorii nawet w szkolnych czasach nie należałam do chudzielców. Na próżno rezygnowałam z puddingów, pomimo starań smukła sylwetka zawsze jawiła się jako coś nieosiągalnego. Po

dwudziestu latach nic a nic w tej kwestii się nie zmieniło. Ciekawe, kto wpadł na kretyński pomysł, żeby urządzić zjazd w spaghetterii.

Przyszłam za wcześnie. Na zaproszeniu widniała godzina dwunasta trzydzieści, a było dopiero dziesięć po. Chwilęostałam przy drzwiach, nadrabiając miną, ale co rusz ktoś mnie potraçał, więc postanowiłam zająć miejsce przy wielkim stole z tabliczką REZERWACJA. Dwie dziewczyny zachichotały, kiedy przeciskałam się obok nich. Oblałam się rumieńcem. Nie moja wina, że przejście było takie wąskie.

Na wszelki wypadek trzymając mocno torebkę, trąciłam biodrem wazon z kwiatami i mało brakowało, a by się przewrócił. Dziewczęta znowu parsknęły śmiechem. Ogarnęły mnie złe przeczucia.

Odszukałam swoje miejsce (nazwisko na bileciku napisano z błędem). Na stole stały cztery butelki wina i cztery wody mineralnej. Nalałam sobie kieliszek czerwonego wina i wypilałam duszkiem, po czym przesunęłam butelkę na drugi koniec stołu w nadziei, że nikt nie zauważy. Po namyśle doszłam jednak do wniosku, że nie ujdzie to uwagi tej małej zmi Glorii Krone, która nie powstrzyma się od kąśliwych uwag. Z powrotem przysunęłam butelkę do siebie.

Dwadzieścia lat. Niewyobrażalny szmat czasu. Ponownie spojrzałam na zdjęcie. Oto ja, w skromnym czarnym mundurku, z prawą ręką dumnie zaciśniętą na miotle. Oczywiście miotła pełni w dzisiejszych czasach głównie symboliczną rolę. Żadna dorosła wiedźma nie trwonilaby swojego chi na to, by wprawić ją w ruch. Nie w dobie klasy biznes. Nawiasem mówiąc, nigdy nie leciałam klasą biznes. Według Alexa to strata pieniędzy. Wyliczył sobie nawet, że za jeden bilet w klasie biznes można kupić trzy miejsca w klasie ekonomicznej, do tego pół butelki szampana, dwie kanapki pret-a-manger oraz zestaw przyborów toaletowych, i jeszcze zaoszczędzić trochę grosza. Co nie znaczy, że kiedykolwiek wcieli! ów pomysł w życie. Również i to uważa za stratę pieniędzy. Na dobrą sprawę ostatni raz lecieliśmy samolotem na wycieczkę do Algarve w 1994 roku; marudził przez cały lot, że zajmuję zbyt dużo miejsca. Może jednak miotła nie byłaby taka zła.

Nalałam sobie drugi kieliszek. Nie chodzi o to, że jestem niezadowolona z życia. Cóż znaczy magia wobec poczucia bezpieczeństwa? Gospodyni domowa, lat trzydzieści osiem, żona konsultanta zarządu, dom w Croydon, dwóch synów w wieku piętnastu i dwunastu lat - do tego atrybut magii (na pamiątkę dawnych czasów). Wystarczy, aby zapewnić człowiekowi pełnię szczęścia. Tak czy inaczej, nie jest źle. Cóż, bywało lepiej.

Zawartość butelki zmniejszyła się do jednej trzeciej. Oczywiście pozornie; robią tak wąskie szyjki, że człowiek naleje mały kieliszek, a można odnieść wrażenie, że opróżnił

butelkę do połowy. Teraz na pewno wszystkie zauważą: Gloria Krone łypnie niebieskim okiem i szepnie coś do Isabelli Fraye, swojej dawnej przyjaciółki, po czym obie wlepią we mnie chytre, złośliwe spojrzenia kotów syjamskich. „Kochanie, myślisz, że zagłąda do kieliszka? To już przechodzi wszelkie wyobrażenie!”.

Postanowiłam pozbyć się dowodu, ukrywając butelkę pod krzesłem w pewnej odległości od siebie. Uczyniłam to w ostatniej chwili, gdyż wylaząc spod obrusa, zobaczyłam kobietę - czarownicę - która kierowała się w moją stronę. Na moment ogarnęła mnie panika. Wstałam i ocierając usta wierzchem dłoni, rozpoznałam Annę Wyrd.

Nic a nic się nie zmieniła. Wysoka, szykowna blondynka w czarnym kostiumie - spodnie najwyraźniej włożyła na gołe ciało. Nigdy jej nie lubiłam; należała do paczki trzech rozchichotanych pańienek z dobrego domu. Chwilę później nadeszły jej przyjaciółki, Morwenna Hagge oraz Claire Corrigan, również obleczone elegancką czernią. W przyplwywie złośliwej satysfakcji zauważyłam, że Morwenna zaczęła farbować sobie włosy, i z rozczarowaniem musiałam przyznać, że bardzo jej z tym do twarzy.

- Kochanie - powiedziała wylewnie Annę. - Ani trochę się nie zmieniłaś. - Mimochodem zerknęła na bilecik z moim nazwiskiem. Wymamrotałam jakiś bezmyślny komplement i opadłam z powrotem na krzesło. - Cóż, trzeba się starać, kotku - odrzekła Annę, nalewając wodę do szklanki. - Nie mamy już osiemnastu lat, prawda?

Stopniowo zjawiały się pozostałe. Gloria i Isabella z okrzykiem padły sobie w objęcia; jasne włosy identycznie ostrzyżone na pazia i senne spojrzenia jeszcze bardziej upodobniły je do kotów. Przyszła też Carole Broome, której widok ucieszył mnie bardziej, niż byłam skłonna przypuszczać. Nigdy nie łączyła nas szczególna zażyłość.

- Chwała Bogu, Carole - powiedziałam z entuzjazmem.

- Już myślałam, że jako jedyna nie ubrałam się na czarno.

Carole była niegdyś młodą, pilną i niezbyt atrakcyjną wiedźmą, której zainteresowania oscylowały bardziej wokół zielarstwa niż pirotechniki. Nikt nie chciał jej mieć w swojej drużynie podczas gry w miotły. Teraz znacznie schudła; nosiła koronę z warkoczy, długą fioletową suknię z aksamitu oraz wiele srebrnych błyskotek. Przypomniałam sobie plotkę, że przestaje z radykalną grupą walijskich czarownic, i poczułam się trochę nieswojo. Miałam nadzieję, że nie będzie mnie zanudzać opowieściami o pentagramach, puginałach i rytualnym zrzucaniu szat. Z pewnym niepokojem stwierdziłam, że wyznaczono jej miejsce obok mnie.

- Masz nieciekawą aurę - oznajmiła, sięgając po butelkę z wodą. - Fuj! Gazowana! Kelner, poproszę o wodę niegazowaną. Czy możemy wspólnie naradzić się nad menu?

Kelnerka, przestraszona dziewczyna z kucykiem, podeszła do nas ze zrozumiałym ociąganiem. Głos Carole brzmiał donośnie i kategorycznie.

- Widzę, że nie macie tu opcji wegetariańskiej - powiedziała oskarżycielsko.

Oho. Wzdrygnęłam się z poczuciem winy. Prawdę mówiąc, miałam apetyt na stek.

- Cóż, może pani zamówić omlet z grzybami albo makaron fusilli... - zaczęła kelnerka.

- Nie jadam jaj - warknęła Carole. - Ty też byś nie jadała, wiedząc, jaki mają wpływ na twoją karmę. Co do fusilli... - Spojrzała bacznie na kartę dań; powiększone okularami oczy wyglądały jak zielone spodki. - Czy to makaron z pszenicy?... Nie mogę jeść makaronu z pszenicy - powie działa do mnie, kiedy urażona kelnerka poszła skonsultować się z kucharzem. - Jest dla mnie stanowczo za bardzo jin. Za dużo jin mąci aurę. Chyba poprzestanę na wodzie i surówce z zielonych warzyw z ekologicznych upraw.

Z rezygnacją odsunęłam menu. Stek i frytki odpłynęły w siną dal. Na szczęście zjawiały się pozostałe czarownice. Powitałam je z ledwo skrywaną ulgą. Zawsze dosyć lubiłam Hannah Malkin; przyszła też Jane Beldame, zażywna i nieco męska w tweedowej spódnicy i zakiecie.

- Wspaniale cię widzieć, stara! - zawołała, roztaczając aromat wełny i naftaliny. - Macie alkohol?

Klapnęła na krzesło obok mnie (było to miejsce przeznaczone dla Judith Weisz) i naląła sobie czerwonego wina do samego wrębu kieliszka, nie zważając na piskliwe protesty Carole.

- Po tylu latach mamy co wspominać!

Pod wpływem słów Jane cofnęłam się myślami do uczt wyprawianych o północy w internacie (zawsze któraś stała na czatach, aby w porę ostrzec nas przed nadejściem przełożonej), wyścigów na miotłach urządzanych na korytarzu, pornograficznych kart tarota, wykradzonych profesorowi LeMage'owi, które posłużyły nam do rozszyfrowania osobistych fetyszy każdej z nas... I po raz pierwszy przyszło mi do głowy, że zjazd to wcale niegłupi pomysł.

Potem przyszła Judith Weisz, bezbarwna czarownica o ziemistej cerze, ciesząca się jeszcze mniejszą sympatią niż Carole. Wyglądała na dużo starszą od nas. Nie zaprotestowała, że ktoś zajął jej miejsce.

- O nie, to ta wstrętna Weisz - szepnęła Gloria do Isabelli. - Szybko, przesuń się, żeby tu nie usiadła.

Judith musiała dosłyszeć tę uwagę, lecz nie rzekła ani słowa. W milczeniu usiadła obok Hannah i zaplotła ręce na kolanach. Zrobiło mi się jej żal, chociaż nigdy nie byliśmy przyjaciółkami. Ciekawe, po co w ogóle przyszła.

Za kwadrans pierwsza było nas dopiero dziesięć. Jane opróżniała już trzeci kieliszek, Hannah uczyła mnie, jak odróżnić ciało fizyczne od astralnego, Isabella dyskutowała z Claire Corrigan o transformacjach plastycznych („To już nie jest czarna magia, skarbie, dzisiaj każdy to robi”), Gloria i Morwenna porównywały zaklęcia miłosne, Annę czytała przyszłość z zacieków na kieliszku Jane, a Carole wyklócała się z kucharzem („Proszę się zastanowić, co czuje pomidor!”). Właśnie gdy Judith odkryła pod swoim krzesłem na wpół opróżnioną butelkę wina, w progu stanęła Dizzy McKelpie i rozejrzała się po sali, świadoma wrażenia, jakie wywoła. Pamiętałam ją jako bladego chudzielca z masą rudych loków i okularami w brzydkiej czarnej oprawce. Okulary zniknęły, odsłaniając wielkie oczy i powłóczyste rzęsy, włosy zostały spektakularnie wygładzone, a smukłą kibić opinała czarna suknia z dżerseju, spod której wyglądały szkarłatne pantofle na niebotycznych obcasach. Natychmiast ściągnęła na siebie uwagę wszystkich obecnych - goście wytrzeszczyli oczy, a Dizzy wdzięcznie udała, że niczego nie zauważa. Usłyszałam, jak Gloria szepcze do Isabelli: „Transformacja”. Kątem oka dostrzegłam, że Carole zaciska dłoń na amulecie; nawet Jane była pod wrażeniem. Dizzy przedefilowała między stołami pod obstrzałem spojrzeń i wytwornie osunęła się na krzesło obok Judith.

- Przepraszam za spóźnienie - powiedziała słodko. - Byłam na spotkaniu z bardzo ważnym klientem, który ma potworne kłopoty z mediami.

- Kto to taki? - spytała Gloria. Oczy mało nie wyszły jej z orbit.

- Tajemnica. To bardzo delikatna sprawa - szepnęła Dizzy. - Chyba mogę liczyć na wasze zrozumienie. - Potoczyła wzrokiem po twarzach obecnych. - Kogoś brakuje?

Czarownice popatrzyły po sobie.

- Paula Wigha - rzekła po chwili Annę. - Na śmierć o nim zapomniałam.

Było to całkiem zrozumiałe: w szkole Paul bez reszty oddał się nauce, głuchy i ślepy na wdzięki koleżanek. Początkowo uznano to za posunięcie taktyczne, mające na celu podsycenie zainteresowania własną osobą, lecz żadna z dziewcząt nigdy nie zdołała go usidlić. Moim zdaniem był po prostu ambitny, a dziewczęta nie odgrywały dlań żadnej roli. Wątpiłam, czy w ogóle się zjawi.

- Cóż, dochodzi pierwsza - powiedziała Dizzy. - Skoro go nie ma, zacznijmy zamawiać. Piętnaście po drugiej mam ważne spotkanie.

Wszystkie zgodziłyśmy się, że nie będziemy czekać na Paula Wighta, oprócz Carole, która utrzymywała, że lunch nie zajmie więcej niż pół godziny, i Judith, która nie odezwała się ani słowem.

Złożyłyśmy zamówienie. Carole poprosiła o sałatkę złożoną z karmicznie neutralnych warzyw („Korzenie generalnie są zbyt jang, a rzodkiewka ma duszę”), Gloria i Isabella o zupę z ciabattą, Hannah - tagliatelle z owocami morza, a Claire, Morwenna i Annę - fusilli. Jane zamówiła krwisty stek z podwójną porcją frytek. Popatrzyłam na nią z zazdrością; pod bezlitosnym spojrzeniem Carole odważyłam się tylko na pizzę wegetariańską, wprawdzie potencjalnie niebezpieczną („Węglowodany zaburzą równowagę czakr”), lecz przynajmniej dopuszczalną karmicznie.

Tylko Jane zamówiła deser. Annę, Gloria i Isabella były bez przerwy na diecie, Dizzy ciągle zerknęła na zegarek, a krytyczne uwagi Carole zniechęciły resztę koleżanek. Zaczęłyśmy rozmawiać. Ktoś - chyba Dizzy - sprawił, że (ku osłupieniu kelnerki) wino płynęło nieprzerwaną strugą, rozmowa zaś, początkowo zdawkowa, nabrała tempa. Może nawet za bardzo, gdyż nadszedł moment, którego tak bardzo się obawiałam - pytania, przechwałki, kłamstwa. Dizzy bawiła towarzystwo anegdotami z medialnej branży czarodziejkiej. Następnie przyszła kolej na Annę, eksperta od rytuałów usuwania złych energii w pomieszczeniach domowych („Feng shui to przeżytek, teraz liczy się szamanizm”), potem na Isabellę, która w swej pracy posługiwała się piramidami, dalej Claire, uzdrawiającą za pomocą kryształów, zamężną z wyznawcą kultu Odyna, mającym atrybuty w postaci dwóch kruków i wilka, oraz Glorię, trzykrotną rozwódkę, instruktorkę seksu tantrycznego i medytacji na uniwersytecie w Warwick. Nawet Hannah wtrąciła swoje trzy grosze. Rzuciła pracę (na co wszystkie czarownice prócz mnie zareagowały świętym oburzeniem), poświęciła się mężowi i zajmowała się córką, czteroletnim oczkiem w głowie mamusi, bardzo uzdolnionym magicznie.

- Jesteś jakaś milcząca - zauważyła Carole, która od pewnego czasu nie spuszczała ze mnie oka. - Co u ciebie?

Dokąd doprowadziła cię nauka w szkole?

Stało się najgorsze. Opowieść o Aleksie i chłopcach, choć niezbyt porywająca, nie nastęrczyła trudności, jeśli jednak odkryją mój prawdziwy sekret... Rzuciłam zdawkowo, że macierzyństwo to zajęcie w pełnym wymiarze godzin. Miałam nadzieję, że Carole przypuści atak na kogoś innego. Była jednak uparta jak osioł.

- Masz bardzo mętną aurę - nie dawała za wygraną. - Chyba nie zaniedbałaś magii, co?

Wymamrotałam coś o kiepskiej formie.

- Niedobrze - powiedziała Carole. - Wypróbujmy kilka prostych ćwiczeń, dobrze? Może jakieś podstawowe zaklęcie?

- Raczej nie - odparłam, modląc się w duchu, żeby zniżyła głos.

- Dalej - ponagliła Carole. - Jedno małe zaklęcie. Przecież nikt nie będzie się śmiał, na miłość boską.

Skupiłam na sobie spojrzenia wszystkich obecnych. Gloria zmrużyła błyszczące oczy.

- Daj spokój, Carole - rzuciłam słabym głosem.

- Dasz radę - wtrąciła Dizzy, włączając się do gry. - Co po wiesz na lewitację? Albo przywoływanie przedmiotów?

Kupa śmiechu. Jeśli po tylu latach potrafiłabym cokolwiek przywołać, to jedynie przytulną, czarną dziurę, żeby w niej się schować.

- No dobrze - powiedziała Dizzy, przysuwając świecznik w moją stronę. - Zapal świecę. To najprostsza sztuczka pod słońcem. Tak jak jazda na miotle. Nie sposób tego zapomnieć.

Łatwo powiedzieć. Nigdy nie byłam szczególnie biegła w sztuce latania na miotle, nawet w szkole. Poczułam, jak pot występuje mi na czoło.

- No już - ponagliła Dizzy. - Pokaż nam. Zapal świecę.

- Zapal. Zapal. - Do głosu Dizzy dołączyły następne.

Trzęsłam się jak osika. Byłam o krok od wyjawienia tajemnicy, która przynosi hańbę każdej szanującej się wiedźmie. Wszystko przez Alexa, pomyślałam, sięgając po świecę i wlepiając spojrzenie w zimny knot. Małżeństwo z mężczyzną spoza branży przypominało związek z osobą niepalącą - nieustanny konflikt interesów. Koniec końców ktoś musi ustąpić. Wypadło na mnie, dla dobra małżeństwa oraz dzieci. Nawet atrybut - czarny kot o imieniu Pan Tibbs - należy właściwie do chłopców (pozbawionych iskry magicznej i bez reszty oddanych komputerom oraz grze w piłkę) i trwoni czas, podczas linienia zostawiając futro na dywanie i torturując myszy, doskonale obojętny na tajemnice wszechświata. Mimo to (pomyślałam, mając oczy załzawione z wysiłku) coś powinno zostać, jakiś okruch magii, który pozwoliłby mi zachować twarz. Gloria szepnęła coś Isabelli; kątem oka dostrzegłam na twarzy Dizzy ów wygłodniały, rozbawiony wyraz, który widywałam u Pana Tibbsa chwilę przed polowaniem na mysz.

- Ona nie potrafi.

-To niemożliwe, żeby...

- Straciła moc.

- Ciiicho.

Nie było mnie stać nawet na najprostsze zakłęcie. Spurpurowiałam, pocąc się niemilosiernie. Żadnego błysku, ognia, małej iskierki. Podniosłam wzrok w nadziei, że napotkam choć jedną parę współczujących oczu, ale Hannah była wyraźnie skrępowana, Judith przysypiała, a Jane niefrasobliwie raczyła się drugim kawałkiem ciasta czekoladowego. Zrezygnowana popatrzyłam na siebie oczami koleżanek: byłam grubym, niespełnionym trutniem, który nie umiał nawet zapalić świecy.

Naraz coś rozbłysło mi między palcami i poczułam woń spalenizny. W ostatniej chwili odsunęłam głowę: z knota buchnął płomień, niemal trawiąc świecę. Raptem świeca oderwała się od świecznika i eksplodowała nad naszymi głowami feerią barwnych iskier. Pozostali goście niczego nie zauważyli - ktoś rozciągnął nad stołem magiczną osłonę.

Gloria, mocno pochylona nad świecą, odskoczyła z niekontrolowanym wrzaskiem. Carole ze zdumieniem popatrzyła na okopcony świecznik.

- Podobno wyszłaś z wprawy! - wydusiła wreszcie.

Pośpiesznie wyciągnęłam wnioski. Nie ulegało wątpliwości, że ktoś maczał w tym palce, chcąc oszczędzić mi upokorzenia. Popatrzyłam na koleżanki, lecz na ich twarzach malowała się jedynie złośliwość, zaciekawienie i zgroza. Dizzy wytrząsała iskry z długich włosów. Garść popiołu wpadła do kieliszka Isabelli, ochlapując ją winem.

- Rany! - zawołała z podziwem Jane. - Co tu się stało?

Próbowałam się uśmiechnąć.

- Taki mały żart.

- Żart, dobre sobie - burknęła Gloria. - O mało nie przy paliłaś mi brwi.

- Mam więcej mocy, niż sądziłam - mruknęłam.

Z uczuciem bezbrzeżnej ulgi nalałam sobie wina. Carole powstrzymała się od komentarza; widziałam, że jest pod wrażeniem. Po chwili zasypała mnie gradem pytań: gdzie przeszedłam zaawansowane szkolenie, czy doznałam duchowego oświecenia, kto był moim mentorem.

- Chyba nie robisz nic zakazanego, co? - spytała podejrzliwie, kiedy skromnie uchyliłam się od odpowiedzi.

- Ty też się zamknij - przerwała Carole. - Ty i te medialne czary. Jeśli sądzisz, że twoja groteskowa transformacja robi na kimkolwiek wrażenie...

- Transformacja! - wrzasnęła z oburzeniem Dizzy. - Wiedz, że moje ciało jest doskonale naturalne! Ja o siebie dbam! Ćwiczę!

- Daj spokój, skarbie - wtrąciła słodko Morwenna. - Nie ma się czego wstydzić. Mnóstwo czarownic ucieka się do zaklęć, kiedy to i owo zaczyna im wiotczeć.

- Twoim tłustym łydkom nie pomogą nawet zaklęcia.

Próbowałam interweniować. Nagromadzenie energii w powietrzu sprawiło, że włoski na rękach stanęły mi dęba i poczułam mrowienie na skórze. Atmosfera zgęstniała od czarów. Co też dolano do tej wody? Elixir prawdomówności? A może coś jeszcze gorszego?

- Posłuchajcie... - zaczęłam, ale było już za późno.

Czarownice kipiały wściekłością. Morwenna sięgnęła do włosów Dizzy, która odpowiedziała jej tym samym. Raptem między ich palcami zaiskrzyły wiązki elektryczności. Wiedźmy odskoczyły od siebie jak oparzone, z włosami postawionymi na sztorc.

- Coś ty zrobiła? - warknęła Dizzy. Jej dystygowana poza ulotniła się bez śladu.

- Nic! - zawyła Morwenna, ruszając zdrętwiałymi palca mi. - Co ty zrobiłaś?

Na szczęście wciąż znajdowałyśmy się pod osłoną magicznej tarczy. Pozostali goście jedli posiłek, nieświadomi zamieszania.

- Ale jazda - skomentowała wesoło Jane, połykając ostatni kęs ciasta. - Zupełnie jak za dawnych czasów.

- Właśnie - dodała sarkastycznie Judith.

Prawie o niej zapomniałam. Od początku siedziała przy stole, wodząc sennym wzrokiem i nie zabierając głosu. Minione dwadzieścia lat ani na jotę jej nie zmieniło: nadal była mrukliwą, brzydką wiedźmą, która zawsze miała zwolnienie z gimnastyki, nigdy nie dostawała listów z domu i spędzała święta w internacie. Kiedyś przydarzyło mi się to samo, gdy rodzice wyjechali na konferencję okultystyczną do Nowej Zelandii. Pomimo masy prezentów czułam się wówczas bardzo pokrzywdzona. Wszystkie uczennice wyjechały do domów. Prócz Judith. Oczywiście wiedziałam, że zawsze zostaje w internacie, ale tak naprawdę nigdy przedtem nie zaprzętało to mojej uwagi. Gdyby była bardziej przystępna i mniej pochłonięta nauką, mogłybyśmy wykorzystać tę okazję, żeby się zaprzyjaźnić. Wkrótce jednak odkryłam, że Judith samotna jest równie ponura i milcząca, jak Judith w tłumie. Nie szukała mojego towarzystwa; całymi dniami przesiadywała w bibliotece, herbarium albo obserwatorium. Niemniej jednak byłyśmy tam tylko we dwie - nie licząc nauczycieli i ich atrybutów - toteż któregoś wieczora zjadłyśmy razem ostatnie z moich świątecznych ciast i wypiliśmy butelkę wina z czarnego bzu. Przypomniałam sobie o tym dopiero teraz. Po feriach jak gdyby nigdy nie wróciłyśmy do swoich zajęć, rozpoczynając ostatni rok nauki. Popatrzyłam na nią uważnie.

- Co robiłaś po szkole, Judith?

Wzruszyła ramionami.

- Nic szczególnego - odparła. - Wysłałam za męża. - Miałam nadzieję, że dobrze ukryłam zdziwienie. - Mąż jest psychonautą - ciągnęła Judith chłodnym, beznamiętnym tonem. - Wykłada teorię pola morficznego oraz paradygmat chaosetyczny.

- Naprawdę? - Wymienione terminy nic mi nie mówiły; zagadnienia, których dotyczyły, wybiegały poza najbardziej zaawansowane kursy, które zdołałyśmy zaliczyć. - A ty?

Judith uśmiechnęła się lodowato.

- Jestem metamorfotyczką. Innymi słowy, specjalistką od transformacji plastycznej. Usługi dla osób, które mają gdzieś swoją karmę.

- O bogini - jęknęła Carole, która przysłuchiwała się rozmowie. - Jesteś Kaoistką.

- Ktoś musi to robić - oświadczyła Judith. - Skoro ludzie wolą płacić za moje usługi, aniżeli samodzielnie zgłębiać tajniki wiedzy...

- Płacić karmą z kolejnego wcielenia!

Judith wzruszyła ramionami.

- A kogo to obchodzi? - spytała. - Jeśli Dizzy pragnie się odrodzić jako rzodkiewka, to jej sprawa. - Pozostałe czarownice wlepiły w nas wzrok. Dizzy była blada jak płótno. - Zawsze mną pogardzałyście - ciągnęła Judith tym samym chłodnym tonem. - Stałam się pośmiewiskiem klasy.

- Judith... - wtrąciłam niepewnie. Przyszło mi do głowy, że przy jej możliwościach byłoby dziecięcą igraszką zamienić nas w ropuchy. Domyśliłam się, kto zapalił świecę, i z wrażenia zaschło mi w gardle.

- Niewiele się zmieniłyście - oznajmiła spokojnie Judith. - Gloria nadal jest małą zmiłą, Dizzy tanią efekciarą, Annę snobką, a Carole nadętym beztalenciem. Żadna z was nie jest prawdziwą wiedźmą (Carole zaprotestowała piskliwie, by zaraz zatuszować to kaszlem). - Judith spojrzała na mnie. - Z wyjątkiem ciebie - powiedziała z nieznacznym uśmiechem. - Nigdy nie zapomniałam tamtych świąt, kiedy podzieliłaś się ze mną ciastem. Na szczęście umiem dochować tajemnicy - dodała, patrząc na Dizzy, chociaż mówiła chyba do mnie. - I nie wierzę w zemstę.

Podczas przemowy wstała i po raz pierwszy zauważyłam, jaka jest wysoka. Nie wiedziałam też, skąd wcześniej przyszło mi do głowy, że wygląda staro. Przeciwnie, wyglądała młodo i atrakcyjnie, wręcz olśniewająco.

- Cóż - dodała lżejszym tonem. - Koniec na dzisiaj. Za raz zjawi się mój mąż. Nie chcę, żeby czekał.

W milczeniu odprowadziłyśmy ją wzrokiem. Gloria i Isabella siedziały jak skamieniałe, nawet Carole zapomniała języka. Kiedy Judith znikła za drzwiami, jak na komendę podbiegłyśmy do okna. Dostrzegłyśmy ich w przelocie; prawdziwych czarowników, idących ramię w ramię. Mężczyzna był wysoki i jasnowłosy; pomyślałam, że to Paul Wight, ale nie miałam pewności. Patrząc za nimi, zachodziłam w głowę, jak to możliwe, że dwoje ludzi sprawia wrażenie wolnych, spokojnych, pewnych siebie i swojej przyszłości. Wiedźmy powoli wróciły do stołu, dyskusje rozgorzały na nowo. Wydawało mi się, że chodnik migocze z lekka, ale tego też nie byłam pewna.

Raut

Nałogowo zaczytuję się w kolorowych czasopismach o życiu śmietanki towarzyskiej. Ukazywany w nich świat jest moim zdaniem fascynujący, złowrogi, często przygnębiający, czasem zaś na swój sposób zabawny. Poniższe opowiadanie nie jest oparte na autentycznych wydarzeniach, ale być może to tylko kwestia czasu.

Nazywam się Angela K. Może o mnie słyszeliście; prowadzę rubrykę towarzyską w magazynie „Pożegnanie”. Lat dwadzieścia dziewięć, atrakcyjna i zdolna - mam imponujące CV, dyplom z dziennikarstwa, słynną siostrę (niegdysiejszą twarz kosmetyków Pluvióse), idealną cerę oraz korony warte piętnaście tysięcy funtów. No i jeszcze jedno - moja kariera jest skończona. Szlus. Finita. Fini.

Stało się to w zeszłym tygodniu, przy przekąskach i szampanie. Najbardziej sensacyjne derniere sezonu (podobno wszyscy nieśmiertelni zapowiedzieli swój udział), a ja miałam szczęście je relacjonować. Bądź co bądź właśnie dlatego wybrałam pracę w gazecie: podróże, blichtr, ploteczki oraz najbardziej emocjonujące wydarzenia towarzyskie. Wiedziałam, że jeśli stanę na wysokości zadania, napłyną kolejne zlecenia. Tego rodzaju spotkania były bardzo na czasie, a magazyn „Pożegnanie” miał ambicje stać się liderem wśród pism podejmujących tę tematykę. Wybór, oczywiście, padł na mnie, inteligentną i ustosunkowaną dziennikarkę, szczupłą i nierzucającą się w oczy blondynkę. Miałam obserwować, nadać relacji swobodny charakter i nie zwracać na siebie uwagi. Nie mogło się nie udać. Niby jak?

Starannie dobrałam strój. Warto mieć siostrę modelkę: człowiek poznaje projektantów, dostaje mnóstwo próbek i gratisów, nie wspominając o rzeczach po siostrze, które jednak nie dość, że napełniają goryczą, to na dodatek wymuszają zachowanie smukłej sylwetki.

Naturalnie obowiązuje czern (bez dwóch zdań) oraz wiśniowe dodatki (w tym sezonie bardzo na topie). Klasycznie od stóp do głów, żadnej golizny ani ekstrawagancji. Przecież idę tam jako dziennikarka.

Uroczystość odbywała się o godzinie piętnastej w najbardziej prestiżowym londyńskim krematorium (odnowione wnętrze i półroczna lista oczekujących). Przyszłam nieco za wcześnie, gorączkowo ściskając czarno zdobione zaproszenie, ale nie dając się ponieść nerwom. Naturalnie siostra podeszłaby do tego spokojnie, cóż, miała wprawę.

Uwielbiała spotkania towarzyskie - jeszcze przed wejściem do budynku naliczyłam trzech z grona jej ekskochanków - znała dosłownie wszystkich.

Dziennikarze przybywają pierwsi; za barierką dostrzegłam tłum fotografów i kamery telewizyjne. Rozpoznałam swą główną rywalkę Amber D. z czasopisma „K.O.” oraz Piersa z „Krema”. Kiedy weszłam na przepyszny czarny dywan i wręczyłam zaproszenie dwóm ochroniarzom stojącym przy drzwiach, błysnął flesz. Zostałam rozpoznana.

To było jak sen. Nadeszła chwila, do której wiodło całe moje dotychczasowe życie. Oszołomiona wkroczyłam do środka. Po raz pierwszy gościłam na tak ważnej uroczystości jako ja, a nie niezdarna młodsza siostra gwiazdy. Wspaniałe uczucie. Nareszcie wyszłam z jej cienia, ludzie - mężczyźni - patrzyli na mnie z ciekawością i podziwem. Wiedziałam, że wyglądam świetnie; ostatnia dieta przyniosła efekty: wróciłam do rozmiaru sześć, choć aby zmieścić się w jej ostatnich ciuchach, musiałam jeszcze zrzucić parę kilo. Gładkie włosy, szykownie blada twarz (opalenizna jest obecnie zdecydowanie passe), wiśniowe paznokcie lśniące jak lustro. Wiem, że gdyby tam była, skupiłaby na sobie wszystkie spojrzenia, nie dlatego, że jest ładniejsza, ale z powodu tej sukni, tego mężczyzny, skandalu albo rozstania. Lecz bez niej ja też stałam się nieśmiertelna: byłam wolna i osiągalna, bajkowa księżniczka na bajkowym balu, drepcząca w szklanych pantofelkach w poszukiwaniu swojego księcia...

W głównej sali panował tłok. Bar na drugim końcu serwował „Czarnych Rosjan” (retroironiczny drink sezonu) oraz anyżowy kir, kelnerzy roznosili białogę i bliny, a młode gwiazdki obsiadły eleganckie fotele i sącząc wodę mineralną, rozmawiały o zmarłej.

- Cóż, to nie mogło odbyć się tak błyskawicznie. Nie wiesz, skarbie, ile tu się czeka?

- Pewno nieźle posmarowali.

- Podobno chodziło o zaburzenia na tle pokarmowym...

- Coś takiego! Anoreksja czy bulimia?

- Chyba nie ma żadnego oficjalnego sponsora. Wiesz, Tymon kolekcjonuje trofea: ma już ofiarę AIDS, zakrzepicy, raka piersi i ataku terrorystycznego...

- Spójrz na to optymistycznie: wreszcie osiągnęła wymarzony rozmiar zero.

Z wysiłkiem oderwałam się od tej pasjonującej wymiany zdań; miałam na głowie ważniejsze sprawy. Wyjęłam notes (czarna krokodyla skóra, marki Smythson) i zaczęłam pisać.

Czerń zdominowała najważniejszą uroczystość pogrzebową tego lata. Kiedy ponad 600 gości przybyło od krematorium „Czarny sześcian”, wśród ubrań dominowały Prada i Ghost. Miałam okazję zauważyć, że uroczy debiutanci Lucie i Sebastopol Ritz-Carleton popijają „Czarnych Rosjan” z nastoletnim łamaczem serc Jerryem Golentzem. Nicky H. zajrzał

na chwilę, po czym opuścił przyjęcie, a konceptualistyczny duet Grundy i Nebb olśnił towarzystwo idealnie dobranymi wiśniowymi kreacjami...

Wraz z kolejną falą gości dobiegły mnie odgłosy wzmożonego zamieszania.

Nasz reporter zobaczył Ruperta: w nowoczesnej wersji klasycznej wieczorowej marynarki wyglądał zabójczo. Niles i Petrovka wybrali Armaniego, ekscentryczna Piggy Laliąue przyszła od stóp do głów ubrana w Vivienne Westwood, a pisarz Salman Rushdie (z tajemniczą towarzyszką u boku) postawił na wygodę, wkładając T-shirt Gaultiera z nowej kolekcji „In-telligentsia”...

Sceny jak z podbijających rynek powieści typu „trumna i podwieczorek”. Śmierć to aktualna strawa duchowa: lubimy o niej czytać, byle tylko nie dotyczyła nas samych. Wszyscy też podziwialiśmy Hugh Granta i Renee Zelwegger w tegorocznym remake’u klasycznej opowieści „The Wrong Box”... Skala wydarzenia przerosła moje najśmielsze oczekiwania. Tylu niezwykłych gości - a kondukt dopiero miał przybyć! Wzięłam kolejnego blina (były naprawdę przepyszne) i notowałam dalej.

Szef kuchni Armando Pigalle zaskoczył obecnych serią wymyślnych przekąsek. Jako kompozycyjny motyw przewodni wybrał „Ku pamięci” oraz „Strata”: menu składało się z lekkich jak piórko sufletów rozmarynowych, blinów z rybą, błękitnych sushi, pasta negra oraz proustowskich magdalenek w sosie z limy...

Za oknami, obleczonymi w czarne draperie, powstało poruszenie; domyśliłam się, że nadjechał kondukt. Wszyscy podeszli do drzwi, błysnęły flesze. Z notesem w ręku stanęłam na marmurowym stole i wyjrzałam na zewnątrz.

Wbrew niedawnym prognozom nakrycia głowy nadal odgrywają istotną rolę, co, jak zwykle, potwierdzili Phillip i Cozmo. W tym sezonie małe jest piękne; cudeńka z najnowszej kolekcji „Demise” wyraźnie na to wskazują. Nasz reporter zobaczył Isabellę w kaszmirowym cacku „Memento mori”, ozdobionym kościanymi elementami, Helena zaś włożyła na tę okazję zabawny kapelusz w stylu vintage z Czarnogrodu.

Poza kapeluszami nie było wiele do oglądania. Blisko kwadrans wyciągałam szyję, podczas gdy trumnę umieszczono za specjalnym parawanem („Wiadomości ze świata” miały wyłączność na zdjęcia), a ochrona usiłowała zapanować nad tłumem napierających fotoreporterów. Następnie kondukt cofnął się trochę, aby umożliwić operatorom kanału 55 filmowanie z obu stron, dla potrzeb zbliżeń nałożono dodatkową warstwę tuszu do rzęs i przyszła kolej na portrety.

Nowa generacja trumien jest smukła, nowoczesna i bardzo, bardzo sexy. Zmarła wybrała ekstrawagancki model Louisa Vuittona z szyberdachem, w najmodniejszym kolorze

wiśni, kwiaty z „Dzikości serca” oraz muzykę graną na żywo przez zespoły „Hałastra” i „Chandra”...

Tłum wydał przeciągły jęk. Wszyscy wiedzą, że nieśmiertelni podążają w pewnej odległości za trumną - wśród zgromadzonych jest zazwyczaj jeden lub dwóch specjalistów od castingu i nigdy nie zaszkodzi uronić kilku łez, choć niektórzy zawsze przesadzają i wychodzą na durniów. Aby temu zapobiec, podobno ograniczono każdą z mów do dwóch minut (wszyscy pamiętamy żenujący sześciominutowy popis Skinniego McNalty’ego na zeszłorocznej uroczystości Saatchi), a technicy odpowiedzialni za światło i nagłośnienie mieli nakazane ściśle pilnować regulaminowych limitów czasowych.

Defilada po czarnym dywanie może potrwać kolejną godzinę. Przy podobnych okazjach należy pstrykać zdjęcie każdemu z osobna, kiedy zaś fotoreporterzy hurmem ruszają na co ciekawszego gościa, zachowanie niektórych osobistości bywa czasem co najmniej kontrowersyjne. Sięgnęłam więc po kolejny koktajl i śledziłam przebieg wydarzeń przez okno.

Uroczyste derniere to doskonałą okazja na zaprezentowanie najbardziej wymyślnych kreacji. Nasz reporter naliczył sporo awangardowych strojów od Alexandra McQueena, Galliano i Jean-Paula Gaultiera, odjazdowe ubrania żałobne Virgin oraz breloczki do kluczy z najnowszej kolekcji Tracey Emin.

Przy drzwiach zrobiło się małe zamieszanie, kiedy dwie osoby próbowały wejść bez zaproszenia. Ochrona interweniowała błyskawicznie. Za plecami młodej gwiazdki w powiewnych szyfonach dostrzegłam w przelocie starsze małżeństwo, bez kapeluszy i zdecydowanie za stare na obrany przez nie styl funky (zestaw sweterek rozpinany plus perły zachowuje swą ironicznie niedbałą wymowę jedynie poniżej dwudziestego pierwszego roku życia, natomiast czerń wymaga nieskazitelnej cery i odważnych dodatków). Oboje wyglądali na bardzo oszołomionych i rozgniewanych. Usłyszałam, jak ochroniarz z telefonem komórkowym w każdej ręce wyjaśnia im, że osoby bez imiennych zaproszeń nie mają wstępu. Kiedyś mało nie doszło do skandalu, gdy w trumnie mniej ważnego członka rodziny królewskiej odkryto czterech niezaproszonych żałobników. Starsza pani ze łzami w oczach skinęła głową i uwieszona ramienia męża zesłała do strefy wydzielonej dla obserwatorów.

Jak potwierdza nasz reporter, zgodnie z przewidywaniami podjęto szczególne środki ostrożności, także wobec zmarłej.

Racja, pomyślałam. Tłum miał za zadanie trzymać się z daleka i spoglądać z podziwem na defiladę nieśmiertelnych. Tylko tego pragnął: blasku, pokrzepienia, marzeń. Przemysł pogrzebowy natychmiast wyczuł koniunkturę, oferując tańsze kopie fantastycznych

trumien prezentowanych w magazynach „Tren” i „Krema”. Ostatnie sondaże przeprowadzone przez „Pożegnanie” wykazały natomiast, że nasi czytelnicy, świadomi dominujących tendencji, już wpisali się na listę oczekujących na najnowsze egzemplarze (pikowany model Ozymandias firmy Chanel zamówiono z wyprzedzeniem do 2015 roku).

Zobaczyłam trumnę z inicjałami; szyberdach pozwalał zajrzeć do środka. Widoczne z tyłu małżeństwo uparcie nie ruszało się z miejsca, stając w kadrze fotografom „Wiadomości ze świata”. Wokół nich krążyła jasnowłosa specjalistka public relations, z komórką przyciśniętą do ucha. W ogólnym zgiełku usłyszałam jej głos („Tak mi przykro, skarbie, zobaczę, co da się zrobić”), po czym kiedy wniesiono trumnę do budynku, ponownie nastąpiło zamieszanie.

W makijażu dominują barwy zdecydowane; zmarła wybrała metaliczny fiolet firmy Urban Decay oraz dodatki marki Moriarty.

Zza trumny wyłoniła się specjalistka PR, ciągnąc za sobą ogłupiałe małżeństwo. Ochrona przepuściła ich z ociąganiem, czemu się nie dziwiłam: podobne uroczystości narzucają pewne wymogi co do stroju, na miłość boską, tamtym zaś zdecydowanie przydałaby się pomoc stylistów. Na przykład makijaż - kto dziś stosuje na pogrzeb wodoodporny tusz do rzęs? I choć kilka łez nie zaszkodzi, wydmuchiwanie nosa jest niedopuszczalne - wydzielinę są nie na miejscu. Zobaczyłam, że fotograf ustawia starych na tle trumny; powinnam była ich uprzedzić, że zdjęcie i tak powędruje do śmietnika. Ludzie, którzy czytają o podobnych wydarzeniach, są spragnieni blichtru i plotek, a nie ponurych min geriatrycznych bywalców uroczystości pogrzebowych. Zresztą rzucali cień na całe przyjęcie; widziałam, że goście uprzejmie schodzą im z drogi. Nawet przedstawiciele elitarniej agencji Creme-de-la-Creme (od lansowania pogrzebów) zachowali dystans. Co za brak wyczucia, pomyślałam. Żeby tu w ogóle przychodzić!

- Z północy, kochanie. Yorkshire albo Derbyshire, czy coś takiego...

- Chryste, co za nuda. Ciekawe, co ich tu sprowadza. Raczej nie pasują do towarzystwa...

- Pewnie przyjechali na pogrzeb. Ostatecznie była ich córką.

-Okropność! Patrz, idzie kelner, weź koktajl!

Ominąwszy parę szerokim łukiem, spędziłam miłe pięć minut na ploteczkach z Cardamom Burrows i jej przyjaciółką Coriander Hague, świadoma zawistnych spojrzeń Amber z „K.O.”. Małżeństwo z północy stało chwilę na skraju grupy, po czym odeszło na bok, odmawiając poczęstunku. Nikt nie kwapił się do nawiązania z nimi rozmowy.

Goście otrzymali prezenty, w skład których wchodziły supermażące tusze do rzęs firmy Eulogy, miniaturki Moet Black Label, flakony najmodniejszego zapachu Penhaligona „Chryzantema” oraz przepiękny srebrny breloczek do kluczy z motywem trumny od Aspreya & Garrarda. Wszystko zapakowano w torby z limitowanej serii...

Sesja fotograficzna nareszcie dobiegła końca i w pomieszczeniu zrobił się okropny tłok. Temperatura skoczyła o kilka stopni; na szczęście otwarto okna i uruchomiono wentylatory sufitowe. Wiedziałam, że za kilka minut nastąpią przemówienia - szczerze mówiąc, to najnudniejsza część ceremonii, bardzo jednak lubiana przez czytelników. Zresztą na uroczystościach tego typu zawsze znajdzie się słynny żałobnik, który ożywi ponurą uroczystość. W kącie dostrzegłam Madonnę (burka plus prześmiewcza minisukienka) w otoczeniu kilkudziesięciu ochroniarzy w garniturach od Armaniego, pogrążoną w rozmowie z Eltonem Johnem. Opodal stali Tom Parker-Bowles i A.A. Gili (zdziwiona jego widokiem przypomniałam sobie, że prowadzi rubrykę o cateringu pogrzebowym), i witali się wylewnie z Hugh Grantem i Sophie Dahl.

Pośpiesznie zapełniałam kartki. Przestałam pisać pełnymi zdaniami, przeklinając modę, która wyklęła notesy elektroniczne na korzyść papierowych (przyznaję, że akcesoria piśmiennicze są bardzo stylowe). Obiecałam sobie jednak, że wieczorem przepiszę wszystko jak należy na komputerze.

Graham Norton: lureks i kaszmir marki Fake London. Julie Burchill z Tonym Parsonsem (?) - na pewno jakaś pomyłka - może szantaż?? Smakowita gwiazdeczka Apricot Sykes - odpowiednik Johnny'ego Deppa w spódnicy - wicehrabia Wimbourne, Speccy Von Strunckel, Zadie Smith...

Przez chwilę zabawiałam się liczeniem gości, z którymi flirtowała moja siostra. Towarzystwo bawiło się doskonale - trumnę przeniesiono tymczasem na katafalk (gustownie okryty aksamitem). Zespoły grały na całego. Nastął moment zaskoczenia, kiedy przygasły światła i zapadła cisza. Gdy jednak wyszło na jaw, że to wprowadzenie do solowego występu „bez prądu” Johnny'ego Nuisance'a z „Halastry”, który odtworzył 4'33” Cage'a, obecni zareagowali spontanicznym aplauzem.

Przyszła pora na mowy pogrzebowe. Pełni oczekiwania rozstąpiliśmy się na boki, gdy wnoszono ogromną mównicę. Nazwiska słynnych osób, które mają zabrać głos, są pilnie strzeżone; nawet ja nie miałam pojęcia, kto wejdzie na podium. Przybyło tyle sław, że każde wystąpienie z pewnością okaże się wydarzeniem. Wszystko zależało od tego, jaki wizerunek zmarłej zamierzano zaprezentować: intelektualny niepokój (Salman Rushdie, Jeremy Paxman, Stephen Fry); styl funky (Graham Norton); dominacja seksualna (Madonna); styl dziewczęcy

(Stella, Jodie, Kate) albo rozrodzcy (Kit - ty, Piggy, India, Pakistan). Tak czy inaczej, nastąpiła magiczna chwila. Suknie, łyzy, odkryte tajemnice... kto wie, co może się zdarzyć. W zeszłym roku Elspeth Trhaldal-Pursuing wylądowała na pierwszej stronie „Pożegnania” po koncertowym ataku hysterii, podczas którego dziękowała wszystkim, od Boga po papuzkę sąsiadów, za to, że wspierali ją po śmierci ukochanego psa Figgisa. Jim Grossly zaś, legendarny gwiazdor porno, zaskoczył i rozbawił gości, wygłaszając mowę na własnym pogrzebie nagrany na taśmie wideo i zajeżdżając do krematorium karawanem w kształcie gigantycznej prezerwatywy.

Lecz gdy zastygliśmy, wstrzymując oddech, na mównicę weszło małżeństwo z północnej Anglii. Ona nadal ścisnęła sfatygowaną torebkę od Marksa & Spencera (zbyt starą, by uchodziła nawet za styl vintage), on miał na sobie odświętny garnitur i czarny krawat. Owładnęło mną uczucie potwornego deja vu. Kiedy umarła babcia, wszystko wyglądało dokładnie tak samo: ten sam garnitur, identyczna wysłużona torebka, bliźniaczo zbolale miny przy sherry i pieczeni.

Z rosnącym przerażeniem i wściekłością rozumiałam, że zamierzają zabrać głos. Może nawet chcieli zmówić modlitwę, nie wiedząc, że to przeżytek, podobnie jak hot dog i solarium. Poczerwieniałam z upokorzenia. Wszystko zepsują; zrobią scenę, przypominając, że mimo naszych starań śmierć, ów bezlitosny zniwiarz, towarzyszy nam nieubłaganie. Nie mogłam tego znieść. Stara patrzyła prosto na mnie, widziałam oczy osnute siatką zmarszczek, opadające kąciki ust (nie słyszała o botoksie?) zastygłych w grymasie rozpacz, który u Gwyneth lub Halle wyglądałby wyśmienicie, lecz u niej był zbyt rzeczywisty i dosłowny, jak odleżyny lub inne równie przykre schorzenia niepokazywane w filmach.

- Pewnie zastanawiacie się, po co przyjechaliśmy - po wiedziała tym swoim bezbarwnym głosem. - Ale przecież jesteśmy jej rodzicami i chyba nie potrzebujemy zaproszenia na pogrzeb własnej córki.

Też mi przemówienie, pomyślałam. Zwykle rozpoczyna się od podziękowań, po czym przy zachowaniu limitu czasowego rzuca jak największą liczbę sławnych nazwisk.

- Ja urządziłabym to trochę inaczej - podjęła, tocząc po sali zbolalym wzrokiem - ale dziś jest dzień naszej Maggie i wszyscy przyjaciele mają prawo oddać jej ostatnią posługę.

Ostatnią posługę! Co za żenada. Chciałam krzyknąć, żeby przestali, dać im do zrozumienia, że wszystko psują, lecz wciąż czułam na sobie smutne, żalose spojrzenie kobiety (na co się tak gapiła, na miłość boską?), które zapierało mi dech w piersiach i sprawiało, że tkwiłam jak wrośnięta w podłogę. Przymknęłam oczy, czując mdłości.

- Cóż, nie jestem dobrym mówcą - ciągnęła kobieta załamującym się głosem. - Nie chcę wam psuć zabawy. Chciałabym tylko powiedzieć, że... - Urwała, a dźwiękowiec popatrzył wymownie na stoper. - Chcę powiedzieć, że nasza Maggie... nasza Maggie...

Etykieta pogrzebowa wymaga, żeby podczas przemówień stać w miejscu, głównie z uwagi na kamery omiatające widownię oraz z szacunku dla dźwiękowców. Pał sześc, musiałam się napić. Chwyciwszy koktajl z sąsiedniego stolika, wychyliłam go do połowy i mdłości częściowo ustąpiły. Zobaczyłam, że niektórzy goście okazali zdziwienie na dźwięk imienia Maggie - od lat nikt tak jej nie nazywał - ale dziennikarze z wyraźnym zadowoleniem krążyli wokół zebranych, nie żałując sobie alkoholu i jedzenia. Amber z „K.O.”, niezmordowana tropicielka skandali, przypatrywała mi się ukradkiem.

- Moja żona chce powiedzieć - wtrącił stary, starannie dobierając słowa - że Maggie była naszą córką. Rzadko ją widywaliśmy. Robiła karierę i w ogóle. Ale bardzo ją kochaliśmy, tak jak i naszą drugą córkę. Zrobilibyśmy dla nich wszystko, dosłownie wszystko... - (Boże, niech on się wreszcie zamknie, modliłam się w duchu) - ...staraliśmy się ze wszystkich sił. Ale czasem trudno dotrzymać młodym kroku. Nie mieliśmy żalu, kiedy nie przyjeżdżała albo nie dzwoniła. Albo nie miała czasu odebrać telefonu. Byliśmy dumni z naszej Maggie, nadal jesteśmy. Pamiętam, jak...

W tym momencie szczęśliwie upłynęły dwie minuty i wyłączono mikrofon. Odczułam pewną ulgę, że oszczędzono nam wspomnień o cioci Madge i wujku Joe lub - co gorsza - małej Aggie i skrzyni z ubraniami. O tym, jak razem z siostrą tworzyły uroczy duecik, całkiem jak bliźniaczki, małe pieścioszki, dwa aniołki z porcelany. Ponownie otworzyłam notes i zapisałam wściekle: Mowy grubo poniżej oczekiwań. Uwaga na marginesie - ewidentna różnica pokoleń. Zachować lekki ton - np. „torebkowicze” lub „50 sposobów, aby wyzwolić się od matki”. Kiedy jednak podniosłam wzrok, oboje wciąż patrzyli na mnie, ona z wyciągniętą ręką, on z tą swoją skruszoną miną, której zawsze tak nienawidziłam. Zupełnie jakbym coś mogła im dać albo oni mogli dać coś mnie.

-Mamo, proszę cię - wymamrotałam.

Ale kobieta była niewzruszona.

- Daj spokój, Aggie. Nie wstydź się. Ona by sobie tego życzyła.

Ludzie odwracali się, żeby na mnie spojrzeć. Zarumieniłam się po same uszy. Chciałam krzyknąć ze złości („Mamo, błagam cię, daj spokój”), lecz tylko bezsilnie wrzuciłam ramionami z bladym uśmiechem, jakbym padła ofiarą zabawnego malentendu, podczas gdy małżeństwo spoglądało na mnie z podium ze smutnym zdziwieniem, następnie oszołomieniem, a wreszcie zrozumieniem i rezygnacją.

Te dwie minuty tak przygniotły mówcę, że zdawał się nie wyższy niż cztery stopy; krasnal w odświętnym garniturze, z martwą córką u boku. Żona wydawała się jeszcze mniejsza, wysuszona staruszka, która umrze, nie skosztowawszy anyżowego kirą ani blinów z rybą, gotowa nawet znieść męki uroczystego pogrzebu, byle tylko popatrzeć z daleka na dwie utracone córki...

W dzieciństwie nie wybaczymy bliskim ich śmiertelności. Na pogrzebie babci podano sherry i pieczeń; płakałyśmy razem, mama, siostra i ja, nad niesprawiedliwością, która bez ostrzeżenia odbiera nam ukochaną osobę w wieku pięćdziesięciu dziewięciu lat. Następnie schowałyśmy resztki jedzenia do plastikowych pojemników, tato poszedł z kolegami na piwo, a Maggie i ja odgrywałyśmy wróżki, przebrane w stare ubrania babci i umalowane pomarańczową szminką cioci Madge, przysięgając, że będziemy żyć wiecznie. Ale to było dawno temu, świat poszedł do przodu, i słusznie. Nie byłam już Aggie - stałam się Angelą K., wyrafinowaną, dowcipną, stylową, a przede wszystkim opanowaną. Angela K. nie bawiła się w nostalgię, nie płakała i nie siąkała nosem. Była chłodna, wyważona i żartobliwa, oraz całkowicie pozbawiona wydzielin.

- Aggie, kochanie, proszę.
- Twoja mama i ja nie będziemy żyć wiecznie.
- Martwimy się o ciebie. Nie dzwonisz.
- I jesteś taka chuda. Zupełnie jak...
- Twoja siostra.

Tego było już za wiele. Wybuch nadciągał jak lawina, zmiatając wszystko po drodze. Fotografowie też to dostrzegli; poczułam, jak zwracają ku mnie żarłoczne obiektywy. Nie ma bowiem smaczniejszego kąska niż publiczne załamanie nerwowe gwiazdy. Bo przecież byłam gwiazdą, nawet jeśli tylko pośrednio. Znajdowałam się o krok od płaczu; piekły mnie oczy, dusiło w gardle. Wiedziałam, że nie dam rady się powstrzymać, pytanie tylko, ile szkody to przyniesie. I kiedy łzy trysnęły mi z oczu, a smarki z nosa, poczułam, jak wraz z nimi ulatują moje opanowanie, perspektywy, marzenia oraz kariera.

Nie ma ucieczki, dotarło do mnie jak przez mgłę: nieśmiertelni nie istnieją. Śmierć jest wszędzie, obojętna na barierki i oddziały ochroniarzy, głucha na muzykę, plotki i wytworny catering. Tkwiła w nas wszystkich, przechadzała się po deptaku i czaiła w pracowni modnego projektanta. Nosila wymarzony rozmiar zero i brylowała w towarzystwie, doskonała tancerka i błyskotliwa uwodzicielka. Płakałam nad niesprawiedliwością tego wszystkiego, nad nieśmiertelnymi, siostrą, rodzicami oraz sobą. Ponieważ w końcu zawsze płaczemy nad sobą,

prawda? Płacemy, bo wiemy, że nie będziemy żyć wiecznie. Przeklinamy wadliwy gen, który czyni nas śmiertelnymi, i nienawidzimy rodziców, którzy nam go przekazali.

Goście patrzyli jak zaczarowani. Obiektywy aparatów celowały prosto we mnie. Z technicznego punktu widzenia przekroczyłam wyznaczone dwie minuty, ale to było dobre, ba, wspaniałe, w gruncie rzeczy po to właśnie przyszli, żądni surowej cielesności, krwawej ofiary w obecności śmierci, owej niezrównanej imprezowiczki.

- To niesprawiedliwe! - wrzasnęłam, przekrzykując zgiełk. - Nie jestem gotowa!

I gdy błysnęły flesze, zespoły zaczęły na nowo rzępolić, a głos tłumu przeszedł w przeciągły jęk, usłyszałam, jak Amber szepcze mi do ucha: - Wal śmiało, skarbie. Połóż ich trupem.

Wolny duch

Pomysł na to opowiadanie zrodził się w sobotni rano przy brudnym stoliku, w zatłoczonej kafejce supermarketu. Przeraził mnie. I nadal przeraża.

Nie zatrzymasz mnie. Jestem wolnym duchem, płynę niesiona wiatrem. Zeszłą noc spędziłam w Paryżu, na brzegu Sekwany. Spała pod mostem; szesnastoletnia, skonana, piękna. Wokół jej posłania walały się strzępy folii oraz zużyte igły. Od razu wiedziałam, że to ona. Długie włosy o barwie rzeki spływały na śliskie cegły. Leżała z zamkniętymi oczami. Kiedy jej dotknęłam, mruknęła coś pod nosem, plamy wystąpiły na skórze, powieki zadrgały. Czasem chciała coś powiedzieć, ale wymiana zdań okazała się zbędna; rozumiałyśmy się bez słów. Zaciśnęła pięści, szyja i blade ramiona rozkwitły. Jaśniała wewnętrznym blaskiem, rozgorączkowana i śliczna.

Nie miałyśmy dużo czasu, to jedyny minus owych rendez - - vous. Wszystko zakończy się przed upływem doby. Lecz wiatr wieje; porywa kawałek folii spod mostu i niesie ponad Pont-Neuf i Ile de la Cite, aby następnie zrzucić w deszczu konfetti na schody kościoła, gdzie młoda para uśmiecha się do obiektywu.

Na kogo wypadnie tym razem? Na pannę młodą? A może na świeżo upieczonego małżonka? Bardziej ciekawią mnie goście: nastoletni chłopiec z herpes simplex rozsianym wokół kapryśnych ust, babcia z zapadniętą twarzą i guzłowatymi dłońmi ukrytymi w białych rękawiczkach. Wszyscy zdają mi się piękni i jednakowo godni uwagi. Wybór pozostawiam folii, jest w tym swego rodzaju poezja. Folia kręci się, wiruje, a twarze unoszą się do nieba. Muska wargi łysiejącego mężczyzny, cioteczno kuzyna o płaskiej, beznamietnej twarzy, który stoi w pewnym oddaleniu od reszty. A więc on. Idę za nim do domu.

Jego mieszkanie znajduje się w Marne la Vallee; małe i obsesyjnie higieniczne lokum człowieka niemającego przyjaciół. Przy sofie nie ma pustych puszek po piwie; zlew łni czystością. Są za to książki: podręczniki naukowe, słowniki medyczne, wykresy anatomiczne. Cztery razy dziennie ów mężczyzna płucze gardło płynem odkażającym, a zawartość jego apteczki świadczy o zaawansowanej hipochondrii.

Nie, żebym miała coś przeciwko temu; to w pewnym sensie pociągające. Oto człowiek, który nie pojmuje natury ani zasięgu własnych pragnień. Pod afektowaną maską i oczywistym lękiem wyczuwam ukrytą tęsknotę. Poza tym uwielbiam wyzwania.

Tutaj również słowa są zbędne. Pomimo irracjonalnego strachu wita mnie z uczuciem zbliżonym do ulgi, jakby tylko na to czekał. Jego opór kryje w sobie desperację, która dodaje

smaczkowi naszemu spotkaniu; kiedy wreszcie pękają lody, reaguje jeszcze szybciej niż dziewczyna, znękana trudami życia i postępującym zapaleniem płuc.

Lecz coś gna mnie dalej. Dwadzieścia cztery godziny to wszystko, co mogę mu dać; poza tym czuję, że nasze skrajnie różne charaktery nie wróżą niczego dobrego. On pragnie intymności, całodziennego polegiwania w łóżku przed telewizorem, ze szklanką napoju orzeźwiającego pod ręką. Tymczasem ja mam towarzyską naturę; kontakt z ludźmi trzyma mnie przy życiu. Ponownie odczuwam tęsknotę za nocnym życiem, klubami, atrakcjami wielkiego miasta. Gdy zasypia, uciekam, wykorzystując nadejście sprzątaczk.

Kobieta niczego nie podejrzewa; mierzy go baczny spojrzeniem (minęło południe), jakby sprawdzała, czy ma gorączkę. „Wezwać lekarza?“, pyta, a kiedy mężczyzna nie odpowiada, wzrusza ramionami i robi swoje. Tylko tego mi trzeba. Umykam niezauważona, w przelocie muskam jej rękę.

Sprzątaczką jest stara, ale twarda. Mieszka opodal placu Pigalle. To moja ulubiona dzielnica: jaskrawa, brzydka i tętniąca życiem. Kobieta zabiera mnie do Sacre Coeur, gdzie obie odmawiamy modlitwę. Krążę między ludźmi, stąpając zmysłowo po wyslizganej posadzce. Powietrze gęstnieje od zapachu kadzidła; stąd skruszeni grzesznicy przejdą przez Butte de Montmartre na leżący poniżej Pigalle, gdzie zbierają się dziwki i sutenerzy, a kluby ze striptizem właśnie otwierają podwoje.

Chciałabym zostać ze sprzątaczką, lecz życie jest za krótkie. Czekają na mnie setki, tysiące innych. Przechodzę od jednego do drugiego. Najpierw zakonnica - zbiera jałmużnę przy furcie bazyliki i dostaje więcej, niż się spodziewała. Potem starszy mężczyzna - wręcza jej sto franków i niespodziewanie otrzymuje garść drobniaków reszty. Później tego samego wieczora, w ciemnym przejściu nieczynnej stacji metra oboje spotykamy chłopca (pomimo deklarowanych czternastu lat ma dziewiętnaście i interes idzie mu jak po maśle), który zabiera mnie do klubu, gdzie swobodnie wtapiam się w tłum, pływam w drinkach i zaciągam cudzymi papierosami, rozkoszując się dotykiem ciał oraz rozgrzanym, wilgotnym powietrzem.

Wszystkich traktuję jednakowo: młodych i starych, porządnych i zepsutych, kobiety i mężczyzn. Mogę im ofiarować tylko dobę, ale wówczas biorą mnie całą. Kto następny? I gdzie? Czy będzie to igła, pocałunek, zagubiona moneta podniesiona z chodnika i zabrana do domu? A może kostka cukru w zatłoczonej kawiarni, beztraska wędrówka muchy w witrynie cukierni, ukradkowy dotyk zboczeńca w metrze albo kurz przywiany wiatrem i opadły na zaśliniony lizak dziecka? Cokolwiek to jest, ja tam będę. Możesz mnie nie zauważyć, nie odezwę się ani słowem. A jednak będziesz mój. Bliżsi niż kochankowie, ty i ja: spleceni

ciaśniej niż łańcuch DNA. Nic nie zmąci doskonałej fizyczności naszego związku: żadne kłótnie, uwodzenia, kłamstwa. Oddasz mi się bez reszty, ja uczynię to samo. Na jedną, krótką chwilę. Następnie znów ruszę w drogę. Bez żalu. Może polecę do Ameryki zatłoczonym, klimatyzowanym samolotem. Albo do Anglii, tunelem. A może wrócę do Afryki, Azji albo Japonii. Okrążę świat dziesięciokrotnie. Napotkam miliony ludzi. Dlatego nigdzie nie zagrzewam miejsca. Nie zatrzymasz mnie. Szukam towarzystwa. Jestem wędrowcem, podróżnikiem, wolnym duchem. I płynę niesiona wiatrem.

Autodafe

Gdy prowadzimy samochód, w naszym zachowaniu jest coś skrajnie prymitywnego. Przejawiamy instynkt zwierząt stadnych: seksualną agresję, brutalny triumf siły nad słabością, nieustanną walkę o dominację w hierarchii ulicznej. Jedni zwą to szaleńczą jazdą, inni wolą bardziej dosadne określenie.

Lubię samochody. Zawsze lubiłem; już jako mały chłopiec uwielbiałem ich zapach, rozmaite barwy, kształty i rozmiary. Bawiłem się małymi modelami; miałem je wszystkie, do wyboru, do koloru. Teraz sam jestem kierowcą, profesjonalistą, królem szos.

Sami wiecie: samochód określa tożsamość posiadacza. „Odzwierciedla samcze superego - mówi Annie, przynosząc mi filiżankę herbaty. - Stanowi przedłużenie skrywanego pragnienia seksualnej dominacji nad innymi samcami”. To pewnie przez te warsztaty, na które chodzi. Nic tylko Freud i dominacja seksualna. Chciałbym kiedyś odczuć pozytywny skutek tych wszystkich teorii. Ale gdzie tam. Zawsze słyszę tylko: „Nie dzisiaj, skarbie. Mam okres”. Nic dziwnego, że wolę nawoskować wóz.

Fura nie ma sobie równych. Granatowe jak noc BMW. Sportowa kierownica, skórzane fotele, orzechowe wykończenie. Palce lizać. Sam bym taką kupił, gdybym miał dosyć kasy. Sęk w tym, że nie należy do mnie. Jest własnością firmy, która może ją zabrać w każdej chwili. Domyślcie się, co czuję. Albo lepiej się nie domyślajcie. Mam powyżej uszu metafor o kastracji oraz symbolicznym powrocie do łona. Tylko ona mnie rozumie. Moja bryka. Ona i ja - zgrany team, pędzący trzy razy dziennie M1 między Leeds a Sheffield, dzierżyciele niegasnącej pochodni i godni reprezentanci firmy Matthew McArnold & Son Ltd.

W moim fachu człowiek nabywa wiedzy o samochodach wszelakiej maści. Oplach corsa i golfach przyszłych pielęgniarek o imieniu Hayley, sfatygowanych escortach przyszczatych studentów ekonomii, citroenach i odrestaurowanych garbusach słodkich kociaków o imieniu Kate oraz srebrnym lexusie Lena, bankiera i dostojnej głowy rodziny, który przeżywa potajemny romans z Jan, sekretarką klubu tenisowego, dobrze zakonserwowaną czterdziestopięcioletnią właścicielką fordą Ka oraz kosmatych myśli. Znam również stałych bywalców naszej trasy. Kitajca w brązowym nissanie sunny, który notorycznie blokuje środkowy pas. Blondynkę w turkusowym cinquecento, która przy zjeździe na węzeł numer 37 sprawdza w lusterku wstecznym stan swojej szminki. Białego vana z rozjazdu 36, ze szmatą dyndającą na drabinie, która nie mieści się w wozie. Czerwonego probe'a - to dopiero jest typek na warsztaty Annie - który gna pasem szybkiego

ruchu sto pięćdziesiąt na godzinę i trąbieniem zmusza wszystkich, żeby zjechali mu z drogi. No i nieoznakowany biały policyjny samochód - cześć, chłopcy, namierzylem waszego rovera 500! - sorry, za późno. Jak widzicie, znajomość samochodów popłaca.

Weźmy takiego V-Mana. Widzieliście go: czarne volvo sedan, czarne spoilery, przyciemniana przednia szyba, okulary słoneczne jak z „Top Gun”. Gość diabelnie mnie wkurza. Myśli, że przerasta nas o głowę, bo ma limitowaną serię z szyberdachem i „złote” numery: KE 51. Idiota. Każdego cholernego ranka stajemy w szranki, łeb w łeb, jak gladiatorzy, V-Man i ja.

Jestem świetnym kierowcą. Jeżdżę tym wozem od roku (był dodatkiem motywacyjnym do tytułu Pracownika Roku), nie drasnąłem go ani razu, nawet nie dostałem mandatu. Fakt, od czasu do czasu naginam przepisy - cóż, ograniczeń prędkości nie należy brać dosłownie, a parę drinków w gruncie rzeczy poprawia koncentrację - umiem jednak prowadzić, znam autostradę i tutejszych kierowców jak własną kieszeń. Najgorsi są tacy jak V-Man. Tacy, którzy uważają się za Bóg wie kogo i na gwałt chcą to udowodnić. Ja jestem tylko kierowcą, to moja praca. Przecież tu nie chodzi o życie. To dopiero byłoby dno. Ale V-Man... on jeździ tak, jakby w grę wchodził jego honor, a w każdym razie coś więcej niż tylko miejsce na drodze. Kiedy wciska się między dwie ciężarówki z naczepami, a potem wyskakuje na pas szybkiego ruchu, prując sto czterdzieści na godzinę, prawie słychać, jak myśli: „I co, patałachu z beemki, zobacz, na co stać prawdziwego mężczyznę”. I choć nigdy nie widziałem jego twarzy - przyciemniana szyba zasłania widok - wiem, że to łysiejący ciul z podskubanym wąsikiem, który obrywa cięgi w biurze, a uważa się za króla szos.

Nie, żebym się przejmował; zazwyczaj mam to gdzieś. Lecz dzisiejszy dzień nie zaczął się najlepiej: zasnęłam, pas pomiędzy węzłami 36 i 37 był zamknięty, a na dodatek Annie próbowała nawiązać rozmowę o „rozważeniu opcji”, co zapewne oznacza, że przygruchała sobie jakiegoś faceta albo, co gorsza, zachciało jej się dziecka. Jednym słowem, dzień z góry był do bani i tylko widok napuszonego V-Mana w wybłyszczonej volvo mógł mnie jeszcze bardziej zdołować.

Ma się rozumieć, zwykle to ja jestem górą. Przynajmniej dziewięć razy na dziesięć, gdyż limitowana seria volvo nie dorasta BMW do pięt. Jednak tego ranka miałem przeczucie, że patafian rzuci wyzwanie, jakby wyniuchał, że coś nie gra, i postanowił wykorzystać okazję. Przeczucie okazało się słuszne. Zobaczyłem, jak pędzi od strony 36, punktualny jak zawsze. Od razu wjechał na środkowy pas, tuż przed moim nosem, oczywiście nie zwracając sobie głowy kierunkowskazem. Co za pajac. Robi to celowo, na bank. Myśli, że mnie wkurzy. Błysnąłem mu długimi, po czym podjechałem pod jego tylny zderzak i ponownie włączyłem

długie światła. Następnie wyprzedziłem durnia płynnym manewrem i dwukrotnie włączyłem kierunkowskaz, najpierw prawy, a potem lewy, żeby dać mu do zrozumienia, co o nim myślę. Pomyślałby kto, że to załatwi sprawę. Ale niektórzy obstają przy swoim i wierzą człowiekowi dziurę w brzuchu, aż Bogu ducha winny traci cierpliwość i spuszcza im łomot, po czym słyszy: „Jak śmiałeś, gnoju, wyjeżdżam do mamy”. Najpierw sami się proszą, a potem zwalają na człowieka całą winę. Taki sam jest ten V-Man. Wyprzedził mnie minutę później - nieważne, że czerwony probe siedział mu na ogonie - wskoczył na pas szybkiego ruchu i w przelocie pomachał mi ręką. Nie dostrzegłem jego twarzy (przez te cholerne okulary), zobaczyłem jednak, że ma rękawiczki rajdowe - skórzane, z oddychającą podszewką - i to wystarczyło. W życiu nie spotkałem gościa, a mimo to wiedziałem o nim wszystko. I znenawidziłem go w mgnieniu oka.

Nazywa się Keith albo Ken i pracuje w dziale sprzedaży. Ma czterdzieści pięć lat i nie dymał baby od roku, odkąd jego żona (lat trzydzieści dziewięć, płowa blondynka z hondą civic) odeszła z facetem poznanym na zajęciach jogi. Nosi garnitury Moss Bros i koszule od Marksa & Sparksa; z tyłu zawsze wisi zapasowa, gdyby się spocił przed ważnym spotkaniem. Kierując się względami bezpieczeństwa, kupił volvo, ale wybrał wersję sportową, gdyż w jego mniemaniu znaczy to „młody, wolny i gotowy do działania”. Nosi okulary słoneczne, nawet w pochmurne dni, i rękawiczki samochodowe (żeby nie dostał pęcherzy na paluchach), choć ma kierownicę ze wspomaganiami. W tej chwili słucha Radia 2; leci „Sultans of Swing” Dire Straits: cichnie gitarowe solo AUTODAFE Terry’ego Wogana, bo zbliża się pełna godzina (nie cierpię tego; ta solówka to najlepszy kawałek). Być może podśpiewuje pod nosem albo wystukuje rytm na kierownicy, myśląc sobie, że chciałby mieć taką gitarę jak Knopfler. Marzy o niej od lat; teraz znów jest wolny, ma z głowy żonę, dzieciaki i alimenty, mógłby więc sobie taką sprawić. W wyobraźni wchodzi do sklepu muzycznego przy Boar Lane w Leeds i ogląda gitary wiszące na ścianach niczym trofea. Potem może zwraca się do obszarpanego sprzedawcy i mówi, siląc się na obojętność: „Chciałbym zobaczyć tego stratocastera”. „Jasne. Zaraz przyniosę wzmacniacz”, odpowiada chłopak, kryjąc ironiczny uśmiešek i mruczając pod nosem „dziadzio”.

Mówię wam, dotarła do mnie cała prawda o tym facecie; poznałem jego samotność i żalosne mrzonki. Oto on, wciśnięty w skórzany fotel czarnego volvo, V-Man, król szos, mężnie podejmujący byle wyzwanie, gotów pozostawić w tyle merca, beamkę i jaguara...

Postanowiłem, że nie ujdzie mu to na sucho. Nie mogłem na to pozwolić. Sprawa honoru, rozumiecie. Wziąłem go od wewnętrznej - dalej blokował pas szybkiego ruchu - i w locie pokazałem mu wała. Odpowiedział mi równie obraźliwym gestem i przyspieszył.

Wkrótce kończył się pas szybkiego ruchu i kierowcy zaczęli zwalniać, więc minąłem go ponownie i na pożegnanie cmoknąłem środkowy palec.

Sądziłem, że sprawa załatwiona. Lecz tego ranka szczęście mi nie dopisało; kiedy zbliżaliśmy się do rozkopów ruch na środkowym pasie zwolnił niemiłosiernie. Nikt nie kwapił się zjechać na najwolniejszy pas, a kierowcy z zamkniętego pasma wpychali się w ostatniej chwili, mimo że znak umieszczono 800 metrów od robót drogowych.-Wiedzą, że jakaś fujara zawsze ich wpuści, zwłaszcza jeśli trafią na babę za kółkiem. Według mnie mogą zaczekać. Niech India czy Saffron spóźni się na zajęcia z aromaterapii, inni mają pilniejsze sprawy na głowie.

Tym sposobem V-Man wyprzedził mnie ponownie; większość maruderów zjechała już na właściwy pas, ale nie on. Bezczelnie przejechał obok, patrząc przed siebie i nieco pochylając się nad kierownicą. Na desce rozdzielczej volvo zobaczyłem maskotkę przypominającą Kenny'ego z „Miasteczka South Park”; jakoś pasowało mi to do jego wizerunku i, nie wiedzieć czemu, dodatkowo mnie rozeźliło. Ale nawet wtedy dałbym spokój, gdyby nie jego kolejna zagrywka. Dziewczyna w białym MG jechała na czele kawalkady i dawała znaki, żeby ją wpuścić. Czerwony probe znajdował się dwa auta przede mną, za nim jechał biały minivan i zielona corolla. Probe nikogo nie wpuszczał - jak zwykle strasznie się śpieszył - ale minivan zatrąbił na dziewczynę, która wjechała na środkowy pas. Dobra jest. V-Man utknął. Ja bynajmniej nie miałem zamiaru go wpuścić, a zielona firmowa corolla również wyglądała na nieskorą do przysług. Mógł sobie migać do woli: postanowiłem przejechać obok i w miarę możliwości pokazać mu środkowe palce jednocześnie. Będzie wąchał moje spaliny, ot co.

Ale V-Man należał do tych kierowców, którzy za nic nie popuszczą: niefrasobliwy i arogancki, a przy tym dość obrotny, żeby często dopiąć swego. Tak stało się i tym razem. Minivan przyhamował; V-Man dostrzegł swoją szansę i władował się tuż za białym MG. Minął tylny zderzak dziewczyny dosłownie o cal, a tyłkiem niemalże musnął vana, ale bez przeszkód włączył się do ruchu i podążył w stronę swego zjazdu. Nie zareagowałbym nawet wtedy, gdyby nie pogardliwy obłoczek z rury wydechowej i zdawkowe machnięcie ręką widoczne przez tylną szybę volvo.

To wystarczyło. Zalała mnie krew. Dodałem gazu i wskoczywszy na prawy pas, ruszyłem w pościg. Nie był to mój zjazd, o czym dobrze wiedział, inaczej nigdy by się nie odważył na jawną prowokację. Ale tym razem uznałem, że nie popuszczę. Jechał prawym pasem w sznurze pojazdów; gdy zjeżdżał z autostrady, znajdowałem się pięć samochodów za nim. Z przekleństwem na ustach skręciłem kierownicę i dogoniłem go poboczem - chrzanić

kamery - w rezultacie, gdy dotarł do świateł na głównym rozjeździe, stanąłem tuż za nim i utkwilem wzrok w jego lusterku wstecznym.

Szczęka opadła mu do podłogi. Gapił się przed siebie, czekając na zmianę świateł. Mimo to widziałem, że kontroluje sytuację: królicze oczka skakały od świateł do lusterka, w którym szczerzyłem do niego zęby, mieląc przekleństwa. Chcąc sprawdzić jego reakcję, odpiąłem pas i uchylilem drzwi. Ze strachu musiał srać w gacie. Kiedy wystawiłem nogę przez drzwi, podskoczył jak oparzony i uruchomił centralny zamek, łypiąc na mnie znad okularów, które mało nie zjechały mu z nosa. Podjechałem nieco bliżej, błyskając długimi. Nastąpiła zmiana świateł i zatrzasnąłem drzwi, ostro ruszając z miejsca. W życiu nie jechałem tą trasą. Zazwyczaj jeżdżę M1, odcinkiem między Sheffield a Leeds, ale teraz zapędziłem się za zwierzyną i pewnie nie zdążę do pracy. Miałem to w nosie; postanowiłem pokazać dupkowi, kto tu rządzi, nawet jeśli przyjdzie mi za to zapłacić. Gналиśmy pięć albo sześć mil tą samą nitką autostrady w kierunku Bradford. Nie miał szans mnie zgubić. Jechałem mu na ogonie. Głupie żarty wywietrzały mu z głowy; wpatrzony przed siebie zerkał czasem nerwowo w lusterko, jak zaszczuty. Próbował przyspieszyć, śmigając między ciężarówkami, lecz uparcie podążałem tuż za nim. Następnie zwolnił w nadziei, że go wyprzedzę, ale ja uczyniłem to samo. Wreszcie skręcił na parking, przejechał obok stojących tirów i minawszy stację benzynową, zaparkował przed Burger Kingiem, po czym wrzucił na luz, nie gasząc silnika.

Pora na ostateczną rozgrywkę.

Zaparkowałem naprzeciw niego i staliśmy tak przez chwilę, mierząc się wzrokiem. Uchylilem drzwi. Nie ruszył się z miejsca. Wszedłem na asfalt i włożyłem okulary słoneczne, osłaniając wzrok przed porannym słońcem. Siedział w samochodzie niczym osaczony zając i z przerażeniem patrzył, jak powoli podchodzę do czarnego volvo.

Z tej odległości zobaczyłem, że samochód wcale nie jest taki wypolerowany; u dołu drzwi pasażera widać było odrobinę rdzy, na lewym reflektorze - ślady remontu. Przez przyciemnianą szybę zobaczyłem w jego dłoni telefon. Demonstracyjnie podniósł rękę, jakby groził, że zadzwoni na policję.

- Wsiadaj - powiedziałem cicho.

V-Man potrząsnął głową.

Kopnąłem drzwi, krusząc płaty rdzy.

-Wsiadaj - powtórzyłem.

Opuścił nieco szybę.

- Dzwonię na policję - oznajmił drżącym, piskliwym głosem. W tle Radio 2 nadawało „Band of Gold” (Frieda Payne, 1970).

- A dzwoń, palancie - odparłem, krusząc pięścią szybę.

Bolało jak diabli, choć jednocześnie odczułem dziwną ulgę.

- Masz dosyć seksualnej dominacji, kretynie? Czujesz się zaspokojony?

Właściwie nie to chciałem powiedzieć, lecz tamten wybałuszył ze strachu oczy.

- Ja... posłuchaj, mam pieniądze - odrzekł. - Bierz je. Telefon też. - Gdy podawał mi portfel (z czarnej skóry, po dobnie jak rękawiczki), dygotała mu ręka. Za kogo on mnie brał, do cholery?

- Zajechałeś mi drogę - ciągnąłem, ignorując portfel. - Nikt nie będzie zajeżdżał mi drogi. - Annie też powinna to usłyszeć. Żałowałem, że mnie teraz nie widzi. Ten widok dałby jej do myślenia.

V-Man patrzył na mnie przerażony, ogłupiały.

- Za... zajechałem? - wyjąkał.

- Tak jest - przytaknąłem. Sięgnąwszy przez rozbitą szybę, otworzyłem drzwiczki kierowcy. - Postąpię z tobą tak samo, ty ciulu.

V-Man nie spuszczał ze mnie wzroku.

- Jestem żonaty - szepnął. - Mam dzieci...

- Nie masz - odparłem z przekonaniem.

- Nie mam - wyznał szeptem V-Man.

- Nazywasz się Keith czy Ken? - zapytałem.

- K... Kenny.

To wyjaśniało wybór maskotka. Zaglądając do środka, zobaczyłem jego życie w całej okazałości: marynarkę na drucianym wieszaku, tanią aktówkę, stare zdjęcie blondynki - jakaś Penny, Connie, Frannie czy coś równie głupiego - przypięte do schowka, odświeżacz w kształcie choinki na lusterku wstecznym, egzemplarz „Areny” (zwędzony koledze z pracy) na tylnym siedzeniu dla podtrzymania iluzji, że właściciel pojazdu jest młody i beztroski. Za tym wszystkim, za wonią potu, odświeżacza powietrza, skórzanych rękawiczek samochodowych oraz stęchlizną, czaił się ohydny, znajomy smród - szczyń, dawnych obiadów na wynos, nie - opróżnionych popielniczek, brudnej bielizny - odór beznadziei, rozpaczy i rozwianych złudzeń.

- Co chcesz zrobić? - wyszeptał V-Man.

W przyływie zrozumienia przemieszanego z odrazą prawie o nim zapomniałem: popatrzyłem na nalaną, fałszywą gębę, łysiejące czoło i powiększającą się plamę w kroku markowych spodni.

Stłuczona ręka bolała; rozmasowałem ją machinalnie. To idiotyczne, żeby walić pięścią w szybę, mogłem coś sobie złamać. Na domiar złego druga dłoń wciąż odczuwała skutki porannego incydentu. W głowie huczało; mimo Ray-Ba - nów słońce zawsze świeci mi prosto w oczy. Zadzwoiła moja komórka - usłyszałem ją w tle utworu płynącego z radia („Band of Gold” przechodził w „We Are the Champions” grupy Queen). Pewnie dzwonią z pracy, żeby spytać, dlaczego się spóźniam, albo Annie chce dokończyć naszą rozmowę. „Gdybyś był mężczyzną, Benny, nie musiałbyś wiecznie sobie udowadniać, że nie jesteś frajerem”. Co ona może W TAŃCU wiedzieć, głupia krowa? I tak dałem jej nauczkę, tym razem skutecznie; nieważne, że zagroziła wezwaniem policji. V-Man już wie, dygocze na tym swoim fotelu z dermy, wachając siki stygnące na gaciach za pięćdziesiąt funtów. On wie, kto tu jest frajerem, bo na pewno nie ja.

Nauczyłem ich more-su. Mają za swoje. Nikt nie będzie mi podskakiwał ani robił ze mnie głupka. Wróciłem do samochodu i włączyłem radio (Pink Floyd, „Another Brick in the Wall”, część druga), poprawiłem maskotkę na tablicy rozdzielczej (Bart Simpson), nałożyłem rękawiczki i ruszyłem ku wschodzącemu słońcu, widząc za sobą błysk świateł i słysząc zawodzenie syren. Tymczasem upiorna, frajerska woń moczu nasilała się z każdą chwilą, chociaż dawno pozostawiłem ją za sobą.

Obserwator

Nie tak dawno temu, na fali akcji przeciw pedofilom, rozpętanej przez media, mój znajomy emeryt został zaatakowany przez sąsiada. Powód? Lubił przechodzić obok boiska szkolnego i patrzeć na dzieci grające w piłkę. Bezbronny staruszek tak przeraził się złośliwą i nieuzasadnioną napaścią, że teraz prawie nie opuszcza domu. Nie sposób wyrazić, jakie to przygnębiające. Wygląda na to, że dzieci w całym kraju uczone są postrzegać wszystkich obcych jako potencjalnych dewiantów, w wyniku czego coraz większa liczba dorosłych woli omijać je szerokim łukiem w obawie przed wzbudzeniem podejrzeń. Poniższa historia została w dużej mierze zainspirowana przejmującym opowiadaniem Raya Bradbury'ego „Samotny przechodzień”.

Każdego dnia o godzinie dziesiątej trzydzieści Leonard Meadowes wkładał płaszcz, czerwony szalik oraz wysłużony kapelusz i wyruszał na codzienną przechadzkę. Zachodził do sklepiku na rogu, gdzie kupował „Timesa” (i od czasu do czasu paczkę miętówek), a następnie przechodził obok zrujnowanego cmentarza z przekrzywionymi pomnikami, przystrojonymi wieńcami z cykuty i wstęgami z powoju. Potem mijał sklep z używaną odzieżą, w którym kupował większość ubrań, po czym przecinał ruchliwą ulicę i wkraczał do zagajnika, gdzie dawniej wyprowadzał psa. Ścieżka W TAŃCU wychodziła na drogę graniczącą z boiskiem szkolnym. Pan Meadowes wkładał na spacer adidas, zarówno dla wygody, jak i z przeczności, a gdy dopisywała pogoda, siadał na murku i przez blisko dwadzieścia minut patrzył na dokazujące dzieci. Potem raz jeszcze wchodził do zagajnika i kierował się w stronę kawiarni Dare'a, gdzie tradycyjnie spożywał grzanekę z masłem i wypijał dzbanek herbaty.

Był schyłek października; słońce świeciło mocno i w powietrzu unosiła się słodkawa woń opadających liści. Jeden z owych rzadkich, doskonałych dni, które przywodzą na myśl rozgrzaną słońcem brzoskwinię, hojnie sypią jeżynami i szeleszczą pod stopami jak płatki kukurydziane. Dokoła panowała cisza; kamienny mur na skraju zagajnika wyznaczał granicę, za którą trawa - wciąż soczyście zielona i usiana piegami stokrotek - spływała łagodnie ku wiekowej, kwadratowej budowli z cegły.

Dziesiąta pięćdziesiąt pięć. Za pięć minut będzie przerwa, drzwi zaczną trzaskać jak fajerwerki i wypadną dzieci - czerwone, niebieskie, jaskrawozielone - z rozwianymi włosami i skarpetami zsuniętymi do połowy łydki, a ich podniesione głosy poszybują w złociste powietrze jak latawce. Dwadzieścia minut przerwy: wolności od wymogów i zasad, okupionej

niejednym rozkwaszonym nosem i utraconym lub wymienionym skarbem. Czas banitów i herosów, cichych rebelii oraz wrzaskliwej młodocianej beztroski.

Pan Meadows był kiedyś nauczycielem. Miał za sobą trzydzieści lat spędzonych w klasie, pośród intensywnej woni kredy, kapusty, świeżo skoszonej trawy, skarpet oraz pasty do podłóg. Naturalnie w 2023 roku nie było nauczycieli - komputery zapewniały nieporównanie większą skuteczność pracy i bezpieczeństwo - jednakże w urokliwym październikowym słońcu budynek szkoły wyglądał tak swojsko i sugestywnie, że pan Meadows prawie zapomniał o grożącym wstrząsem płocie elektrycznym otaczającym boisko i przybitym do słupa ostrzeżeniu ZAKAZ WSTĘPU DOROSŁYM.

Ogarnęła go fala wspomnień: podrapane podłogi upstrzone plamami atramentu, niebezpiecznie wyslizgane przez pokolenia młodych stóp i przysypane kredowym pyłem, sterty książek, zabazgrane biurka krzyczące ukradkowymi sloganami. Stosy zmiętych wypracowań, skonfiskowane papierosy i ściągawki, zaszyfrowane wiadomości oraz inne zapomniane artefakty owego utraconego stanu łaski.

Nie znaczy to, że było aż tak źle: dzisiaj każdy uczeń miał stanowisko do nauki z plastikowym pulpitem oraz monitorem reagującym na głos, elektroniczne pióro oraz komputerowego nauczyciela o inteligentnym, pozbawionym wieku obliczu (prototyp został wyselekcjonowany przez Centrum Świadomości Pokoleniowej spośród tysięcy projektów w celu wzbudzenia należytego szacunku i zaufania). Lekcje generowano komputerowo, nawet zajęcia praktyczne odbywały się w rzeczywistości wirtualnej. W barbarzyńskiej przeszłości dzieci doznawały oparzeń podczas lekcji gotowania na zajęciach technicznych, padały ofiarą nieudolnie przeprowadzanych doświadczeń chemicznych, łamały kości na gimnastyce, ocierały sobie kolana na asfaltowych boiskach i cierpiały niezliczone oraz wymyślne upokorzenia ze strony tak zwanych wychowawców. Obecnie były bezpieczne. Do tego stopnia, że wypadki stały się zjawiskiem niezwykle rzadkim. Dalej wyglądają tak samo, pomyślał pan Meadows. I tak samo hałasują. Co się wobec tego zmieniło?

Pogrążony w głębokiej zadumie nie zauważył nadjeżdżającego samochodu ochrony i nie usłyszał sygnału alarmowego „Dzieci! Niebezpieczeństwo! Dzieci!”. Dopiero gdy samochód stanął tuż przed nim, błyskając ostrzegawczo wieżyczką świetlną, zdumiony nauczyciel otrząsnął się z zamyślenia.

- Stać! Nie ruszać się! - zabrzmiał metaliczny głos z wnętrza pojazdu.

Pan Meadows tak szybko wyjął ręce z kieszeni, że niechcący rozerwał paczkę z cukierkami, które upadły na drogę i wyglądały jak kolorowe kamyczki. Za ogrodzeniem dzieci spokojnie opuszczały budynek szkoły parami albo trójkami. Niektóre pochylały się nad grami

elektronicznymi, inne зерkały ciekawie na samochód ochrony i staruszka w sfatygowanym kapeluszu, który podniósł ręce jak aktor ze starego filmu, gdzie wszyscy byli dobrzy lub źli, mężczyźni na koniach rabowali dylizanse, a Marsjanie dokonywali inwazji planet, trzymając w pogotowiu miotacze zabójczych promieni.

-Nazwisko? - rzucił ostro głos.

Pan Meadows przedstawił się posłusznie, trzymając na widoku obie ręce.

- Zawód?

- Jestem... nauczycielem - wyznał pan Meadows.

Wewnątrz samochodu coś zazgrzytało.

- Bez zawodu - zadeklarował metaliczny głos. - Stan cywilny?

- Nie... nie jestem żonaty - odparł pan Meadows. - Miałem kiedyś psa, ale...

- Kawaler - oznajmił głos. Prawdopodobnie pochodził z wnętrza maszyny, jednak pan Meadows wyczuł w nim pewną dezaprobatę. - Czy mógłby pan przedstawić cel po bytu w wyraźnie oznakowanej strefie zamkniętej?

- Tak tylko spacerowałem.

- Spacerował pan.

- Lubię spacerować - wyjaśnił pan Meadows. - Lubię obserwować bawiące się dzieci.

- Często pan to robi? - spytał głos. - Często wybiera się pan na te spacery i obserwacje?

- Codziennie - odpowiedział. - Od piętnastu lat.

Zapadła cisza.

- Czy jest pan świadomy, panie Meadows, że kontakt osobisty (fizyczny, audiowizualny, wirtualny bądź elektroniczny) pomiędzy pozbawioną nadzoru osobą dorosłą a dzieckiem poniżej szesnastu lat jest surowo zabroniony klauzulą numer 9 Aktu Pokoleniowego z 2008 roku?

- Po prostu lubię ich słuchać - odpowiedział pan Meadows. - Dzięki temu młodo się czuję.

Milczenie maszyny było jeszcze bardziej miażdżące niż jej beznamienny ton. Pan Meadows przypomniał sobie plotkę (krążącą, zanim zmiany na dobre weszły w życie i przestały kogokolwiek dziwić), jakoby samochody ochrony były zdalnie sterowane przez komputer centralny, bez udziału człowieka.

- Przecież nie ma w tym nic złego - dodał bezradnie. - Każdy lubi patrzeć, jak dzieci się bawią.

Od strony pojazdu doleciał nowy dźwięk. Drzwi stanęły otworem, ukazując wnętrze wyłożone metalowymi panelami.

- Proszę wsiadać - rozkazał głos robota.

- Ale ja nie zrobiłem nic złego - zaprotestował pan Meadowes.

- Proszę wsiadać - powtórzył głos.

Po chwili wahania pan Meadowes wsiadł do samochodu. Wnętrze przypominało ciasną, metalową skrzynkę z małym oknem ze wzmocnioną szybą, ławką zamocowaną pośrodku. Było oddzielone kratą od układu sterowniczego.

- Gdyby miał pan własne dziecko... - zaczął głos i pan Meadowes zrozumiał, że za kratą jednak siedzi człowiek.

Był to mężczyzna z mikrofonem i notesem elektronicznym.

Popatrzył na pasażera z mieszaniną litości i wstrętu, po czym przeniósł wzrok na układ kierowniczy.

Drzwi zamknęły się bezszelestnie. Samochód ponownie ruszył. Słońce świeciło przez kratę, napędzając wnętrze złocistym, cętkowanym blaskiem. Mężczyzna na fotelu twardo spoglądał przed siebie, nawet gdy pan Meadowes spróbował go zagadnąć.

- Dokąd jedziemy?

- Do Centrum Badań nad Nieprzystosowaniem Pokoleniowym i Psychoseksualnym.

Minęli drogę i zagajnik, po czym wyjechali na szosę, gdzie półtora roku wcześniej ktoś śmiertelnie potrafił jego W TAŃCU psa. Po drodze oglądali ulice, przy których stały identyczne domy szeregowe - także dom pana Meadowesa - oraz arkady identycznych drzew. Następnie wyjechali z miasta autostradą ze szpalerem kolorowych billboardów. Pan Meadowes dostrzegł za nimi znajome połączenie betonowych nieużytków.

Kilka minut później minęli rząd opuszczonych budynków. Kościół zamknięty ze względów bezpieczeństwa, stare kino z płaskim ekranem, kilka księgarni, pozostałości parku z huśtawkami i estradą. Na końcu stał duży i wciąż imponujący kamienny budynek. Wyblakły napis głosił: „Liceum męskie imienia świętego Oswalda: 1890-2008”.

- Moja szkoła - powiedział pan Meadowes.

Kierowca bez słowa pojechał dalej.

Skórzany świat Ala i Christine

Napisałam to opowiadanie dla żartu. Wprawdzie romans to przeżytek, ale niech gra muzyka...

Sięgając po filiżankę z herbatą, Christine wyprostowała zdrętwiałe plecy i obejrzała swoje dzieło. Nieźle, uznała, zadowolona z efektu: proste ściegi, żadnych marszczeń mimo trudnego materiału, dobry wyrób. Ktoś będzie miał porządne, mocne spodnie robocze: wprawdzie dość ekscentryczne, ale nie do zardcia. Tylko ciekawe, po co ta klapka.

Mniejsza z tym. Christine Jones tylko wykonywała polecenia, pozostawiając artystyczną wizję Candy. Wypełnianie poleceń opanowała do perfekcji. Wyobraźnia to specjalność Candy.

Spotkały się w klubie Weight Watchers. Candy ważyła sześćdziesiąt pięć kilogramów i chciała zjechać do sześćdziesięciu; Christine ważyła osiemdziesiąt trzy i - jak mawiał jej mąż Jack - „odpuściła sobie”. Chciała schudnąć przynajmniej osiemnaście kilo, ale na razie szło jej kiepsko. Zyskała natomiast kolejne trzy oraz grupkę przyjaciół, złożoną z Candy, jej koleżanki Babs oraz Dużego Ala Maguire’a, maskotki klubu.

Duży Al należał do klubu od trzech lat. Był potężnym mężczyzną, który nigdy nie stracił ani grama; tolerowano go tylko dlatego, że jego obecność podnosiła na duchu nawet najgrubsze uczestniczki programu. Christine zastanawiała się, co z tego miał, po czym doszła do wniosku, że po prostu odpowiadało mu towarzystwo. Babs pracowała w fabryce obuwia i rozpaczliwie szukała faceta; Candy była rozwódką, należała do grona starszych studentów wydziału wzornictwa odzieżowego miejscowej politechniki.

Od razu przypadły sobie do gustu.

- Śliczny sweter - zagadnęła Candy, gdy Christine schodziła z wagi. - Missoni, prawda?

Christine oblała się rumieńcem i przyznała, że zrobiła go własnoręcznie.

Candy nie kryła podziwu. Nie potrafiła szyć ani dziergać, ale miała mnóstwo pomysłów; może kiedyś mogłyby się spotkać i porozmawiać? I tak powstał „druciany klan”, jak mawiał Jack. Każdej niedzieli po kościele Candy, Babs, Christine i Duży Al spotykali się u Christine, aby dyskutować o włóczkach i wzorach. Wszyscy wpadli w żywiołowy entuzjizm, Christine zaś - jako najbardziej doświadczona - służyła praktycznymi radami. Candy nie umiała robić na drutach, Babs dziergała szybko, ale niedbale, natomiast Al, choć

zdumiewająco delikatnie obchodził się z włóczką i drutami, z uwagi na swą powolność kwalifikował się tylko do najprostszych czynności.

Candy sypała pomysłami jak z rękawa. Jej koleżanka ze studiów otworzyła nieduży sklep. Dzianiny ręcznej roboty mogły być istną żyłą złota; nawet najprostsze wzory osiągnęłyby cenę minimum sześćdziesięciu funtów. Po odjęciu dwudziestu procent marży dla koleżanki i kolejnych dwudziestu na materiały zostawałaby jeszcze połowa do równego podziału pomiędzy projektantkę (czyli Candy) oraz siłę roboczą, którą była w tym wypadku Christine.

Początkowo Jack był niechętnie nastawiony do całego przedsięwzięcia, wyśmiewał przyjaciół oraz przedsiębiorczość żony. Wkrótce jednak zaczęły napływać pieniądze - najpierw po kilka funtów, potem coraz więcej, w miarę jak powstawały coraz to wymyślniejsze wzory i stosowano lepsze włóczki. Candy przystąpiła do eksperymentów: łączyła wełnę z gumą, lureksem oraz jedwabiem. Wymagało to większej wprawy, przerastającej możliwości Babs i Ala. Christine osiągała jednak tak zaskakujące rezultaty, że gotowe ubrania szły nieraz za osiemdziesiąt, a nawet sto funtów.

Rola Christine nabierała coraz większego znaczenia. Podczas gdy Al zajmował się coraz częstszymi dostawami, a Babs dziergała najprostsze wzory, Christine przerzuciła się na specjalne gatunki wełny i zaczęła przyjmować zamówienia na wyroby krawieckie. Czasem były to stroje do tańca nowoczesnego, kostiumy teatralne albo przebrania. Niektóre - na przykład spodnie z tajemniczą klapką - sprawiały dość niezwykle wrażenie, ale Candy zapewniała, że właśnie takie wyroby idą jak świeże bułeczki. Zresztą jednorazowa zapłata w wysokości dwustu funtów - za skórzaną koszulę gladiatora, z ćwiekami, do spektaklu „Juliusz Cezar” - ostatecznie skłoniła Christine do wyrażenia zgody. Wreszcie Candy zaproponowała oficjalne założenie wspólnego interesu: trzyosobowej spółki z równymi udziałami, z przyjacielem Candy jako cichym współnikiem. Prawnik przygotował dokumenty. Christine twierdziła, że nie potrzebuje spółki - Babs i Al i tak mieli stawki godzinowe - ale Candy chciała, żeby wszystko było jak należy.

- Tak musi być, kochanie - odparła, słuchając powątpiewań Christine. - Przecież większość obowiązków spoczywa na tobie.

Ujęło to Christine, która uważała, że jest o niebo mniej inteligentna i atrakcyjna od przyjaciółki, i często wstydziła się własnych niedostatków. Jej zdaniem Candy zasługiwała na coś więcej; fakt, że nigdy o tym nie wspominała, był kolejnym dowodem jej wspaniałomyślności.

Jack przestał narzekać. Christine miała swój warsztat, ze specjalną maszyną do szycia skóry, gdzie spędzała większość wieczorów, słuchając radia. Tymczasem Jack przesiadywał w siłowni, gdyż w przeciwieństwie do żony nie miał zamiaru odpuścić, i utrzymywał świetną formę.

Czasami martwiło to Christine. Nie znaczyło to, że straciła zaufanie do męża, jednak trzy godziny w siłowni to chyba lekka przesada. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie znalazł sobie kochanki, po czym z miejsca ogarniały ją wyrzuty sumienia. Jack lubił rozmawiać na męskie tematy, o czym świadczyła jego reakcja na druciany klan, i niekiedy potrzebował męskiego towarzystwa. Mam szczęście, myślała; jest wesoły, oddany i nie ma wygórowanych wymagań seksualnych (choć czasem mógłby mieć; jest coś takiego jak nadmierna rycerskość). Nie, naprawdę jestem szczęściarą, powtarzała w duchu. Kto wie, czy Jack nie zasługuje na coś lepszego.

Czasami jednak, gdy wykonywała „specjalne” zlecenia, odczuwała ulgę, że nie ma go w domu. Nigdy nie krył niechęci do Candy; pogarda dla Dużego Ala też była słabo zatuszowana. Poza tym słabo orientował się w branży skórzanej - handel detaliczny nie przyczyniał się do poszerzenia tej wiedzy - i na widok ostatniego zamówienia na pewno nie powstrzymałby się od docinków. Rzeczywiście była to osobliwa kolekcja, lecz skoro ktoś płacił za partię trzysta funtów, rzeczy na pewno miały zbyt.

Jeszcze raz przyjrzała się spodniom. Czarna skóra dobrej jakości, trzydzieści dwa w pasie, ozdobna wkładka. Tylne klapka wciąż stanowiła zagadkę - może to rodzaj kieszeni na narzędzia, choć podczas pracy przydałoby się chyba coś solidniejszego. Christine miała nadzieję, że zrobiła wszystko jak należy. Nie była to pierwsza para, a dotychczas nie wpłynęły żadne skargi. Poza tym wolała nie ingerować we wzory, odkąd niechęć popsuła całą partię bielizny (dla awangardowego zespołu tańca, jak powiedziała Candy), wprowadzając wzmocniony klin własnego pomysłu. Candy zareagowała złością: „Na miłość boską, Christine, gdybym chciała klin, kazałabym ci go wstawić”. Dlatego Christine postanowiła poprzestać na wykonywaniu poleceń. Może tancerze potrzebowali dodatkowej wentylacji - wiecie, tam na dole, pomyślała. W takim wypadku wzmocniony klin mógł spowodować szereg niespodziewanych komplikacji. Nic dziwnego, że Candy wyszła z siebie.

Tak czy siak, spodnie były zdecydowanie dziwaczne. Czarna spódniczka baletowa nie budziła większego zdziwienia, gorset jakoś tam do niej pasował, choć Christine nie mogła wykombinować, na jakiej zasadzie. Bardzo sztywny (użyła twardych nylonowych listewek) i wiązany z tyłu, przypominał babciną bielizną, z tą drobną różnicą, że był uszyty ze skóry. Może jest przeznaczony dla kogoś, kto ma problemy z dyskiem, pomyślała Christine. Chociaż

wtedy dostałby gorset z ubezpieczenia społecznego. Albo to: niby kapelusz, a pod pewnym kątem wygląda raczej jak maska. Ale jak tu coś zobaczyć, skoro nie ma otworów na oczy? Christine z dezaprobatą potrząsnęła głową. Ci dzisiejsi tancerze mają naprawdę dziwne pomysły. Co jest nie tak w przyjemnym „Jeziorze łabędzim” albo „Dziadku do orzechów”?

Niemniej jednak kontakt z niecodziennym tworzywem dawał jej szczególną satysfakcję. Miękką skórą, jedwab, ćwieki, gaza. Zawsze lubiła prace ręczne, ostatnio zaś oddawała się zajęciom rękodzielniczym ze wzmożonym zapałem, nie tylko z powodu nieobecności Jacka. Polubiła je bardziej niż robienie na drutach. Podczas pracy przychodziły jej do głowy najdziwniejsze myśli, miała coś w rodzaju snów na jawie. Wyobrażała sobie, jak wkłada skórzane wdzianka, czuje ich rozkoszny dotyk na skórze i może (tu zamrugała powiekami)... może nawet występuje w nich na scenie. Wbrew zapewnieniom Candy stroje w marzeniach Christine nie były przeznaczone do tańca, terapii ortopedycznej, występów teatralnych ani pielenia, lecz do czegoś zgoła odmiennego, ekscytującego, tajemniczego i emanującego siłą. Pochylona sumiennie nad maszyną, z lekkim uśmiechem igrającym W TAŃCU na ustach, Christine rzucała się w wir marzeń, w których stawała się kimś zupełnie innym: kimś, kto nigdy nie wypełniał poleceń, lecz sam je wydawał.

Marne szanse, pomyślała, pakując stroje. Bez konsultacji z Jackiem nie zamawiała nawet pizzy, nigdy też nie podejmowała żadnych decyzji dotyczących firmy bez uprzedniego porozumienia z Candy. Christine Jones była urodzonym podwładnym, czeladnikiem, kimś, kto całe życie gra drugie skrzypce. Przecież nie ma w tym nic złego, uspokoiła w myślach samą siebie, nie każdy musi rządzić. Owa konkluzja nieoczekiwanie ją przygnębiła, podobnie jak przekonanie, że omija ją coś bardzo istotnego. Jak wówczas, kiedy człowiek wychodzi z łazienki z papierem toaletowym przyklepionym do buta, a wszyscy za jego plecami ryczą ze śmiechu.

O ósmej zawiozła towar do Dużego Ala. Jak zwykle natychmiast otworzył drzwi, jakby na nią czekał. Okrążyła twarz promieniującą zadowoleniem.

- Christine! Tak myślałem, że to ty. Wejdz na herbatę.

- Sama nie wiem - odparła z wahaniem. - Jack wróciła da chwila... - Al zmarkotniał i Christine zrobiło się go żal. - No dobrze, ale tylko na chwilę.

Dom Ala byłby ciasny nawet dla mężczyzny przeciętnego wzrostu. Dla niego wydawał się maciupeński: olbrzym obijał się o ściany jak przerośnięta kukielka w wiktoriańskim domku dla lalek. Zaparzył herbatę w miniaturowych filiżankach, trzymając imbryk między kciukiem i palcem wskazującym.

- Ciasteczko?

- Al, naprawdę nie powinnam.

- Daj spokój, mała. Marnie byś wyglądała jako chudzielec.

Christine z uśmiechem sięgnęła po śmietankę. Mimo swoich prawie dziewięćdziesięciu kilogramów, przy Alu czuła się jak figurka z porcelany. Poza tym Al wcale nie był „tłumokiem”, jak obraźliwie mawiał Jack; przypominał raczej fotel, nazbyt wypchany pod tapicerką, bezkształtny, ale wygodny.

- Widzę, że skończyłaś. - Wskazał głową karton.

- Tak. Jutro możesz to dostarczyć.

- Aha.

Christine odniosła wrażenie, że Al ma trochę niewyraźną minę; ciekawe, czy widział te wyroby i czy ma na ich temat swoje zdanie.

- Dziwadła - powiedziała. - Ale skoro ludzie chcą je kupować... - Zauważyła, że Al ma na sobie sweter, który po darowała mu na Gwiazdkę, zielony z płatkami śniegu. - Ładnie wyglądasz - dodała.

Zarumienił się z lekka.

- Mój ulubiony.

Christine wybuchnęła śmiechem.

- Jack nie chce ich nosić. Twierdzi, że są beznadziejne.

- Jack to idiota.

Odpowiedź była natychmiastowa. Christine nie mogła uwierzyć własnym uszom. Al nigdy nie używał „wyrazów”; nigdy też nie słyszała, żeby źle się o kimś wypowiadał.

Poczerwieniał jak burak, jakby czuł, że przesadził.

- Przepraszam, mała - powiedział. - Nie wiem, co mnie naszło.

Christine patrzyła na niego zdziwiona.

- Coś się stało?

Al potrząsnął głową, unikając jej wzroku.

- Al?

Cisza.

- Al?

Kiedy zaczął mówić, najpierw powoli, a następnie z rosnącą pewnością siebie, Christine dołała im obojgu herbaty. Wszystko ułożyło się w logiczną całość: Candy zasługiwała na coś lepszego, Jack zasługiwał na coś lepszego, ona sama, o zwinnych palcach, lecz niewiarygodnie ociężałym umyśle, obsługiwała maszynę do szycia, podczas gdy przyjaciółka zarabiała dwadzieścia pięć procent, obsługując jej męża. Zgrabnie to sobie

obmyślili. Jack był cichym współnikiem, trzecim współwłaścicielem interesu; zaprzyjaźniony butik okazał się wymysłem, gdyż sprzedaż szła w najlepsze przez Internet. Jack i Candy wiedzieli, że Christine nigdy nie przyjdzie do głowy, aby tam zajrzeć.

- To nie są stroje do tańca, prawda? - zapytała Christine, kiedy opowieść dobiegła końca.

Duży Al potrząsnął głową.

- To są... - szukała odpowiedniego słowa - akcesoria erotyczne? Gadżety dla sex-shopów, do seksownych przebieranek?

Nie musiał odpowiadać. Jego mina była jednoznaczna.

Christine sięgnęła po kolejne ciastko. Ku własnemu zdziwieniu zachowała zimną krew. Wielokrotnie zastanawiała się, jak by postąpiła, gdyby Jack ją zdradził. Przypuszczała, że gdyby, a raczej kiedy by do tego doszło, przeżywałyby to zupełnie inaczej. A teraz złapała się na tym, że podobają się jej sympatyczne, życzliwe oczy Ala.

- Gdzie oni są? - spytała wreszcie.

- U Candy - odparł Duży Al.

- Dobrze - oznajmiła Christine. - Jedziemy.

Kiedy dotarli do domu Candy, dochodziła dziewiąta. W sypialni na górze paliło się światło. Christine od razu nacisnęła klamkę; wiedziała, że Candy nie zamyka drzwi na klucz. Duży Al podążył tuż za nią. Weszli na piętro, a potem do sypialni.

Na łóżku leżała pościel z purpurowego jedwabiu, ściany niemal w całości były wyłożone lustrami. Christine odnotowała z pewnym zdziwieniem, że pomimo rygorystycznej diety Candy ma na nogach cellulitis. Jack leżał na brzuchu, jakby cierpiał na ból żołądka. Christine tak dawno nie widziała męża nagiego, że prawie go nie poznała.

- Jezu, Christine. - Próbował usiąść, ale futrzane kajdanki unieruchomiły go w miejscu. Christine zawsze przypuszczała, że Jack nie interesuje się seksem. Teraz zrozumiała, że po prostu nie interesował go seks z nią. Strój, który miał na sobie, i zestaw gadżetów na toalecie świadczyły o bujnej fantazji erotycznej i skłonności do eksperymentowania. - Posłuchaj... - zaczął.

- A więc tak to się zakłada - powiedziała Christine. - Trzydzieści dwa w pasie, tak? Myślałam, że raczej nosisz trzydzieści cztery.

Nie ulegało wątpliwości, że mąż ma na sobie jej dzieło; rozpoznałaby je z zamkniętymi oczami. Czarna skóra z ozdobną wkładką, szew nabijany ćwiekami. No i, oczywiście, klapka. Candy wpatrywała się w Christine z rozdziawionymi ustami. Miała na sobie sznurowane kozaki i majtki z wentylacją.

Był to najokrutniejszy rodzaj zdrady. Cóż za banał - mąż i najlepsza przyjaciółka, udając wzajemną antypatię, spotykali się tuż pod nosem Christine. Końcowa odsłona dodała sytuacji żdźbłą pikanterii. Christine wyobraziła sobie, jak siedzi pochylona nad maszyną do szycia, pogrążona w niewinnych marzeniach („Biedna, głupia Christine myśli, że szyje kostiumy do tańca; nawet nie wie, co to wibrator!”), podczas gdy Jack i Candy zabawiają się w najlepsze i zrywają boki na myśl o własnym sprycie i perwersji.

Co dziwne, Christine uprzytomniła sobie, że dotknęła ją nie tyle sama zdrada, ile fakt, że robili to w jej ubraniach, ubraniach, które kosztowały ją tyle zachodu. „Wyobraź ją sobie w tych majtkach!”. Cha, cha, cha. Beczka śmiechu! Cóż, pomyślała Christine, ten się śmieje... I sama uśmiechnęła się mimowolnie.

- Christine - powiedział Jack. - Chyba musimy porozmawiać.

Ale Christine nie słuchała. I tylko stojący przy drzwiach Duży Al dostrzegł na jej ustach przelotny, groźny uśmieszek.

Wśród drobiazgów rozrzuconych na toalecie znalazła drugie futrzane kajdanki, cyfrowy aparat fotograficzny oraz rolkę czarnej taśmy klejącej. Rozpracowanie aparatu okazało się dziecinnie łatwe, zajęło jej kilka minut. Zrobiła kilka zdjęć pod różnym kątem, poprawiając niekiedy fałdy pościeli i wygładzając marszczenia na miękkiej skórze. Wypisz, wymaluj profesjonalści, pomyślała z rozbawieniem. Pasują do siebie jak ulał...

- Chyba rozpocznę własną działalność - powiedziała, chowając aparat do kieszeni. - Moje udziały w firmie, wraz z połową udziałów Jacka, dadzą na początek niezłą sumkę. - Po patrzyła na męża, który wił się na łóżku, czerwony jak burak. Jaki to przyjemny widok, dla odmiany, pomyślała.

Wciąż nie mogła jednak zrozumieć, co jest takiego uwodzicielskiego w tych gadżetach. A jednak wszystkiego warto choć raz spróbować, doszła do wniosku. - Najprawdopodobniej poprowadzę sprzedaż przez Internet - dodała z namysłem. - Jak widać, ten system doskonale się sprawdził. Poza tym - pochyliła się i z uśmiechem zerwała taśmę kneblującą usta kochanków - szkoda zmarnować takie dobre zdjęcia.

- Nie zrobisz tego - warknął Jack, wyprowadzony z równowagi.

- Zrobię - odparła Christine.

- Niby jak? Sama?

Christine popatrzyła na Dużego Ala.

- Niezupełnie - powiedziała.

Al uśmiechnął się szeroko i oblał rumieńcem, a następnie chwycił ją w objęcia. Christine z zadowoleniem wpadła w rozłożyste ramiona, rozkoszując się dotykiem kogoś tak

dużego, znacznie potężniejszego od niej. Pomimo albo właśnie za sprawą swych gabarytów Al wydał jej się niezwykle pociągający; doświadczyła uczucia „namacalności”, które nachodziło ją wieczorami podczas pracy. Z tą drobną różnicą, że teraz nie była samotna. Spłynęło to na nią niczym olśnienie. Gdy uniosła wzrok, napotkała ciepłe spojrzenie brązowych oczu i serce zaterkotało jej jak maszyna do szycia. Z wysiłkiem wyplątała się z objęć Ala i ponownie skierowała wzrok na toaletkę. Mają mnóstwo czasu, by rozkoszować się sobą nawzajem, lecz zanim to nastąpi, musiała zrobić coś ważnego. Postawić kropkę nad i.

- Rozwiążcie mnie wreszcie, kretyni - burknął Jack.

W czarnej skórze i kajdankach usiłował wyglądać dostojnie, ale nie bardzo mu to wychodziło.

- Chwileczkę, kochanie - odrzekła Christine. Wzięła z toaletki jakiś przedmiot i z uśmiechem podeszła do łóżka.

Nie była do końca pewna, co to jest ani do czego służy, lecz widok tylnej klapki w spodniach nieodparcie nasuwał rozwiązanie zagadki.

Ostatni pociąg do Dogtown

Ludzie często pytają, skąd pochodzą moje pomysły. Uważam, że istotniejsze jest to, dokąd zmierzają. Zaczęłam pisać to opowiadanie na hotelowej papeterii w zapuszczonym motelu w Georgii podczas amerykańskiej promocji mojej ostatniej powieści. Skończyłam je dwa tygodnie później, w pociągu. Nie jechałam wówczas do Dogtown, ale i tak tam dotarłam.

Neil K. miał za sobą ciężki wieczór. Ponad tysiąc osób na uroczystości wręczania nagród i pięćdziesiąt na konferencji prasowej, po której przyszła kolej na autografy, konwencjonalne uściski dłoni oraz uśmiechy do kamery. Cholerny motłoch, pomyślał, kiedy pociąg zatrzymał się z lekkim szarpnięciem. Nie spocznie, dopóki nie wysie człowieka do ostatniej kropli.

Mógł się tego spodziewać. Miał trzydzieści dwa lata i fotogeniczną twarz, publikował w czterdziestu krajach i otrzymał szereg zaszczytnych nagród - nie wspominając o dwóch lukratywnych kontraktach na filmy, których, jak twierdził, nie oglądał. Krótko mówiąc, był świętym Graalem świata wydawniczego, fenomenem literackim, a zarazem obiektem powszechnego uwielbienia.

Co nie znaczy, że na to nie zapracował. Jego powieść, kiedy wreszcie ujrzała światło dzienne, olśniła krytyków dojrzałością, czytelników zaś ujęła wdziękiem i oszczędnością środków. Przemysłana w najdrobniejszym szczególe, nie zawierała ani jednego zbędnego wyrazu czy wybujałej myśli. K. spalił wszystkie brudnopisy i juvenilia, usunął wszelkie ślady młodzieńczego niepokoju i niezdarności. Precz z przysłówkiem i przymiotnikiem, koniec prymatu hiperboli i wykrzyknika. Styl K. był krystalicznie czysty. Wypieszczony. I na wskroś nowoczesny. Jednym słowem taki, jak on sam.

K. wyjrzał w półmrok. Gdziekolwiek stanęliśmy, na pewno nie jest to King's Cross, stwierdził w duchu. W odległości kilku jardów świeciło się czerwone światło. Wydawało mu się, że w tle majaczy zarys peronu, drzewa oraz budynek z jasnego drewna, z przesadnie ozdobnym zwieńczeniem, przywodzącym na myśl piernikową chatkę. Panowała głucha cisza, niezmacona nawet szumem silnika. Naraz zgasły światła i w wagonie zapadła ciemność.

Nie ma prądu, pomyślał K. Na pewno awaria, może spięcie albo semafor przestał działać. Zaraz przyjdzie konduktor z przeprosinami. K. nie omieszka powiedzieć mu do słuchu; wydawcy nie po to zapłacili za pierwszą klasę, żeby tkwił po ciemku w szczerym polu.

Lecz mijały minuty i nikt się nie zjawiał. K. wyjął komórkę. Dochodziła jedenasta, telefon miał naładowaną baterię, lecz był poza zasięgiem. Wreszcie K. wstał i z rosnącym zaniepokojeniem ruszył korytarzem.

Pociąg był pusty.

Musieli go przeoczyć. Zostawili na boczniczy w przekonaniu, że wszyscy pasażerowie wysiedli. Poirytowany K. otworzył drzwi i wyjrzał na wyludniony peron. W takim miejscu nie miał co liczyć na taksówkę, ale w pobliżu na pewno była jakaś wioska albo przynajmniej droga, gdzie znajdzie transport. Tak czy siak, nie uśmiechało mu się iść torami ani siedzieć w pustym pociągu. Inne rozwiązanie nie wchodziło w rachubę. Może za drzewami odzyska zasięg.

Jeszcze raz spojrzął na semafor: nadal paliło się czerwone światło. Pod nim dostrzegł tablicę z literami DT1, niżej zaś ręcznie wymalowany na desce napis DOGTOWN.

Nazwa coś mu mówiła, ale nie pamiętał, skąd ją zna. Może ze starego filmu? Pewnie dzieciaki zawiesiły tablicę podczas zabawy w Indian i kowbojów. Dom rzeczywiście przypominał nieco budynek z westernu; w dzień musiało tu być wymarzone miejsce do zabawy - stare wagony, tory, las. Neil K. nigdy nie bawił się w Indian. Nie miał czasu na tak pospolite zajęcia.

Naraz doznał olśnienia. Dziesięć lat przed narodzinami Neila K., kiedy wciąż miał pełne nazwisko i szufladę wypełnioną po brzegi notatkami, napisał opowiadanie o Dzikim Zachodzie. Zaraz, jaki nosiło tytuł? Coś o pociągach. „Wielki pociąg do...”. Nie, „Ostatni pociąg do...”.

Z irytacją odrzucił tę myśl. Tytuł nie miał najmniejszego znaczenia. Notatki pozostały tylko wspomnieniem, a poza tym western stanowił relikwyt przeszłości. Neil K. narodził się w wieku dwudziestu pięciu lat. Wraz z nazwiskiem przekreślił całe swoje dotychczasowe życie oraz dzieła - opowiadania o duchach, wiersze, fantasy i science fiction - będące zawstydzającym młodocianym bełkotem. Czysty zbieg okoliczności. Dogtown, na miłość boską. Co za szmira.

Gdy znalazł się na końcu peronu, zauważył ścieżkę i przeszedł nią kilkaset jardów, w ślad za swoim cieniem, posuwającym się niepewnie po wyboistym terenie. Za stacją rosły sosny; roztaczały gorzką, intensywną woń. Coś szeleściło w poszyciu. Z oddali dobiegało wycie.

K. już miał wracać do pociągu - przynajmniej tam się prześpi, a rano ktoś na pewno przyjdzie po lokomotywę - kiedy raptem zobaczył światło prześwitujące zza drzew, a potem drewniane budynki przy wąskim trakcie. Pobiegł w kierunku światła. Zorientował się, że

budynki stoją rzędem wzdłuż głównej drogi i stanowią część wioski z niewielką sadzawką pośrodku. Pachniało końmi; pewnie w pobliżu znajdowało się gospodarstwo.

Podchodząc bliżej, K. spostrzegł, że największy budynek jest rzęsiście oświetlony. Przez otwarte drzwi sączyły się dźwięki pianina. Nad drzwiami wisiał szyld. Pub, pomyślał z nagłą tęsknotą K. To już lepiej.

Wszedł do środka. W sali było tłoczno. Część gości grała w karty przy stole, ustawionym w rogu pomieszczenia; pozostali rozmawiali, pili bądź słuchali muzyki. Łysy mężczyzna w półokrągłych okularach grał na pianinie, najwyraźniej dawno niestrojonym. Przy barze siedziała grupka kobiet w wymyślnych fryzurach i wydekoltowanych sukniach. Jedna z nich, wyfiokowana blondynka, na jego widok uśmiechnęła się przyjaźnie. Przeważali mężczyźni. K. zauważył, że większość z nich nosi flanelowe koszule, skórzane kamizelki i kowbojki. Wieczorek folklorystyczny, pomyślał. Tradycyjne potańcówki i tak dalej. Tego rodzaju rozrywki cieszą się na wsi ogromną popularnością.

Kiedy K. zamówił kufel, barman popatrzył nań z ukosa. Piwo (nigdy nie słyszał o nazwie „Kulawy pies”) było słabe i nieco słonawe, mimo to wypił je duszkiem i zamówił następne. Czuł na plecach spojrzenia obecnych, ale nie odwrócił się twarzą do sali. Był tak znany, że rozpoznawano go nawet poza Londynem, w owej chwili zaś nie zależało mu na towarzystwie rozentuzjasmowanych fanów.

- Przepraszam, co to miejscowość? - zwrócił się do posępnego barmana, przekrzykując brzdąkanie na pianinie.

Odpowiedzią było wzruszenie ramionami i niewyraźne mruknięcie.

K. powtórzył pytanie, lecz barman puścił je mimo uszu.

- Nie zwracaj uwagi na Jakera - zabrzmiał głos za plecami K. - Jest zły, bo nie ma własnego zakończenia. - Należał do wyfiokowanej blondynki o zmęczonej twarzy, po czterdziestce, którą K. (w innych okolicznościach i przy lepszym oświetleniu) uznałby za całkiem atrakcyjną. - Mogę postawić ci drinka?

- Dzięki. - Wydała mu się dziwnie znajoma, ale przebranie utrudniało identyfikację. Może to jego dawna rzeczniczka, kelnerka, fanka... Żadna ze wspomnianych ról nie pasowała. Mimo to kobieta obejmowała K. wymownym spojrzeniem, od którego ciarki chodziły mu po plecach. Spojrzeniem, które mówiło: „Hej, Neil, to ja! No co ty, nie pamiętasz?”. Tak jakby mógł pamiętać tysiące osób, z którymi rozmawiał w ciągu ostatnich dziesięciu lat.

- Wiem, że już się kiedyś spotkaliśmy - odparł z ujmującym uśmiechem. - Nie mam jednak pamięci do imion...

Blondynka patrzyła na niego z zawiedzioną miną.

- Jestem Kate - powiedziała. - Kate O'Grady. Na pewno mnie pamiętasz.

Gdyby tylko nie mówiła z tym okropnym amerykańskim akcentem, pomyślał. Wieczorek folklorystyczny to jedno, ale rozpoznać kogoś w takim stroju... - Naturalnie! Kate! - zawołał, szczerząc zęby. - Ale się wygłupiłem! Miałem okropny dzień, a moja pamięć, jak wiesz...

- Wiem. Wszyscy wiemy, Neil. - Wybuchnęła śmiechem, jakby powiedziała coś bardzo zabawnego. Następnie popatrzyła na niego uważnie i posmutniała. - Nie pamiętasz, prawda? - spytała. - Minęło dużo czasu. Nie byłam pewna, czy rozpoznasz pozostałych, ale sądziłam, że mnie na pewno.

Chryste, czyżby z nią spał? Chyba nie. Kobieta wyglądała na bliską płaczu.

- Jasne, że pamiętam, Katie - odparł życzliwie. - Ale miałem ciężki dzień, a poza tym ten twój kostium... - Po ciągnął łyk słonawego piwa, mając nadzieję, że nie będzie drażyła tematu. - Nawiasem mówiąc, wygląda świetnie. Do twarzy ci. Wspominamy Dziki Zachód, co? Słuchaj, czy jest tu gdzieś telefon? Moja komórka nie działa, a ja muszę jak najszybciej zadzwonić do...

K. zająknął się, słysząc, że pianino ucichło. Uświadomił sobie nagłą ciszę i baczne, wygłodniałe spojrzenia zwrócone w jego kierunku.

- Nie pamięta Katie - mruknął mężczyzna w koszuli w czerwonej kratę.

- Nie pamięta Katie? - powtórzył z niedowierzaniem pianista. K. dopiero teraz zauważył, że wszyscy goście mają przy sobie broń.

- Przepraszam, czy jest gdzieś telefon? - K. wiedział, że pistolety to atrapy, lecz atmosfera panująca w pubie (saloonie?) sprawiła, że poczuł się odrobinę nieswojo. Wie dział, że londyńczycy rzadko cieszą się sympatią prowincji: tamtejsi mieszkańcy zazdrościli mu urody i sukcesów. Paru gości wyglądało na skorych do bójki i nikt - ani jego wy dawca, ani przyjaciele - nie wiedział, gdzie on się znajduje.

- Telefon?

- Tak. Moja komórka nie działa, a muszę zadzwonić do...

- Nie ma telefonu - oznajmił kategorycznie mężczyzna w czerwonej koszuli.

- Cóż, może ktoś mógłby zatem...

-W Dogtown nie ma telefonu.

Trochę przesadzają z konwencją, pomyślał K. Poza tym dialog brzmiał niczym żywcem wyjęty z niskobudżetowego filmu klasy B, tłumaczonego z hiszpańskiego. Mimo to cała sytuacja wydawała się upiornie znajoma. Pociąg, bar, blondynka - tak, pamiętał ją, a

przynajmniej tak sądził - Kate O'Grady, gospodyni jedynego saloonu w Dogtown, ze starego i na wpół zapomnianego opowiadania.

- Pewnie nie wiecie, kim jestem - powiedział nerwowo.

- Ależ wiemy - odparł mężczyzna w czerwonej koszuli. - Jesteś Neil Kennedy.

- Kennedy? - Rzeczywiście tak się nazywał, dawno temu. Jednakże odrzucił to nazwisko razem z resztą życia: brulionami, opowiadaniem, filmami i komiksami. Mógł przysiąc, że nikt nie wiedział o Neilu Kennerlym... ale przecież nikt nie powinien też znać „Ostatniego pociągu do Dogtown”.

Goście podeszli bliżej. K. słyszał, jak szepczą jego nazwisko - z przestraszeniem, zaciekawieniem oraz czymś, czego nie potrafił określić. Żarliwością? Przejęciem? Pożądliwością? Pianista sięgnął do kieszeni i wyjął sfatygowany notatnik. W milczeniu wyciągnął drżącą dłoń; jego twarz lśniła potem. Mężczyzna w czerwonej koszuli uczynił to samo, następnie jedna z kobiet przy barze, potem albinos, który jednocześnie wypuścił z rąk karty, wreszcie mężczyzna w meloniku - wszyscy wyciągnęli do K. świstki papieru i ogryzki ołówków, z identycznym wyrazem nadziei w błyszczących, wygłodniałych oczach.

- Czego chcecie? - spytał K.

- Podpisu, proszę pana - odparł nieśmiało pianista.

- Tak, podpisu - dodał mężczyzna w meloniku. - Resztę dopiszemy sami. Czekaliśmy na pana.

- Czekaliście? - zapytał K.

Barman skinął głową.

- Czekaliście? - powtórzył ciszej K.

Barman zmierzył go przeciągłym spojrzeniem.

- Za długo, panie Kennerly - odrzekł powoli. - O wiele za długo.

K. z niedowierzaniem rozejrzał się po sali. Rozpoznał ich: barmana Jakera, pianistę Sama Grzechotnika, albinosa Whiteya Smitha, Pasadenę Kida w czerwonej koszuli (najszybszego strzelca na Dzikim Zachodzie)... Czy to miał być hołd złożony przez zagorzałych fanów? Czyżby ci ludzie jakimś cudem zdobyli egzemplarz starego opowiadania (w dobie Internetu wszystko jest możliwe) i zorganizowali zjazd na jego cześć?

Musi brać nogi za pas. Zjazd czy nie zjazd, cokolwiek tu wyczyniali, miarka się przebrała. Mrok ułatwi mu ucieczkę; w pobliżu na pewno znajdzie telefon. Zresztą nawet noc w pustym pociągu będzie lepsza niż to.

- Wybierasz się gdzieś? - zapytał mężczyzna w czerwonej koszuli, którego mimowolnie nazywał w myślach Pasadeną Kidem.

- Słuchaj, stary, nie jestem pewien, co tu jest grane...

Pasadena Kid położył rękę na rewolwerze.

- Zostajesz tutaj - oznajmił. - Mamy do pogadania.

- Nie chcemy rozróby - powiedział z wahaniem barman.

- Pamiętaj o ostrzeżeniu szeryfa.

- Nie wtrącaj się, Jaker - odparł Kid. - Mojemu bratu przestrelili płuco. Muszę wiedzieć.

- Właśnie - dorzucił albinos. - A ja chcę wiedzieć, czy znajdę wreszcie porzuconą kopalnię złota.

Rozległo się więcej głosów.

- Tak, panie Kennerly, proszę mi powiedzieć...

- Czy znajdę drani, którzy zastrzelili ojca?

- Co z Indiańcami...

- A pociąg?

K. wielokrotnie doświadczał oblężenia przez fanów, lecz nigdy na taką skalę, z taką desperacją. Czepiali się jego rękawów, czuły oddechy przesycone zapachem piwa i whisky. Podchodzili coraz bliżej, wyciągając ręce zaciśnięte na kartkach, zeszytach, ołówkach, kawałkach kredy. K. pogrążał się w oceanie sfatygowanych brulionów i świstków.

- Podpis, panie Kennerly.

- Zwykle nie rozdaję autografów - odparł K., cofając się o krok.

- Błagam...

- Chcę... Potrzebuję...

- Zostawcie mnie! - wrzasnął K. - Bo zawołam policję!

Odniósł wrażenie, że wzmianka o policji wywarła pożądany skutek, gdyż napór tłumu nieco zelżał. Lecz na zaczerwienionych twarzach ludzi nie malował się strach, tylko zdziwienie. Sam Grzechotnik wybałuszył oczy, ukazując spróchniałe pieńki zębów. Whitey Smith trzymał kartkę wyrwaną z zeszytu, krzywiąc się jak do płaczu.

Kate O'Grady patrzyła na K. z pogardą.

- Ty naprawdę nie wiesz, co? - powiedziała. - Nadal nie masz pojęcia, gdzie się znalazłeś? I kim jesteśmy?

- A skąd mam wiedzieć? - odburknął K.

- Stąd, że sam nas tu umieściłeś, Neil - rzekła Kate. - Stworzyłeś nas. Jesteśmy odrzutami z twojej twórczości, zawieszonymi w próżni bohaterami bez finału. Postaciami z niedokończonych opowiadań, statystami i gwiazdami epizodów, które porzuciłeś z dnia na

dzień i skazałeś na zapomnienie. To wszystko... - powiodła ręką dokoła - ...to Dogtown z opowiadania o Dzikim Zachodzie, któremu od mówiłeś zakończenia. Tam... - wskazała palcem na południe - ...znajdziesz swoich „Najeźdźców z Planety 51”. Na północy zaś leży „Niebezpieczne miasto” zamieszkane przez kanibali, już strasznie wygłodniałych, których stworzyłeś w wieku dziewięciu lat. Kawalek za Dogtown natkniesz się na „Bagno dinozaurów” oraz plemię kobiet z innej planety w srebrnych przepaskach na biodrach z „Kozmo Astronauty”. Może napotkasz po drodze któryś z twoich przysłówków, porzuconych i błakających się po lesie, zbyteczny dialog bądź też innego nieszczęśnika, który prze grał z twoim dążeniem do przejrzystości fabuły. Każde z nas czeka na swoją kolej: czekamy, aż sobie o nas przypomnisz.

K. utkwiał w niej wzrok.

- To niemożliwe. Chyba powariowaliście.

- Posłuchaj własnych słów - odparła twardo Kate. - Kiepski dialog ze starych filmów, które tak lubiłeś oglądać, Neil. Nie poznajesz własnych komunałów?

K. pomyślał przez chwilę. Może powinien przyłączyć się do gry, żeby uśpić ich czujność? Mieli nie po kolei w głowie, to fakt, lecz ich przewaga liczebna wykluczała ucieczkę. Zresztą nie miał ochoty na szarpaninę. Drżącą ręką podpisał inicjałami niechlujne zeszyty i puste kartki.

-Dlaczego ja? - spytał.

- To proste - odpowiedział Sam Grzechotnik. - Chcemy się wyrwać z Dogtown. Szeryf nas zrujnuje. Musimy uciekać.

- Ale jak ja miałbym wam w tym pomóc?

Kate okazała zniecierpliwienie.

- Jako jedyny stoisz tu wyżej niż szeryf. Ty stworzyłeś tę postać i tylko ty możesz ją wyeliminować.

- Wyeliminować?

- Oczywiście. Chcemy zakończenia. Drogi do domu. Białego wesela. Czegokolwiek. W obecnym stanie rzeczy Kate O'Grady tylko przesiaduje w saloonie, opatruje rozcięty policzek głównego bohatera i służy jako seksualna przynęta na bezwzględnego, sadystycznego szeryfa. - Kate wzruszyła ramionami. - Może uznasz, że jestem wybredna, ale miałam nieco inną wizję własnej przyszłości.

- Hm.

- Co do szeryfa, zrobi wszystko, by nie dopuścić do za kończenia. Pragnie utrzymać status quo. Wie, że takich jak on nie czeka nic dobrego. - Zwróciła się do pozostałych, którzy

nadal oblegali K., trzymając w pogotowiu ołówki. - Szybko. Na co czekacie? Szeryf zjawi się lada chwila.

K. potrząsnął głową.

- Chyba nie myślicie, że w to wszystko uwierzę. Nonsens.

- Nieważne, w co wierzysz. Potrzebowałam tylko twoje go podpisu.

- Mimo to nadal nie rozumiem...

Kate niecierpliwie machnęła ręką.

- Potrzebujemy upoważnienia. Twój podpis... - Naraz zobaczyła coś za plecami K. i tak mocno zacisnęła ręce na ze szycie, że kostki jej zbieleły. Następnie chwyciła ołówek i zaczęła pisać.

Huknął grzmot i Kate padła na ziemię. Na falbaniastym staniku sukni wykwitła plama krwi. W ciszy, która zapadła, K. usłyszał powolne kroki. Nie musiał podnosić wzroku, by wiedzieć, że to Jednooki Logan, (bezwzględny i sadystyczny) szeryf Dogtown.

- Proszę, kogo tu mamy. Nasz przyjaciel pisarzyna.

K. wolno uniósł głowę. Nad wysłużoną skórzaną kamizelką z lśniącą gwiazdą szeryfa zobaczył ogorzałą twarz z siwym zarostem. Jedyne oko mężczyzny (drugie przykrywała skórzana opaska) przypominało kamienną kulkę. Na pasie przerzuconym przez ramię wisiał notatnik oprawiony w czerwoną skórę oraz słownik wyrazów bliskoznacznych w miękkiej oprawie. Z lufy rewolweru, który szeryf trzymał w prawej dłoni, wciąż unosiła się smużka dymu.

- Katie! - Twarz barmana Jakera wykrzywiła się w gniewie i rozpacz. Złapał swój notes, lecz jego przeciwnik okazał się szybszy. Jaker chwycił się za pierś i upadł, wzbijając tuman zakrwawionych trocin.

Pasadena Kid stał przy barze i sięgał ręką do kieszeni kurtki.

Szeryf poklepał swój zeszyt.

- Nie próbuj, Kid. Mam cię na muszce.

Kid stał nieruchomo, oceniając sytuację.

- Rzuć to - zażądał szeryf. - Tylko powoli.

Kid opuścił wzrok, jakby dawał za wygraną. Naraz błyskawicznym ruchem dobył z kieszeni zeszyt i pióro. Rewolwer wypalił po raz trzeci. Szeryf odwrócił ciało czubkiem buta.

- Byłeś szybki, Kid - powiedział z namysłem. - Mówili, żeś najszybszy bohater w Dogtown. Ja jestem ledwie rysem postaci, ale każdy korzysta z tego, co ma, nie? Gra skończona, chłopcy - zwrócił się do pozostałych. - Rączki do góry. I żadnych numerów. Niech no tylko zobaczą kogoś choćby z ołówkiem, od razu rozwalę mu łeb. Zrozumiano?

Buntownicy pokiwali głowami i powoli, jeden po drugim, odłożyli pióra i zeszyty.

- Dobrze - powiedział szeryf, nie spuszczać z nich oka.

- A teraz, panie Kennerly, czy jak cię teraz zwa, omówimy sobie parę spraw.

Ale K. patrzył na ludzi leżących na podłodze. Nie ulegało wątpliwości, że nie żyją; w powietrzu unosił się zapach krwi oraz prochu, a wykrzywione twarze i powykręcane kończyny zabitych nie miały nic wspólnego z ciałami z westernów, które oglądał w dzieciństwie.

- Zabiłeś ich - powiedział roztrzęsionym głosem. - Ty ich naprawdę zabiłeś.

Szeryf wzruszył ramionami.

- Samoobrona - odparł. - Wiele czytałem. Prowadziłem badania. Wiem, co czeka gościa w czarnym kapeluszu w trzecim akcie. Podoba mi się tu, panie Kennerly, lubię mieć władzę. I żaden pisarzyna nie usunie mnie z fabuły. - Powoli wy celował rewolwer w K. - Chleba i igrzysk, czy nie tak powiedział tamten gość z Rzymu? Daj im żarcie i rozrywkę.

I pominąwszy zwykłą szmirę, przyzna pan, panie Kennerly, że to drugie w znacznej mierze określa nasze profesje.

Przyparty do muru, K. skinął głową. Szeryf uśmiechnął się szeroko.

- Rozumie pan - podjął. - Od dwudziestu lat z pana woli sprawuję tu rządy, więc to chyba nie w porządku zjawiać się ni stąd, ni zowąd i przekreślać wszystko jednym machnięciem pióra. Tak się nie robi i ja na to nie pozwolę. Zresztą... - dodał, otwierając czerwony zeszyt - jestem bez względny i sadystyczny. I taki zostanę.

- A co ze mną? - spytał K., spoglądając na otwarty zeszyt szeryfa.

Jednooki uśmiechnął się skromnie.

- Chyba dość już strzelaniny - rzekł. - Ale rozumie pan, że nie mogę pana wypuścić. To za duże ryzyko. Nie twierdzę, że poradzę sobie lepiej niż pan, ale zrobię co w mojej mocy, bez dwóch zdań.

- Nie rozumiem - odpowiedział K.

- Ależ rozumie pan - zapewnił Jednooki, śliniąc koniec ołówka. - Historia musi mieć zakończenie. Wszyscy od początku to mówili. Ślub, pogrzeb... Do diabła, mamy od groma możliwości! Proszę zdać się na mnie, na pewno dokonam odpowiedniego wyboru. Prawdę powiedziawszy... - Szeryf zrobił skromną minę, jego szorstkie policzki lekko poróżwiały. - Prawdę powiedziawszy, naszkicowałem pewien plan. Tak na próbę, żeby zobaczyć, jak to będzie. Jak mówią, zagraj na flecie i zobacz, kto pójdzie w tany.

K. słowa uwięzły w gardle. Z wysiłkiem pokiwał głową.

Szeryf miał zadowoloną minę.

- Cieszę się, że mogę liczyć na pana zrozumienie. Poza tym myślę, że pochwali pan mój plan.

- Mianowicie? - spytał słabym głosem K.

- Cóż - odparł szeryf - nazwie mnie pan konserwatystą, ale grunt to tradycja, prawda? Dajmy ludziskom trochę rozrywki. - Uśmiechnął się z wyższością. K. odniósł wrażenie, że policzki szeryfa znowu lekko poróżowiały. - Co pan na to? Cenię sobie pańskie zdanie. Ale Dogtown to Dogtown: życie nas nie rozpieszcza, a zabawy jak na lekarstwo. Minął szmat czasu, odkąd ktoś zawisł na stryczku...

Gen Yezus

W „Jeżynowym winie” jeden z bohaterów nie jest w stanie powtórzyć sukcesu swej pierwszej powieści i zaczyna tworzyć podrzędną literaturę science fiction, żeby mieć na życie. Publikuje książki pod pseudonimem Jonathan Winesap. Właściwie nigdy nie wydorósł. Stwierdzam z zadowoleniem, że ja też nie.

„Śmierć każdego żywego organizmu umniejsza mnie, albowiem jestem częścią żywota”. Pieśń 363 z „Credo życiowe Jaźni”, circa 2141. Dwa tysiące powtórzeń dziennie przez pierwszych dwadzieścia lat. Czy pamiętam je wszystkie? Akurat!

„Wspólne dobro jest jedynym dobrem”. Następny. Dotychczas dwadzieścia pięć tysięcy powtórzeń i nie widać końca. „Będziesz cierpiał w moim imieniu, a wstąpisz do wiekuistej bazy danych zbawienia”.

Podobno nikt nie ma wstępu do naszego umysłu.

Gówno prawda.

Do mojego zagląдали tak często, że nie zostało nic, czego nie przetrząsnęli i nie ukradli, wywrócili na nice, poszatkowali i złożyli do kupy, poddali gruntownej analizie i w czym, ogólnie rzecz biorąc, nie gmerali. Może nawet jesteś wytworem mojej wyobraźni. Może wreszcie postradałem zmysły. Oni są do tego zdolni - sprawiają, że człowiek na jakiś czas głupiej, i to wszystko w ramach doświadczania Jaźni. Kto wie, może tym razem wypadło na mnie. A co tam, bywało gorzej.

Nie wierzysz? Człowieku, byłem kaleką, żeby oswoić własną bezradność, zniewoloną dziwką, by nakarmić żeńską stronę swojej osobowości, żołnierzem, by wykorzystać nieufność wobec władzy - a to zaledwie normformy. Finformy, akwaformy (pół mili od pyska do ogona), oddychające metanem ksenformy. Przerobiłem je wszystkie. I wiesz co?

Bzdury. To wszystko bzdury.

Pewnie chcieli zrobić mi przysługę. Samolot pędzący na nieruchomy cel z prędkością trzystu dwudziestu na godzinę robi z człowieka krwawą miazgę. A może to tylko kolejny program Jaźni? Bywają dni, kiedy nie pamiętam nawet tego. Nie, raczej mi tego nie robili. Zapamiętałbym taką frajdę.

„Cierp we mnie. Cierp ze mną. Cierpienie doprowadzi cię do zbawienia. Królestwo umysłu to drabina do gwiazd”. Posthipisowskie bzdety o błogostanie, pompowane w precyzyjnie obliczonym tempie asymilacji, na częstotliwości, której nie pokona nawet mój mózg. Stymulatory zmysłów, bym zaprzestał protestów. I autentyczny program

wewnętrznego życia - jeden z wielu tysięcy - do weryfikacji wskaźnika oświecenia. Postaw się na moim miejscu, siostró. Zresztą nieważne.

Treść mózgową jest tu towarem deficytowym. Nawet równie wybrakowana jak moja przechodzi znużony proces rafineryjno-recyklingowy. Dwadzieścia lat temu (o ile tak krótki okres ma dziś jakiegokolwiek znaczenie) zrobiliśmy coś, nie pytaj co, rozszczepiliśmy niewłaściwy atom, przemieściliśmy niewłaściwy antygen, nacisnęliśmy niewłaściwy guzik, namieszaliśmy z siłami kosmicznymi i zainfekowaliśmy gatunek. Efekt? Niemal totalna zagłada. W owym czasie znajdowałem się przeważnie poza własną czaszką, dlatego niewiele mnie to obeszło. Obecnie przebywam poza nią na okrągło. Zostałem wybrany. Ty pewnie też. Hura.

Witaj w cudownym świecie formaliny.

Powiedzieć ci coś? Cieszę się, że tu jesteś. Możemy połączyć nasze umysły (wybacz, to było w złym guście; nie mam pojęcia, jak się teraz mówi: interfejs, czy coś takiego), porównać notatki. Lubię myśleć, że jesteś kobietą. Co nie znaczy, że to ma jakiegokolwiek znaczenie (przynajmniej według tych z Jaźni), ale moim zdaniem tak jest przyjemniej. Pozwól, że się przedstawię. Oz „Wściekły Pies” O’Shea, Piekielny Jeździec, wielokrotny gwałciciel, morderca i pijak, dotychczas jedyny lokator pojemnika 235479 Korporacji Jaźń (Nowy Jork). Podlegający kategorii G (Departament Przeróbek Genetycznych, siostró), dział eksperymentalny. Karta członkowska numer 390992. Ale ty, kotku, możesz nazywać mnie Oz.

Co taka fajna laska robi w takim miejscu? Zakładam, że jesteś laską. Choć to nie ma znaczenia. Jak wspomniałem, sam bywałem laską, więc się nie obrażaj. Witaj w piekle.

Kiedy mnie tu sprowadzili, wcale nie myślałem, że to piekło. Skądże znowu. Uważałem się za szczęściarza, gdy wyrwali mnie z rynsztoka i zdemontowali na części jak stary rower. Warto było ich posłuchać: stanę się nowym człowiekiem, człowiekiem oświeconym... Do diabła, miałem być przyszłością całej pierdolonej rasy!

Potrzebowali ochotnika. Sądząc z ich słów, miałem zostać Bogiem, Adamem i drugim przyjściem Chrystusa w jednej osobie. Żeby umożliwić nam powrót, powiedzieli. Zaprowadzić porządek. Odnaleźć wadliwą część - zlokalizować ją, odizolować, wyczyścić i zacząć od początku. Ochotnik pełen zapału, powiedzieli, może zyskać pewne przywileje w zamian za ocalenie rasy.

Byłem pełen zapału.

Zdołali zachować większą część mojego umysłu. Najpierw do przesłuchania - chcieli wiedzieć, dlaczego, kto, gdzie, kiedy, zawsze to samo. Potem cześć, wyłączają albo jeszcze

gorzej. O tak, bywa znacznie gorzej. Państwowy Zakład Karny w Nowym Jorku ma pół miliona bezcielesnych więźniów w jednej bazie danych (wszyscy zmiecenii podczas szeroko zakrojonych akcji w latach dwudziestych, cha, cha), oczekujących na wewnętrzne oświecenie oraz może zbawienie.

Tak jest. Nie wiedziałaś? Wszyscy będziemy zbawieni. Przynajmniej bylibyśmy, gdyby ostał się ktoś, kto dokona tego chwalebego aktu. Obecnie wszystko jest zautomatyzowane, kotku: wszystkie dokroboty, psychomechanicy i empaskanerzy sączą obłąd w nasz biedną, bezsilną korę. Ot, drobny upominek z czasów, gdy świat miał jeszcze kilka wątych atutów, które następnie przyszło mu utracić.

Nigdy nie lubiłem bezmózgich lasek. Przynajmniej teraz ten problem odpada. Zbiorniki wzrostu nadal istnieją; wprawdzie Korporacja Jaźń narzuciła istotne ograniczenia ze względów moralnych, ale zbiorniki wciąż nadają się do użytku. Hoduje się w nich normformy (bez treści mózgowej) i ksenformy, z których korzystamy podczas naszych wypadów poza czaszkę. Wszystko dla celów samopoznania i samodoskonalenia, uwiecznionych nirwaną. Zastrzyk, osunięcie w nicość, migawka... i od początku. Cóż to będzie tym razem? Futrzana kotforma? Dolfiforma snująca osobliwą pieśń na pięciu milionach sążni płynnego dwutlenku węgla? Wiem tylko, że będzie to istota rozumna. Ścieżka do nirwany jest szlakiem refleksji, jak powiada gość od zbawienia. „Poprzez cierpienie osiągniemy nasz cel”. Wychodzi na to, że owady nie cierpią dostatecznie mocno.

Jak długo to trwa?

Sto tysięcy psychoprojekcji, z których każda stanowi wycinek życia. Trójwymiarowe Doznanie Sensoryczne Dolby Surround (zarejestrowany znak towarowy Korporacji Jaźń, ukośnik czerwono-czarne logo firmy). Odłączają wedle swego widzimisię. I włączają, gdy przyjdzie im na to ochota.

O, sprytu im nie brakuje. Nie zliczę, ile razy fundowali mi scenariusz białej sali. Pacjent czeka skrępowany, w ustach gumowy posmak knebla. Życzliwa gęba w lekarskiej masce („Ach tak, obudziliśmy się, rozumiem. Jak się czujemy?”) - Z pełnej strzykawki sączy się w posiniaczone ramię słomkowy płyn. Rozkoszne uczucie. I kolejny siniak. W dążeniu do realizmu liczą się szczegóły.

Muszę oddać im sprawiedliwość: robili, co mogli. Zastanawiam się, ilu zginęło - dawno temu, gdy świat był przy zdrowych zmysłach - skoro tak im na mnie zależało. Wprawdzie to maszyny, one nigdy nie dają za wygraną, przynajmniej dopóki nie pójdzie im jakaś część. Zaprogramowane na nirwanę nie popuszczą, choćby trafił im się nie wiem jak niewdzięczny materiał. Kolejna analiza w poszukiwaniu wyczekiwanej zmiany. I znów

posmutniałe twarze z niemym wyrzutem odsyłają cię do białej sali, gdzie dotknięcie ściany grozi porażeniem.

Módl się o zbawienie, płyną słodkie mechaniczne głosy. O zbawienie. Umierasz (znowu, jeszcze jeden, a potem kolejny raz), aby ludzkość mogła przeżyć. Znajdź skazę i ją napraw. Poddaj gruntownej analizie. Oz przechodzi katusze dla waszego dobra, obywatelu. Odseparujmy wadliwy gen, psychopatyczne ogniwo w jego porypanym mózgu, i usuńmy je ze zdalnie sterowanej przyszłości, świetlanej i czystej jak ła.

Tylko posłuchaj.

Gównu prawda.

Sęk w tym, że ktoś powiedział im o istnieniu czegoś wartego ocalenia, mianowicie duszy, ulotnej iskry, której nikt dotąd nie zdołał wyodrębnić. Oto, czym się kończy ingerencja religii w świat elektroniki. Już im to mówiłem. Nie ma czegoś takiego jak gen Ye-zus. Tropią go od tak dawna, że gdyby go wreszcie znaleźli, sami nie wiedzieliby, co z nim począć. Co zresztą oznacza to Y, do cholery? Yeti? Yes? Yesterday? Jednakże wiara maszyny jest nieskończona, jej cierpliwość przewyższa boską. Znajdziemy go, zapewniają. Na pewno gdzieś tam jest. Widać nie dość się jeszcze nacierpiałem.

Żyję tak długo i tyle razy, że zaczynam miewać wspomnienia. Sama rozumiesz, że to niewskazane: po każdym użyciu tabliczkę należy wytrzeć do czysta i wprowadzić świeży zestaw doświadczeń; jeśli pęknie, trzeba potraktować to jako nauczkę i wprowadzić nowego delikwenta - tylko nie wiem, ilu ich jeszcze zostało - po czym zacząć od początku. Wszystko odbywa się metodą prób i błędów. Albo odwrotnie. Próby prowadzi mechaniczny nadzorca. Próby i kontrole.

Całkiem możliwe, że jestem tylko trybikiem, a zasadniczy eksperyment toczy się gdzie indziej, być może nie dalej niż na wyciągnięcie ręki.

Całkiem możliwe, że tylko ja im zostałem.

Mimo to zachowałem wspomnienie (sen, zwid poprojekcyjny, czort wie) wzgórze, wiwatujących tłumów, włócznie wbitej w bok oraz światłości słońca rozlewającej się po niebie bielą mocniejszą od boskiej... Śniąc, odnoszę wrażenie, że moje życia, półżycia, fragmenty doznań oraz fałszywe wspomnienia sprowadzają się do tej jednej chwili, ulotnego aktu zbawienia, natychmiastowego i doskonałego zrozumienia, że elementy układanki tworzą harmonię. Ale po sekundzie wszystko się rozpada na skutek entropii i pozostaję z poczuciem, że szumne frazesy Jaźni i nawracanie na wiarę być może kryją w sobie ziarenko prawdy... Rozłóż człowieka na części i odszukaj koło sterujące ludzkością, mistyczną spiralę, która

trzyma nas razem. Być może w osi jest gen zbawienia, który zamienia zło w dobro, a kamień w złoto... Czynniki Jezus.

Czy do tego zmiierzają wasze eksperymenty? Tak? Chodzi o gen messiah vulgaris, ostatnie ogniwo łańcucha zbawienia?

„Jesteś częścią ludzkości. Wywodzisz się z ludzkości”.

Pieśń 5742 z „Credo życiowe Jaźni”, circa 2141. Rozwalić delikwenta, a potem odbudować, zacząć od nowa. Czuję, że jestem dla nich swoistym wyzwaniem. Pokonasz to, pokonasz wszystko. Bóg tkwi w twoich genach. Po prostu go uwolnij.

Biała sala zlewa się w jedno: rzęsiste światła odbijają się w lśniących igłach, metalowe obręcze ściskają czaszkę. Proces rozpoczyna się od nowa.

„Ach, miło pana znowu widzieć. Jak się dziś czujemy?”.

Poprzez knebel, który pakuje mi do ust, próbuję ugryźć go w palec. Oczywiście, nic by nie poczuł, ale przynajmniej miałbym satysfakcję. Patrzy na mnie uprzejmie, z ubolewaniem.

„Agresja, panie O'Shea. Czyżby pan nie wiedział, że wszystkie istoty żywe tworzą jedność?”. Strzykawka syczy ku mojej twarzy miarowym, bezlitosnym łukiem. Jej zbawcza zawartość wycieka; jad kapie wprost do otwartych oczu. „Poprzez ból osiągnę odkupienie”. Pieśń 49900 z „Credo życiowe Jaźni”, pięć tysięcy powtórzeń.

Wszystko bzdura, dziecinko, choćbyś powtarzała to milion razy.

„Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił?”.

Maszyna z tablicą elektroniczną staje, chwilę brzęczy coś do siebie, ponownie rusza. W głębi niezliczonych synaps rozmiękczonego mózgu sprytny czynnik Jezus wciąż robi uniki, rozradowane ziarenko zbawienia na samym dnie gównianego kramu świata.

Pamięć ponownie przywołuje obrazy: włócznia, żołnierze, modły i jazgot gawiedzi, z których wybija się mój głos, jednocześnie błagalny i rozkazujący.

„Boże, mój Boże, czemuś mnie opuścił?”.

O mój Boże. Gdyby tylko zechciał to zrobić.

Plażowiczka

W Brazylii są plaże, których potencjalni użytkownicy przechodzą surową selekcję pod kątem wieku oraz wyglądu. Osoby starsze, brzydkie i otyłe nie mają wstępu...

Nie jestem chciwa. Naprawdę. Pragnę tylko jednego: skrawka piasku na słońcu. Przytulnego grajdołka o wymiarach sześć na cztery, miejsca na ręcznik, kosmetyczkę, krem do opalania i leżak. Gorącego piasku, wzburzonych fal, markowych okularów słonecznych oraz tego magicznego aromatu soli i kokosa. To cudo nosi nazwę Platynowe Piaski™: plaża nad plażami, numer jeden w kategorii słonecznych rozkoszy. Autentyczne palmy maskują ogrodzenie, urządzenia filtrujące uniemożliwiają wstęp intruzom, oczyszczacze powietrza zapewniają całoroczną świeżość, a wyszkoleni strażnicy w bliźniaczych wieżach obserwacyjnych pilnują ścisłego przestrzegania miejscowych standardów.

Naturalnie jest to strefa całkowicie wolna od śmieci (jakiegokolwiek odstępstwo od normy powoduje automatyczne przyznanie punktów karnych). Chwasty, kamienie oraz inne elementy środowiska naturalnego są poddawane gruntownej kontroli i w razie konieczności eliminowane. Autentyczność jest w cenie, jednak nie kosztem estetyki. Ostatecznie uroda to zarówno obowiązek, jak i przywilej posiadacza platynowej karty, kierownictwo zaś ma za zadanie utrzymać poprzeczkę na właściwym poziomie.

Popieram. Popieram z całego serca: bądź co bądź zasady są zasadami, bez nich Platynowe Piaski™ nie miałyby racji bytu. Widziałam reklamy. Znam to wszystko. Oczywiście nie od środka - jako posiadaczka srebrnej karty mam wstęp jedynie na Srebrne Piaski™, wprawdzie niebrzydkie, ale daleko im do Platynowych. Jednak nie mam powodów do narzekań. Blisko dwa lata tkwiłam na liście oczekujących i dzień, w którym po raz pierwszy zajęłam miejsce na srebrnej plaży, był najszczęśliwszy w moim życiu. Zgadza się, palmy są z plastiku, a normy estetyczne pozostawiają wiele do życzenia, ale da się przeżyć, dopóki wiatr nie przywieje z oddali smrodu plaży publicznej: owej nieomyślnej woni potu, ścieków oraz taniego kremu do opalania. Tylko pomyślcie: żadnych filtrów, strażników, palm ani ogrodzeń. Wstęp nieograniczony, a brzydota tak powszechna, że wręcz ignorowana.

Można tu zobaczyć dosłownie wszystko: kobiety grube, owłosione czy ciężarne, kobiety w poliestrowych bermudach. Faceci nie zostają daleko w tyle: blade wymocзки, tłuściochy, łysi z tatuażami, staruchy o pomarszczonej skórze. Po prostu ohyda. To coś w rodzaju trzeciego świata. Niektóre kobiety się starają, biedactwa, na przykład Tanya, moja dawna koleżanka z sąsiedztwa. Platynowa blondynka z przedłużonymi włosami, niecałe

sześćdziesiąt kilo wagi, po dwóch liftingach, operacji piersi i zabiegu odsysania tłuszczu. Wciąż czeka na srebrną kartę. Zna ryzyko: chirurdzy plastyczni z Koziej Wólki rzeczywiście oferują korzystne ceny, niemniej zawsze pozostawiają pamiątkę w postaci obwisłego brzucha oraz niezbyt twarzowej fałdy, która nie ujdzie bezlitosnej uwagi inspektora plażowego. Na plaży publicznej może włożyć kostium jednoczęściowy, lecz na Srebrnych Piaskach™ są ściśle określone standardy. Tutaj obowiązuje zasada „pokaż ciało albo spadaj” i wygląda na to, że Tanyi pozostaje już tylko to drugie. Spłata należności W TAŃCU za dotychczasowe zabiegi zajmie jej co najmniej trzy lata. Do tego czasu będzie za stara na srebrną kartę, nawet jeśli podda się zabiegom korygującym.

Oczywiście bym jej pomogła. Ale nie mogę. Mieszkam teraz w dzielnicy Srebrnych i ludzie zaczęliby gadać, gdybym zadawała się z kimś z publicznej. Groziłaby mi nawet degradacja, a tego bym nie zniosła. Poza tym codziennie przechodzę kontrolę urody, co wymaga starannych i czasochłonnych przygotowań. Wosk, peeling, manikiur, masaż, jedna godzina na siłowni i druga u fryzjera - nie wspominając o samym pobycie na plaży. Na Srebrnych Piaskach™ trzeba opalać całe ciało; białe paski są wykluczone. Siatkówka, pływanie, dbałość o prawidłową postawę: nie są to czynności łatwe, zwłaszcza że muszę chodzić na wysokich obcasach. A to tylko zabiegi konserwujące.

Rzecz jasna na złotej i platynowej plaży jest jeszcze trudniej. Moja przyjaciółka Lucida otrzymała w zeszłym miesiącu złotą kartę, przez co prawie się nie widujemy, ale odkąd jej zdjęto bandażę, rozmawiamy czasem przez telefon. Jej opowieści brzmią niesamowicie. Prawdziwe palmy, siatkówka topless, koktajle na miejscu... Na złotej plaży ciemna opalenizna jest demode; wszystkich obowiązuje faktor 15 oraz zaledwie pięć oficjalnie uznanych odcieni (cappuccino, cynamon, futerko norki, pocałunek słońca oraz brzoskwinia). Na srebrnej oczywiście nie ma takiego limitu (moja skóra ma odcień pośredni, między cappuccino a czekoladą; muszę nad tym popracować), w każdym razie, jeśli myślę o awansie, powinnam za wszelką cenę unikać zmarszczek. Jako szczęśliwa posiadaczka złotej karty Lucida kręci nosem na Srebrne Piaski™: kolorowe kostiumy, na miłość boską! I te sztuczne palmy! Na Złoty Piaskach™ obowiązują czarne kostiumy - jest to wprawdzie szykowne, ale (moim skromnym zdaniem) dość nudne. Na platynowej wszyscy noszą cieliste stroje jak tancerze baletu, co bezlitośnie uwydatnia nawet najmniejszą skazę.

Muszę przyznać, że Lucida trochę mnie denerwuje. Na srebrnej plaży byłyśmy oddanymi przyjaciółkami; w podobny sposób przedłużyłyśmy sobie włosy i nosiłyśmy skąpe bikini w identycznym kolorze. Teraz skróciła włosy i schudła, a na dodatek uważa, że blond jest do kitu. Odnoszę wrażenie, że nabija się moim kosztem; w tle pozostawionej wczoraj

wiadomości na sekretarce wyraźnie słyszałam wybuchy śmiechu. Jezu, może ona uważa, że ja też jestem do kitu? Zawsze była snobistyczną krową, nawet przed operacją nosa.

Mimo to jestem pewna, że przy pewnym nakładzie pracy dostanę złotą kartę. Bogu dzięki jestem dość wysoka, muszę tylko poprawić sobie zęby i zrzucić parę kilo. Mogłabym zaryzykować liposukcję, ale to droga przyjemność i nie zawsze skutkuje - wystarczy spojrzeć na biedną Ta - nyę. Nieważne, zawsze mogę zacząć palić, byle tylko nie zostawiać niedopałków na plaży. A jeśli dodatkowo ograniczę kalorie do czterystu dziennie, do końca miesiąca osiągnę upragnioną wagę.

Twarz? Podczas ostatniej kontroli inspektor powiedział, że prawie kwalifikuję się na platynową, więc przynajmniej przez kilka najbliższych lat nie muszę myśleć o liftingu. Super. Pozostaje sprawa piersi. Cóż, i tak zamierzałam coś z nimi zrobić; 32C to stanowczo za mało na złotą plażę, nie wspominając o platynowej. Poza tym to skąpe, cieliste bikini nie trzyma należycie biustu, a sami wiecie, jak potrafią opadać prawdziwe cycki. Piersi mojej mamy zasługują na złotą kartę; zoperowała je w zeszłym roku z polisy estetycznej, co potwierdza regulę, że przezorny zawsze ubezpieczony.

Naturalnie mama uważa, że jestem za młoda na operację. „Masz na to mnóstwo czasu”, powtarza. Sama jest za stara na plażę i nie rozumie, że mojemu pokoleniu zostało tego czasu naprawdę niewiele. Zresztą ona ma mnie, co jest pewnym zadośćuczynieniem za rozstępy oraz nadmiar sadełka tu i ówdzie. A my? Pozostają nam tylko plaże; oboW TAŃCU wiążek Piękna, Aspiracji i Obywatelstwa. Nie zrozumcie mnie źle: chciałabym kiedyś wyjść za mąż. Może nawet urodzę dzieci, zrobią mi cesarkę i blizna będzie prawie niewidoczna. Ale wyjść za chłopaka z plaży publicznej? Nawet srebrna plaża straciła nieco ze swego czaru, odkąd mogę zajrzeć przez płot do złotej i zobaczyć reklamy platynowej, na których widać gładkie, opalone ciała surferów, rozłożonych na ręcznikach od Louisa Vuittona i taksujących wzrokiem przechodzące dziewczęta.

„Ale przecież ty już jesteś ładna - mówi płacząco Tanya. - Mogłabyś mieć każdego miłego chłopca”. Ona nic nie rozumie. „Miły” to nie wszystko. Nawet „ładny” jest chybionym komplementem dla kogoś, kto aspiruje do miana pięknego. Nie chodzi tylko o plażę, nawet nie o ekskluzywne przyjęcia czy markowe ciuchy. Chodzi o poczucie spełnienia: świadomość, że dokonałaś wszystkiego, przeszłaś całą drogę od Piękna do Ideału. Posiadacz platynowej karty żyje w świecie nieustannej rozkoszy: pokonał wszystkie przeszkody, usunął najdrobniejszą skazę. Platynowa dziewczyna nie musi pracować, ma obowiązki jedynie względem siebie, co pochłania cały jej czas. Platynowa dziewczyna nie ma odcisków ani pryszczycy. Jest smukła, wymuskana, oszlifowana, wydepilowana, drogocenna, bajkowa w

bajkowych ciuchach. Bezgranicznie seksowna i nieskończenie pociągająca, słodka i uwielbiana. Czy mogłabym się zadowolić przeciętnością, mając w perspektywie coś takiego? A wy?

Jedynym wrogiem jest czas. Za kilka lat będę za stara na plażę, gdzie młodość i świeżość to dwa podstawowe warunki do spełnienia. Nikt nie chce patrzeć na starców, a efekty zabiegów chirurgicznych nie trwają wiecznie. Teraz już wiem, że za długo byłam na liście oczekujących. Dwa zmarnowane lata, gdy tymczasem moje przyjaciółki harowały na poczet złotej karty, spędzając cenne godziny na siłowni i w salonach piękności oraz przesiadując na plaży niczym młode boginie. Muszę mocno się starać, żeby je dogonić. Wiem, że nie nadrobię całego czasu, ale jestem na liście oczekujących na złotą kartę i wyraziłam gotowość poddania się koniecznym zabiegom korygującym. Zamówiłam sobie nowy kształt nosa i oszczędzam na operację piersi. Mama krzywo na to patrzy, ale co ona wie? Zresztą w przyszłym roku skończę trzynaście lat. Czas nagli.

Herbatka z ptakami

Niektórzy przez całe życie nie odrywają oczu od ziemi. Inni pragną rozwinąć skrzydła i polecieć.

Na Mortimer Street w gruncie rzeczy nikt nikogo nie zna. Jest to jedno z tych miejsc: krępująco ruchliwe i nieprzyjaźnie zatłoczone. Położone na końcu ulicy wille ozdobione sztukaterią onieśmielają nas, mieszkańców domów szeregowych, chociaż czasy świetności mają dawno za sobą i przypominają torty weselne pozostawione na ulewnym deszczu.

Szeregowce stoją w równych rzędach; ich mieszkańcy żyją jak ptaki w klatkach, walcząc o miejsce na parkingu i łypiąc na siebie zza firanek. Oficjalną walutą jest plotka, im bardziej oszczerza, tym lepiej. Samotnicy nie mają tu łatwego życia.

Wiem, bo sama należę do tej grupy. Wszystko nie na miejscu: twarz, głos, ubranie. Reprezentuję zupełnie inny gatunek niż moi sąsiedzi. Ich zdaniem to bardzo podejrzane, że zamieszkałam wśród nich, na drugim piętrze dużego szeregowca przebudowanego na cztery kawalerki.

Z instynktowną pogardą maskującą strach biorą mnie za studentkę. W rzeczywistości zacy stronią od tanich kwater, wybierają stacje w Stanbury, blisko teatru, kina oraz rzędu hałaśliwych pubów. Na Mortimer Street panuje chłód; wyczuwa się tu ogólną niechęć do wyrażania emocji.

Ów chłód początkowo mi odpowiadał. Dwa lata w szpitalu psychiatrycznym obudziły we mnie gwałtowną potrzebę ciszy i prywatności. Radowałam się samotnością w swojej klitce, spokojem spędzanych tu nory. Godzinami okupowałam łazienkę i celebrowałam posiłki sporządzone w maleńkiej kuchni. Czasem pracowałam wieczorami jako wolontariuszka dla ruchu samarytańskiego. Jest to dość zmudna praca; wytrzymałam tylko dzięki namowom psychoterapeuty. W pozostałe wieczory dorabiałam jako kelnerka, co również przyjmował z aprobatą. Krótko mówiąc, nie miałam czasu na wybryki.

Lecz w domu - o ile Mortimer Street można nazwać domem - zazdrośnie strzegłam swojej prywatności. Plotki puszczałam mimo uszu. Sąsiedzi patrzyli, jak wieczorami idę do pracy w zgrzebnym płaszczu zapiętym pod szyję, i byli przekonani, że uczę się pielęgniarstwa. Nie wyprowadzałam ich z błędu. Zyskałam reputację snobki, pewnie dlatego, że odmówiłam opieki nad dzieckiem sąsiadki, której prawie nie znałam. I tak po kilku niemrawych próbach sforsowania zasieków okoliczni mieszkańcy zostawili mnie w spokoju.

Wreszcie, ku memu niezadowoleniu, ktoś wprowadził się do sąsiedniego mieszkania. Napis na skrzynce na listy głosił, że to niejaki pan Juzo Tamaoki. Kolejny cudzoziemiec, oznajmili zgodnie mieszkańcy z ledwo skrywanym niezadowoleniem. Mnie było wszystko jedno. Miałam tylko nadzieję, że okaże się niekłopotliwym sąsiadem i nie zakłóci mojej prywatności.

Moje nadzieje się spełniły. Przez kilka pierwszych dni nie dawał znaku życia. Z mieszkania nie dochodziły żadne odgłosy. Nie było żadnych próśb o pożyczenie herbaty, hałaśliwego trzaskania drzwiami, odwiedzin przyjaciół. Sąsiad mógł być tym, kim ja: istotą bezosobową, pustką, a nawet duchem.

Pierwszy raz zobaczyłam go po tygodniu. Spotkaliśmy się na podeście; wymieniliśmy przelotne spojrzenia i ukłony. Ku własnemu zdziwieniu patrzyłam na niego z nieśmiałym zaciekawieniem. Drobnny, schludny, w nieokreślonym wieku: oto intruz, który dzielił moją milczącą przestrzeń.

Przypominał ptaka, którego widziałam kiedyś w ogrodzie zoologicznym. Mały i pospolity, wbił się w róg klatki i zastygł bez ruchu, jakby zawstydzony nadmiarem uwagi. W jego wiekowym spojrzeniu czaił się bezbrzeżny smutek. Na klatce widniał napis: URODZONY W NIEWOLI. Twarz pana Tamaokiego miała identyczny wyraz. Wyraz, który dobrze znałam, gdyż co rano widywałam go w lustrze. Nadal widuję, lecz już nie tak często.

Przybycie nowego lokatora jak zwykle wzbudziło przelotne zainteresowanie mieszkańców Mortimer Street. Od kogoś usłyszałam, że pan Tamaoki jest specjalistą od warzyw w restauracji w Stanbury, choć nikt nie mógł tego potwierdzić. Nigdy nie zamienił z nikim słowa. Kiedy mijaliśmy się na podeście, z uśmiechem stawał pod ścianą, żeby mnie przepuścić. Owe spotkania zdarzały się dość często - po upływie pierwszego tygodnia odkryłam, że prowadzi równie uregulowany tryb życia jak ja. Nocą, kiedy padałam na łóżko po powrocie z pracy, z sąsiedniego mieszkania dobiegały ciche odgłosy krzątania oraz potok japońskich słów. Przeważnie jednak panował spokój. Pan Tamaoki nie miewał gości. Nie słuchał głośno muzyki. Odnosiłam wrażenie, że godzinami siedzi w ciszy i bezruchu. I chociaż byłam świadoma jego obecności (mam bardzo wyczulony słuch), wbrew moim obawom pan Tamaoki okazał się mało kłopotliwym sąsiadem. Osoba o moim temperamencie powinna w sumie uznać go za ideał.

Jednakże pojawił się pewien problem. Każdego ranka o godzinie piątej trzydzięci przychodziła dostawa warzyw dla Juzo Tamaokiego. Czerwona ciężarówka z japońskimi napisami wjeżdżała na Mortimer Street i stawała pod naszym domem, po czym dwaj mężczyźni wyładowywali na chodnik przykryte bibułą skrzynie. Jeden z nich dzwonił do

drzwi, podczas gdy drugi nawoływał pod oknem. W chłodne dni nie gasili silnika; obłoki spalin dryfowały ku górze, zabarwione na pomarańczowo światłem pobliskiej latarni. Moje nieśmiałe protesty napotkały mur obojętności. Kiedy próbowałam się skarżyć, mężczyźni sprawiali wrażenie, jakby w ogóle nie docierał do nich sens moich słów. Stawiali skrzynie na progu i czekali, aż Juzo Tamaoki zejdzie na dół. Marchewki, papryki, rzodkiewki, selery, pietruszki oraz jaskrawożółte, purpurowe i czarne kabaczki lśniły egzotycznie spod szeleszczącej bibuły. Potem rozlegał się huk skrzyń obijanych o ściany; z korytarza dobiegała wrzawa podniesionych głosów i wykrzykiwanych instrukcji oraz tupot. Wreszcie skrzynie z hałasem lądowały na podłodze i dawał się słyszeć wyczekiwany turkot odjeżdżającej ciężarówki.

Nikt prócz mnie nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Od lat cierpię na bezsenność; najłżejszy hałas wyrывa mnie ze snu. A gdy już się obudzę, za nic nie mogę znowu zasnąć. Z uwagi na charakter mojej pracy kładę się nad ranem, co w najlepszym wypadku daje pięć godzin snu. Poranne dostawy do pana Tamaokiego ograniczały go do niespełna czterech.

Próbowałam przemówić sąsiadowi do rozsądku, on jednak uprzejmie mnie zbywał. Kartki przypinane do jego drzwi pozostawały bez odpowiedzi. Moja niechęć przybierała na sile. Podświadomie szukałam jej odpowiednika w łagodnym spojrzeniu pana Tamaokiego, lecz twarz mężczyzny nie wyrażała żadnych emocji. Jego uśmiech i moje skinienie głową stanowiły jedyną nić porozumienia.

Co wieczór o szóstej, kiedy wychodziłam do pracy, pan Tamaoki opuszczał mieszkanie z ciężkim bambusowym koszem w każdej dłoni. Nie miałam pojęcia, co w nich niesie. Może warzywa? Dlaczego jednak nie przywożono ich bezpośrednio do restauracji? Ciekawość niemal brała górę nad urazą. Mijając sąsiada na schodach, próbowałam nawiązać rozmowę, ośmielona jego brakiem reakcji. Pan Tamaoki uśmiechał się i grzecznie kiwał głową, niezrażony moją narastającą irytacją.

Gdy po kolejnych tygodniach nie zaszły żadne zmiany, doszłam do wniosku, że być może pan Tamaoki nie mówi po angielsku. I przechodząc obok sąsiada, lekkomyślnie mamrotałam pod jego adresem obraźliwe komentarze. Moje podejrzenia okazały się słuszne, kiedy usłyszałam, jak mozolnie ćwiczy przy magnetofonie angielskie słówka i wyrażenia, powtarzając je w nieskończoność do późnej nocy. Prosie... Psieprasiam... Dzieńkuje... To bardzo miłe. Kiedyś doszły mnie też zgrzyty starej płyty analogowej z utworem „Oh, for the Wings of a Dove”.

Tamtego lata panował upał nie do wytrzymania; grunt parzył stopy, powietrze falowało nad rozgrzanym chodnikiem. Godzinami leżałam bezsenne w dusznej kawalerce, w

straszliwym oczekiwaniu na poranną dostawę warzyw, co z biegiem czasu stało się prawdziwą udręką. Wzdrygałam się, słysząc najlżejszy szmer z mieszkania pana Tamaokiego, odgłos kroków pod drzwiami budził dreszcz. Jego obecność, nawet cicha, doprowadzała mnie do furii. Nocą obserwowałam jego okno, próbując zajrzeć za bambusową roletę. Kilkakrotnie stawałam pod drzwiami sąsiada z uniesioną ręką, gotowa zapukać. Stwierdziłam z goryczą, że byłoby dużo lepiej, gdyby prowadził hulaszczy tryb życia albo grał na jakimś głośnym instrumencie. Wszystko byłoby lepsze od tajemniczego życia tego człowieka z warzywami.

Pewnego dnia, kiedy wracałam z zakupów, pan Tamaoki czekał na mnie na podeście. Stał bez koszyków, a drzwi jego mieszkania były otwarte na oścież. Mimowolnie zerknęłam do środka i zobaczyłam surowo urządzone wnętrze, wypełnione blaskiem popołudniowego słońca.

Juzo Tamaoki skinął głową i przemówił, po raz pierwszy od początku naszej znajomości.

- Cha - powiedział.

Nie wiedziałam, o co mu chodzi.

Ponownie skinął głową.

- Prosie. Prosie. - Gestem zaprosił mnie do środka i szerzej otworzył drzwi. Oszołomiona postąpiłam za nim z wahaniem.

Pokój był prawie pusty. U sufitu wisiał czerwony lampion. Na przeciwległej ścianie umieszczono bambusowy kalendarz. W rogu leżał tradycyjny, cienki materac. Ciasną przestrzeń kuchni niemal doszczętnie wypełniała staroświecka, różowa lodówka. Obok niej zobaczyłam dużą, ciężką deskę do krojenia oraz kolekcję noży przeróżnej wielkości. Na środku pokoju stał niski stół z serwisem do herbaty. Zamiast krzeseł po obu stronach ułożono czerwone maty. Pan Tamaoki wskazał mi jedną z nich, po czym nalał herbatę z wprawą wskazującą na lata praktyki.

Nigdy nie piłam czegoś podobnego: napar miał zielonkawy kolor i ostry zapach. Pan Tamaoki ostrożnie nalał herbatę do małych czarek i zamieszał ją bambusową trzepaczką. Jej smak przypominał woń skoszonej trawy: był ciepły, odrobinę cierpki. Od czasu do czasu pan Tamaoki z uśmiechem kiwał do mnie głową. Siedzieliśmy w milczeniu; jego angielszczyzna nie pozwalała chyba na swobodną wymianę zdań. Między nami wirowały drobiny kurzu. Po raz pierwszy w życiu poczułam się nieskrępowana obecnością drugiej osoby i jej milczeniem.

Wreszcie pan Tamaoki wstał. Z uśmiechem zaprowadził mnie do kuchni, a następnie otworzył lodówkę i wskazał jej zawartość. Zajrzałam do środka.

Półki były pełne ptaków. Pomarańczowych, żółtych, zielonych, szkarłatnych. Istna ptaszarnia wypełniona mnogością kształtów - niektóre z ogonami jak wachlarze, inne smukłe i opływowe, z nastroszonym grzebieniem, długim dziobem i paciorkami oczu spoczywały w tropikalnej obfitości kwiatów oraz liści, wszystkie ciche i osobliwie nieruchome.

Gdy spjrzałam uważniej, zrozumiałam, że mam przed sobą warzywa dostarczane co rano o godzinie piątej trzydzieści, zaklęte w owe misterne i niepowtarzalne kształty. Tutaj rzodkiewka puszyła bajkowe pióra, kabaczek stał się łabędziem, marchew zaś zyskała pierzasty ogon rajskiego ptaka. Ich oczy wykonano z główek od szpilek, pióra wycięto scyzorykiem. Widziałam miękką fakturę grzbietu, zgrabny łuk karku, skrzydło; na wpół otwarty dziób obnażał skrawek języka. Lodówka skrywała ponad setkę warzywnego ptactwa, które z gracją obsiadło półki, czekając, aż twórca umieści je w koszykach i zanieśie do restauracji, gdzie ozdobią talerz z jaśminowym ryżem bądź krewetki w imbirze, a ktoś zachwyci się w przelocie lub, co bardziej prawdopodobne, w ogóle nie zaprzętnie sobie nimi uwagi...

Oto cały sekret pana Tamaokiego. Siedlisko magicznych ptaków. Zapewne dotrzymywały towarzystwa urodzonemu w niewoli. Patrzyłam na nie jak urzeczona. Czarodziejskie ptaki, doskonale nieruchome, zaklęte w milczenie, ale krzyczące kolorami.

- Są piękne - powiedziałam.

- To bardzo miłe - odparł pan Tamaoki z błyskiem w oczach.

Wkrótce potem wyjechał bez pożegnania. Któregoś dnia uświadomiłam sobie po prostu, że wóz dostawczy nie przyjechał; obudziłam się o siódmej czterdzieści, mrużąc oczy w świetle sączącym się przez żaluzje. Potem zauważyłam, że nazwisko na domofonie zniknęło.

Jego nieobecność dziwnie mi doskwierała. I choć ciężarówka przestała mnie budzić, nadal cierpiałam na bezsenność. Odczuwałam ciągły niepokój. Zrozumiałam, że brakuje mi odgłosu kroków pana Tamaokiego na schodach, koszyków z warzywami, szelestów dochodzących z sąsiedniego mieszkania. Przestałam rozkoszować się ciszą, a chłodna atmosfera Mortimer Street straciła wiele ze swej atrakcyjności. Spjrzałam na sąsiadów łaskawszym okiem - na państwa Hadleigh z nieśmiałym synem, pannę Hedges ze sklepu ze starociami, państwa McGuire z gromadką wesołych dzieci. Może mieli rację, uznałam; może powinnam była dać im szansę.

Mieszkanie pana Tamaokiego przez kilka tygodni stało puste. Dyskutowano o przyjeździe nowej lokatorki, lecz mało kto coś o niej wiedział. Panna Hedges widziała ją tylko raz.

- Dziwna kobieta - powiedziała mi któregoś razu, krzywiąc się z dezaprobatą. - Nie odezwała się ani słowem. Jakaś gburowata.

Jej słowa nie wzbudziły we mnie spodziewanej ulgi.

Dzień przed przyjazdem nowej lokatorki zastałam drzwi mieszkania pana Tamaokiego otwarte na oścież. Pokój pachniał proszkiem do czyszczenia. Stół, lampion i materac zniknęły. Kuchnia świeciła pustką. Wnętrze zostało idealnie wysprzątane, zlew wytarty do sucha, ścierka rozłożona na kranie do wyschnięcia. Obok zlewu leżała mała paczuszka, owinięta papierem ryżowym. Widniało na niej moje nazwisko, skreślone chwiejnym charakterem pisma.

Papier szeleścił w dotyku. Kiedy otworzyłam paczkę, uderzył mnie nieoczekiwanie silny zapach, woń drewna i spalenizny, niczym w święto upamiętniające spisek prochowy [Święto, obchodzone 5 listopada, dla upamiętnienia nieudanego spisku mającego na celu wysadzenie angielskiego Parlamentu w roku 1605. (Przyp. tłum.)]

. Niepewnie dotknęłam zawartości i okazało się, że to herbata.

Zaparzyłam ją tamtego wieczora, usiłując odtworzyć rytualne czynności Juzo. Rozwiałam dłonią parę, aby uwolnić aromat. Napój okazał się pyszny, nieco odurzający. Czułam, że zasnę po nim bez trudu. Rankiem zaproszę nową sąsiadkę, nieprzyjazną, milczącą kobietę, i uraczę ją resztką herbaty. Może się ucieszy, że ktoś pierwszy wyciąga do niej rękę. Dopijając napar, zobaczyłam w półmroku, że para zastygła na kształt rozpostartych skrzydeł ptaka gotowego do lotu.

Śniadanie w Tesco

Wszyscy czasem dostajemy trzęsionki. Jednak dla niektórych z nas Tiffany zawsze pozostanie niedostępny.

- Dzień dobry, panno Golightly. To co zwykle?

Uwielbiam ową życzliwość oraz sposób, w jaki Cheryl zwraca się do mnie i przynosi to co zwykle. Ja oczywiście nazywam ją Cheryl, jest taka młoda. Może któregoś dnia poproszę, żeby mówiła do mnie Molly.

Dwie porcje grzanek, dżem truskawkowy, drożdżówka porzeczkowa oraz imbryk herbaty Earl Gray. To co zwykle. Cheryl zawsze pamięta, żeby postawić tacę na moim stoliku przy oknie i podać mleko jak należy, w dzbanuszkach - nie cierpię plastikowych pojemników - z dwiema kostkami cukru na talerzyku. Przychodzę tu w każdy sobotni rano, zamawiam ten sam zestaw, po czym siadam na moim ulubionym miejscu i obserwuję przechodniów. Powtarzalność rytuału daje swoiste poczucie bezpieczeństwa. Mała nagroda za tygodniowy trud i zmartwienia.

Cheryl ma dwadzieścia dziewięć lat, tlenione włosy i przekłuty nos. Nosi adidasy na grubej podeszwie, podobne do ortopedycznego obuwia Doris Craft z domu opieki Meadowbank. Chyba można zaryzykować stwierdzenie, że wygląda tandetnie. Specjalnie dla mnie przyniosła jednak własny dzbanuszek do mleka (w Tesco nie dają), malutki i ceramiczny; później wyznała, że pochodzi z serwisu dla lalek. No i zawsze nazywa mnie panną Golightly.

Nie wszyscy są równie mili. W zakładzie Meadowbank, dokąd chodzę dwa razy w tygodniu w odwiedziny do siostry, pielęgniarki zwracają się do mnie per skarbie. Wypowiadają to z ohydą, lisią przebiegłością, jakby wiedziały, że prędzej czy później dołączę do grona ich podopiecznych, tak jak biedna Polly, która od dawna nie zwraca sobie głowy imionami i często nie pamięta nawet mojego.

Być może to właśnie z tego powodu przykładam tak wielką wagę do swego wyglądu. Pewnie w Meadowbank uważają, że wyglądam śmiesznie w czarnej sukni - nieco znoszonej, ale wciąż w dobrym stanie - rękawiczkach i czerwonym płaszczu. Dla kogo ona tak się stroi, zachodzą w głowę. Przecież jestem za stara na próżność. Idąc tam w odwiedziny, nie zakładam jednak pereł; pewnego razu Polly zapomniała, że podarowała mi je przed laty, i urządziła scenę. Wiem, że nie powinnam mieć wyrzutów sumienia - dając mi je, była jeszcze przy zdrowych zmysłach; poza tym to tylko perełki hodowlane - a jednak nic na to nie poradzę.

Na stoliku, w smukłym szklanym wazonie stoi goździk. To też Cheryl. Nikt inny nie przyniósłby mi kwiatów. Oczywiście zaprzecza, utrzymując ze śmiechem, że to pewnie dar od cichego wielbiciela. Fascynuję ją; stanowię fragment innego świata, jak odłamek księżycowej skały. Podchodzi i pod byle pretekstem zamienia ze mną parę słów, zadaje pytania.

Początkowo nie miała o niczym zielonego pojęcia. Przed dwoma laty nie widziała nigdy czarno-białego filmu. Myślała, że Hepburn to nazwa formacji muzycznej. W życiu nie słyszała o Luisie Bunuelu, Jeanie Cocteau ani nawet o Blake'u Edwardsie. Jej ulubionym filmem był „Pretty Woman”.

Po dwóch latach wciąż jest przy mnie trochę onieśmielona. Objawia się to nadmierną hałaśliwością, którą uważa za W TAŃCU przejaw doskonałego humoru, choć dla mnie jest wyrazem samoobrony i swoistej bezradności. Ależ ona potrafi głośno się śmiać. Bardzo zyskuje wtedy na urodzie. W jej życiu jest mężczyzna, lecz w obfitości tanich błyskotek nie widać obrączki. Rzadko o nim mówi. Nieszczególnie mu się wiedzie, wyjaśnia niechętnie. Domyślałam się, że jest bez pracy. Widziałam go raz czy dwa na mieście, zazwyczaj przed pubem lub biurem bukmachera. Rosły mężczyzna ze śladami dawnej atrakcyjności, w typie podstarzałego Marlona Brando. Czasem przychodzi do kawiarni. Cheryl zachowuje się wtedy w szczególny sposób. Pod jego spojrzeniem ruchy dziewczyny nabierają sztuczności; energicznie wystukuje należność, jak kura dziobiąca ziarno. W te dni nie podchodzi do mojego stolika, z daleka posyłając przepraszający uśmiech.

Wie, kiedy może się mnie spodziewać - punktualnie o wpół do dwunastej - i wtedy robi przerwę. Rozmawiamy o filmach. Od naszego pierwszego spotkania znacznie podciągnęła się w temacie; w zeszłym miesiącu obejrzała „Spotkanie” i „Casablance”. Zna już większość moich ulubionych tytułów: „Zabawną buzię”, „W upalną noc”, „Rzymskie wakacje”, „Wichrowe wzgórza” (wersję z 1939 roku, z Olivierem), „Rebekę”, „Orfeusza” no i oczywiście „Śniadanie”. Zna różnicę między „Bez przebaczenia” Johna Hustona i Clinta Eastwooda. Ogląda je rano, zanim Jimmy wstanie z łóżka - on gustuje w filmach sensacyjnych i wojennych, dlatego Cheryl woli, gdy chłopak jej nie przeszkadza - i później je omawiamy. Jest ostrożna w wyrażaniu opinii, lecz jej komentarze są mądre i ciekawe, choć przejawia niezrozumiałe upodobanie do szczęśliwych zakończeń. Zastanawiam się czasem, co taka dziewczyna robi w Tesco.

Rzadko opowiada o sobie. Rodzice nie żyją, wychowali ją dziadkowie, ale chyba nie widziała ich od wielu lat. Jest starsza od pozostałych kelnerek - pewnie stąd ten dziwny ubiór.

Kiedy z nimi rozmawia, jej akcent się zmienia, a głos 10, w tańcu nabiera chropowatych tonów. Czuję, że w moim towarzystwie bardziej się stara.

- Pani nawet mówi zupełnie jak ona - powtarza. - Zupełnie jakbym słyszała aktorów ze starych filmów. Dziś już nikt nie mówi takim głosem. - Po czym kolejny raz męczy mnie, żebym wypowiedziała „kwestię” tym tonem, a następnie zachwycona wybucha śmiechem. - W życiu mi się to nie uda - kwituje. - Marna ze mnie aktorka. -1 rzucając okiem na zegar wyznaczający nieubłagane koniec prze rwy, dodaje głosem Bette Davis z „Wszystko o Ewie”: - Za pnięcie pasy, szykuje się wyboista noc. - Mówi to bezbłędnie; nawet przypomina nieco Davis, ze zmrużonymi oczami, wysuniętym podbródkiem i piórem elegancko uchwyconym między dwoma palcami (w Tesco nie wolno palić).

Przychodzi mi do głowy, że właściwie mogłaby być aktorką, a jej hałaśliwość, kuse spódnice i tania biżuteria to po prostu element przebrania. Oczywiście uwielbia Bette i Audrey, chociaż po cichu woli chłodne blondynki: Grace Kelly i Catherine Deneuve. Podobnie jak ja nie przepada za Marilyn Monroe.

- Kiedyś myślałam, że ma klasę - przyznała któregoś dnia. - Teraz uważam ją za kolejną ofiarę.

Dzisiaj Cheryl jest małomówna. Ubrała się też jakoś inaczej: pod kawiarnianym fartuchem ma proste czarne spodnie i golf. Kolczyk w nosie zniknął. Włosy upięła z tyłu, podkreślając kości policzkowe. Powstrzymuję się od komentarza w myśl obowiązujących między nami zasad. Obie nie znosimy wścibstwa.

- Zaraz przyniosę grzankę, panno Golightly.

- Dziękuję, Cheryl.

Herbata jest dokładnie taka, jak lubię. Kryje w sobie coś bezpiecznego, cywilizowanego. Kiedy Polly ma złe dni, kiedy krzyczy, przeklina i płacze, żeby ją wypuścić, przynoszę jej herbatę na tacy w kwiaty, którą pamięta z domu, i to niezawodnie ją uspokaja. Niekiedy tuli się do mnie i nazywa mamą. Karmię ją ciastkami moczonymi w herbacie. Wygląda wtedy zupełnie jak pisklę.

Czasami przyglądam się pozostałym bywalcom kawiarni. Jest ich kilkanaścioro, lecz zamieniłam słowo tylko z jednym z nich. Ponieważ nie znam jego nazwiska, nazywam go w myślach „Jedenasta Czterdzieści”, gdyż o tej porze się zjawia. Podobnie jak ja ma swój ulubiony stół, w pobliżu placu zabaw. Często obserwuje dzieci podczas posiłku. Jajecznica, cztery plastry chrupiącego bekonu, dwie porcje grzanek, marmolada, herbata English Breakfast z mlekiem, bez cukru. Nie wiem, czy przychodzi w inne dni, ale raczej nie. Zawsze

nosi kapelusz - homburg w zimie, panamę w lecie - przykryte nim włosy są siwe, ale wciąż gęste. Zawsze pozdrawiamy się uprzejmie.

Tost jest idealny, wypieczony w sam raz. Cheryl wie, że wolę sama smarować go masłem. Drożdżówka jest świeża, jeszcze ciepła. Opuściwszy wzrok, stwierdzam, że Cheryl ma na nogach nowe buty, płaskie baleriny, dlatego jej stopy wydają się mniejsze i bardziej eleganckie. Na palcach nie ma pierścionków, co, o dziwo, ją odmładza.

- Za dziesięć minut mam przerwę - informuje. - Będzie my mogły porozmawiać.

- Z przyjemnością, Cheryl.

Mam nadzieję, że między nami nic się nie zmieniło. Staram się nikogo nie osądzać; Cheryl bynajmniej nie straciła w moich oczach. Liczę, że o tym wie.

W płaskich butach stawia trochę niezgrabnie nogi. Jest wyprostowana jak struna. Wyczuwam w niej może nie gniew, ale pewną zawziętość. Chyba nie pomyślała, że wtykam nos w nie swoje sprawy. Uświadamiam sobie, że kogoś mi przypomina, choć nie jestem pewna kogo.

Jedenasta Czterdzieści. Mogłabym według niego regulować zegarek. Staje w kolejce za parą innych bywalców (młode małżeństwo z dzieckiem) i zamawia to co zwykle. Z butonierki wystaje czerwony goździk; zastanawiam się, czy to jakaś specjalna okazja. Może rocznica albo urodziny. Idzie do swojego stolika, który, niestety, jest zajęty; mężczyzna o zaczerwienionej twarzy pałaszuje kielbaski, grzankę oraz smażone jajka i czyta „Mirror”. Jedenasta Czterdzieści rozgląda się, obok mnie jest wolne miejsce. Innym razem zaprosiłabym go do stolika. Kawiarnia jest prawie pełna. Jednak myślę o Cheryl. Odwracając rozplómiętą twarz, słyszę, jak podchodzi do pani siedzącej niedaleko mnie i pyta, czy może usiąść naprzeciw niej. Kobieta mamrocze coś z pełnymi ustami.

Nie wiem, co się dzisiaj ze mną dzieje. Może to rezultat wczorajszego wieczora bądź wynikłych zeń niespodzianek. Czuję się szara i bez wyrazu, całkiem jak niebo. Coś uległo zmianie. Pobyt w kawiarni zazwyczaj poprawia mi samopoczucie; lubię obserwować ludzi, słuchać ich rozmów, wdychać zapach bekonu, świeżej kawy oraz pieczywa. To miejsce ma w sobie tyle życia. Jutro wybieram się z wizytą do Polly; śniadanie w zakładzie Meadowbank pachnie skwaśniałym mlekiem i stęchłymi płatkami, jak niemowlę stare, schorowane niemowlę, uczepione żylastą ręką rękawa mojego czerwonego płaszcza i pozbawione nadziei na przyszłość.

Zeszłej nocy nie mogłam spać. W moim wieku to nic dziwnego; w podobnych wypadkach często wstaję i zaparzam herbatę, czytam albo idę na spacer. To zwykle nie

pomaga, ale za to nie mam poczucia zmarnowanego czasu, tak jakbym, nie ponosząc kosztów, zyskała owych kilka godzin.

Polly często przysypia. Może równoważy to mój brak snu. Podejrzewam jednak, że dostaje coś na uspokojenie. Przynoszę jej koronkowe koszule nocne i pikowane podomki, lecz w Meadowbank wszystko ginie, gdyż nikt nie pamięta, co do niego należy. Jedna z kobiet zawsze nosi na sobie trzy warstwy wierzchniej odzieży, żeby zabezpieczyć się przed kradzieżą.

Za każdym razem próbuję odszukać ubrania Polly. Wchodzę do każdego pokoju i zaglądam pod łóżka. Pani McAllister jest najgorsza, chowa rzeczy albo wkłada je na siebie, co bardzo utrudnia ich odzyskanie. Nie chcę, żeby Polly upodobniła się do pozostałych. Kiedy przychodzę, każę jej wstać i się ubrać. Przynoszę czystą odzież, porządne buty, pończochy i kostiumy. Potem zanoszę je do pralni chemicznej i przyszywam na podszewce tasiemkę z nazwiskiem.

Pewnie rozmyślałam o Polly. Tak czy inaczej, obudziłam się o drugiej nad ranem i nie mogłam zasnąć. Nie miałam ochoty na film ani książkę, na herbatę było za wcześnie, wobec tego wstałam, ubrałam się i wyszłam. O tej porze zwykle panuje spokój; puby są pozamykane, ulice chłodne i wyludnione. Mieszkam zaledwie milę od Tesco, czasami lubię tam pójść, popatrzeć na oświetlony parking i krzątających się ludzi. Kawiarnię, oczywiście, zamykają na noc. Ale reszta sklepu jest czynna całą dobę. Nie wiedzieć czemu, budzi to moje zadowolenie; lubię wiedzieć, że niektórzy jeszcze pracują, uzupełniają towar na półkach, robią inwentaryzację wypiekają pieczywo na rano. Nie widzą mnie, ale ja ich widzę: szefów działów, ekspedientki, kasjerów, magazynierów i sprzątaczy. Po hali przemykają pojedynczy klienci: mężczyzna kupuje mleko i papier toaletowy, dziewczyna niesie mrożone pizze i pudełko lodów, starszy pan wybiera chleb oraz karmę dla psa. Zastanawiam się, dlaczego przyszli tak późno; może też nie mogą spać. Może pracują na drugą zmianę albo lubią wyglądać przez wielkie, żółte okna i wyobrażać sobie, że ktoś stoi na zewnątrz.

Nocą nigdy nie odwiedzam Tesco; boję się, że czar pryśnie. Mimo to lubię sobie popatrzeć. Czasem myślę, co by się stało, gdybym spotkała kogoś znajomego - na przykład pana Jedenasta Czterdzieści - kto przychodzi tu w tym samym celu. O drugiej nad ranem wszystko jest możliwe.

Ostatnia noc była mokra i zimna. Włożyłam czerwony płaszcz, kapelusz i rękawiczki. Jestem dobrym piechurem - dużo spaceruję - poza tym nocą odległość rządzi się chyba innymi prawami, gdyż nie minęło dużo czasu, a już dotarłam na parking. Wielki, czerwony szyld Tesco jaśniał nad nim niczym wschodzące słońce. Ulicą z rzadka jeździły samochody;

w blasku reflektorów mokry asfalt wyglądał jak wysadzany diamentami. Naprzeciw mnie dwoje młodych ludzi przechodziło na pasach: rosły mężczyzna w dżinsach i skórzanej kurtce oraz dziewczyna w kusej spódnicy, cienkiej bluzce i adidasach na grubej podeszwie. Chyba się kłócili. Stałam w cieniu; gdy weszli w obszar rześnisteo światła, zobaczyłam jej twarz pokrytą grubą warstwą makijażu, negatyw znajomych rysów pod strzechą rozświetlonych włosów. Cheryl.

Nie zwrócili na mnie uwagi. Mówili pośpiesznie, podniesione głosy odbijały się głucho o asfalt, tłumiąc słowa. Jim - my chwycił Cheryl za ramię; wyszarpnęła je i usłyszałam, jak mówi: „Nie, tym razem nie, daj spokój”. Odgłos nadjeżdżającego samochodu zagłuszył resztę. Samochód zwolnił. Cheryl spojrzała na Jimmy’ego i potrząsnęła głową. W świetle latarni zobaczyłam jego żółtą, wykrzywioną twarz; gwałtownie wyrzucał z siebie słowa. Cheryl znów potrząsnęła głową, wskazując na drogę. Jimmy uderzył ją w twarz, raz, ale bardzo mocno. Głośny policzek dotarł do mnie z sekundowym opóźnieniem - plask - niczym szyderczy aplauz. Ujrzałam twarz kierowcy, który podjechał do krawężnika. Cheryl podniosła rękę do twarzy. Samochód przystanął.

Chyba nie powinnam była się wtrącać. Jak wspomniałam, nie znoszę wścibstwa. Ale to była jej twarz: młoda, znajoma twarz, widoczna jak na dłoni. Przypomniałam sobie, jak naśladuje Bette Davis z piórem zamiast papierosa, jak wybucha rubasznym śmiechem. I mimo natłoku klientów najbardziej ceni sobie moje towarzystwo, zachowuje się kulturalnie i zawsze nazywa mnie panną Golightly.

- Cheryl, nie! - Bezwiednie ruszyłam do przodu. Odwróciła się w moją stronę: zobaczyłam usta ułożone w kształt litery O, wytrzeszczone oczy. Jimmy też się obejrzał. Korzystając z jego nieuwagi, Cheryl wyszarpnęła rękę i wskoczyła do samochodu. Koła zapisały na mokrym asfalcie. W oknie mignęła jej twarz, dłoń przyciśnięta do szyby. Odjechali. Zostałam sama z Jimmym.

Chwilowa panika ustąpiła miejsca gwałtownej złości. Jimmy wybałuszył na mnie oczy. Był wściekły i oszołomiony; stał z głową pochyloną do przodu jak szarżujące zwierzę. Chciałam rzucić mu jakąś ciętą uwagę, ale nic nie przychodziło mi na myśl. Tak jakby słowa stały się tępe i bezużyteczne. Nagle poczułam, że łyzy wzbierają mi pod powiekami.

Obserwowaliśmy się przez chwilę. Naraz parsknął śmiechem.

- Co ty tu robisz?

Mówił bełkotliwym głosem; widziałam, że jest pijany. Z bliska wyglądał mniej strasznie, jak wyrośnięty, zmęczony życiem chłopak. Jego przekrwione oczy wyrażały niepewność. Pomyślałam o samochodzie, który zwolnił i podjechał do krawężnika. I o biednej

Cheryl, która lubiła „Pretty Woman”, zanim odkryła „Piękność dnia”, i nadal wierzyła w szczęśliwe zakończenia. No i je ma, stwierdziłam gorzko. Szczęśliwe zakończenie i księcia na dokładkę.

Książę zmierzył mnie błędnym wzrokiem.

- Jak to cię nazywają, skarbie?

„Skarbie” przebrało miarę. Pogarda dla tego człowieka nagle rozjaśniła mi w głowie, uświadomiła, kim naprawdę jestem. Udawana, różana jutrzienka szyldu Tesco stała się największym, najjaśniejszym kinem świata. Popatrzyłam Jimmy’emu prosto w oczy, zachodząc w głowę, jakim cudem Cheryl - albo ktokolwiek inny - mogła się go bać.

- Nazywają mnie panną Golightly [Nawiązanie do Holly Golightly, bohaterki opowiadania i filmu „Śniadanie u Tiffany’ego”. (Przyp. tłum.)] - odparłam.

- Dzień dobry, panno Golightly.

Jestem zaskoczona. Pan Jedenasta Czterdzieści zjadł śniadanie i siada naprzeciw mnie, stawiając przed sobą filiżankę herbaty. Po raz pierwszy zwrócił się do mnie, używając tego przezwiska*. Muszę mieć zdziwioną minę, gdyż uśmiecha się przepraszająco.

- Mam nadzieję, że pani nie przeszkadzam?

- Mnie? - Mój głos brzmi chropowato, dziwnie. - Ja... - Spoglądam na Cheryl, która wyciera stół. Nie zwraca na nas uwagi; stoi bokiem, ze spuszczonej oczami. Oczywiście nie wie, że we wczorajszym kierowcy rozpoznałam pa na Jedenasta Czterdzieści; nie ma pojęcia, czego zdążyłam się domyślić.

Jedenasta Czterdzieści nie traci rezonu. W nocy chyba mnie nie widział, bo zachowuje się równie naturalnie i uprzejmie jak zawsze. Czasem tylko machinalnie skubie palcami czerwony goździk, co może świadczyć o podenerwowaniu.

Smaruję drożdżówkę masłem. Nie wiem, co powiedzieć. Jego hipokryzja budzi mój niesmak.

- Czekam na przyjaciółkę - dodaję, trochę zbyt późno.

- Ja też - odpowiada Jedenasta Czterdzieści.

Ma niebieskie oczy, intensywne na tle siwych włosów, oraz kanciaste, kształtne dłonie. Na lewej ręce połyskuje obrączka. Cheryl hałasuje tacą z sosami. Zastanawiam się, kiedy ostatnio jadłam śniadanie w męskim towarzystwie.

W zakładzie Meadowbank przebywa zaledwie sześciu mężczyzn. Większość z nich to spokojni ludzie, choć pan Bannerman bywa natrętny. Pielęgniarki trzymają go w ryzach, a jego sprośne uwagi puszczają mimo uszu. Mimo to jestem zadowolona, że mieszka daleko od

pokoju Polly, która czasem nazywa go Louisem. Próbuję tłumaczyć, że Louis umarł wiele lat temu, ale ona potrząsa głową i nie wierzy. Może to i dobrze.

Wiem, że wyrzuty sumienia są bezcelowe. To wszystko wydarzyło się tak dawno temu, w czasach naszej młodości.

W chwili śmierci Louis liczył sobie zaledwie trzydzieści sześć lat, był jeszcze młodzieńcem. Teraz nie mam nawet pewności, czy darzyłam go sympatią. Mam w każdym razie nadzieję, że tak właśnie było, że nie powodowała mną zwykła zazdrość o starszą siostrę. Zginął tamtego lata, w idiotycznym wypadku podczas akrobacji spadochronowych opodal Aix-les-Bains. To był zwykły wypadek; niejeden młody mężczyzna grozi samobójstwem, kiedy dziewczyna przestaje się z nim spotykać, ale cokolwiek gadali ludzie, nie łączyło nas nic poważnego. Lecz od tamtego dnia Polly zmieniła się nie do poznania.

Gdy jest w dobrym nastroju, lubi o nim opowiadać, wymyśla historie o ich wspólnym życiu. O tym, jak się pobrali, spłodzili dzieci i razem zestarzelili. Przekonuje pielęgniarki, że sukienka, którą ostatnio kupiłam jej pod choinkę, to prezent rocznicowy od męża.

- Louis nigdy nie zapomina o naszych rocznicach - oświadcza, naśladując dawną, energiczną Polly. - I gdyby nie pilny wyjazd za granicę, na pewno byłby tu dzisiaj z nami.

Grzanka zupełnie wystygła i przyłgnęła do talerza. Dolewam do filiżanki gorącej wody i dopełniam mlekiem z dzbanuszka. Próbuję nie patrzeć na pana Jedenasta Czterdzieści, udaję, że go nie ma.

Ale on wyciąga portfel i wyjmuję z niego małą czarno - - białą fotografię. Przysuwa ją w moim kierunku.

Na zdjęciu Cheryl wygląda na jakieś czternaście lat; chuda, nadąsana dziewczynka o długich brązowych włosach. Kobieta obok niej jest stara i tęga; nie ma w niej nic szczególnego. Mężczyzna uśmiecha się do obiektywu, to pan Jedenasta Czterdzieści. Na zdjęciu wreszcie dostrzegam podobieństwo.

- Pan jest dziadkiem Cheryl? - Głos lekko mnie zawodzi; ściągam na siebie uwagę pary z sąsiedniego stolika.

Kiwa głową.

- Uciekła z domu, kiedy miała osiemnaście lat. Latami próbowałam ją odszukać. Przychodzę tu w każdą sobotę, żeby na nią popatrzeć. W nadziei, że coś się zmieni.

A więc dlatego przychodzi, myślę. W odświętnym ubraniu, z kwiatem w butonierce jak zalotnik.

- Oboje naopowiadaliśmy dużo głupstw. Rzeczy, których potem żalowaliśmy. I których nie dało się naprawić.

- Wszystko da się naprawić - mówię, po czym na wspo mnienie Louisa zaczynam wątpić we własne słowa.

- Mam nadzieję. - Dopija herbatę. W tle słyhać uproszczoną wersję utworu Henry'ego Manciniego. - Odkąd pa nią poznała, panno Goligthly, ogromnie się zmieniła. Moim zdaniem bardzo jej pani pomogła. Zdobyła jej zaufanie, czego ja nie umiałem dokonać.

- My tylko rozmawiamy o filmach.

- Opowiadała mi wczoraj w nocy. - Jego zatroskana twarz to mapa zmarszczek. - Zmarnowaliśmy tyle czasu. Tyle czasu. - Wzdycha. - Ona nadal z nim jest. Z tym chłopakiem, dla którego nas zostawiła. Z Jimmym.

Kryję zdziwienie. Wierność to ostatnia rzecz, o jaką podejrzewałabym chłopaka Cheryl.

- Wielokrotnie ze sobą zrywali - wyjaśnia pan Jedenasta Czterdzieści. - Tak mi mówiła. Ale ciągle do siebie wracają.

Tym razem chyba przemówiłem jej do rozsądku. Wczoraj...

Nocą, kiedy nie może zasnąć, często jeździ bez celu samochodem. Mam niedorzeczną ochotę wyznać, że właściwie robię to samo.

Cheryl obserwuje nas zza kontuaru. Zdjęła kawiarniany fartuch. Podnoszę rękę w nadziei, że podejdzie. Lecz kiedy wydaje się o krok od podjęcia decyzji, nieoczekiwanie przystaje, a jej wzrok wędruje w odległy kąt sali. Na jej twarzy malują się czułość i smutek. Odwracam głowę, śledząc jej spojrzenie.

Jimmy. Wygląda lepiej niż w nocy, ma na sobie czyste dzinsy i białą koszulkę. Stoi z opuszczoną głową. Towarzyszy mu mały chłopiec, siedmio-, najwyżej ośmioletni, w szortach i swetrze z nadrukiem Pokemona. Trzyma mężczyznę za rękę jak treser prowadzący niedźwiedzia. Spodziewam się, że Jimmy coś zrobi, ale on nie rusza się z miejsca.

Widzę, że Cheryl się waha. Patrzy na Jimmy'ego i chłopca. Przenosi wzrok na mnie. Postępuje krok do przodu. Pan Jedenasta Czterdzieści, który również śledzi sytuację, robi ruch, jakby zamierzał wstać. Na jego twarzy widać napięcie.

- Cheryl! - Głos Jimmy'ego przebija się przez kawiarniany zgiełk niczym pisk ostrzonej brzytwy. Jestem przekonana, że podejdzie, ale on stoi niewzruszony i patrzy na Cheryl, która nie oglądając się za siebie, podchodzi do naszego stolika.

Ma wilgotne oczy. Całuje pana Jedenasta Czterdzieści w policzek. Ubrana na czarno, bez makijażu i z upiętymi włosami wydaje się odmieniona, prawie obca.

- Pomyślałam, że zacznę wszystko od nowa - mówi do mnie. - W Londynie mam przyjaciółkę, która załatwi mi w Palladium pracę sprzątaczką, żebyśmy mogła jakoś przetrwać.

Może nawet pójdę na wieczorowy kurs aktorski. Zdobędę zawód. Osiągnę coś w życiu. - W jej uśmiechu widzę cień dawnej, hałaśliwej Cheryl. - Ciągnie mnie do kina, nawet jeśli miałabym tam tylko sprzątać albo sprzedawać popcorn.

Jimmy nadal stoi jak wryty. Wyczuwam jego obecność; wielki, zgarbiony mężczyzna z porażką wypisaną na twarzy. Chłopiec piskliwym głosem dopomina się o colę.

- Powiedziałabym ci, dziadku - mówi do pana Jedenasta Czterdzieści. - Naprawdę. Ale minęło tyle czasu, odkąd... Nie wiedziałam, jak zacząć.

- Jak ma na imię chłopiec? - pyta pan Jedenasta Czterdzieści.

- Paul.

Kiwa głową.

-Dobre imię.

Cheryl uśmiecha się nieznacznie.

- Po tobie.

A więc ma na imię Paul, myślę. Ciekawe, jakie nosi nazwisko. Nawet nie spytałam o to Cheryl. Mam nadzieję, że jeszcze nie jest za późno.

- To dobre dziecko - ciągnie z determinacją Cheryl. - Inne niż jego pogięci rodzice. Spodoba mu się w Londynie. Będzie tam miał mnóstwo rzeczy do oglądania. Wszystko się ułoży. Na pewno.

Pan Jedenasta Czterdzieści - Paul - patrzy na nią uważnie. Następnie mocno ściska jej rękę.

- Nie wracasz ze mną?

- Dziadku. - Znowu ma wilgotne oczy. - Wiesz, że nie mogę.

- Dlaczego? Pomogę ci wychować chłopca. Nie potrzebujesz... - Nie jest w stanie wypowiedzieć na głos imienia Jimmy'ego. - Nie potrzebujesz już tego mężczyzny. Jest nieodpowiedzialny. I nieobliczalny.

- Wiem - mówi z uśmiechem Cheryl. - Wiem o tym od dawna.

- No to dlaczego chcesz z nim zostać? Po co zawracać sobie nim głowę? - Patrzy na nią płomiennym wzrokiem. Czuję, że powinnam go jakoś pocieszyć, ale Cheryl powstrzymuje mnie spojrzeniem.

- Potrzebuje mnie - mówi łagodnie. - Obaj mnie potrzebują. Zeszłej nocy przemyślałam wiele spraw. Byłam gotowa odejść, uciec i rozpocząć nowe życie. Ale potem uświadomiłam sobie coś, o czym wcześniej nie pomyślałam. - Ujmuję nasze dłonie, Paula i moją. - Zrozumiałam, że życie to nie film. Mogłabym zmarnować życie, czekając na księcia, który nigdy się nie zjawi. Albo też wykorzystać to, co mam, żeby poprawić swój los. - W jej

cichym głose pobrzmiwa stanowczość. - Czy nie po to kazała mi pani oglądać te wszystkie filmy, panno Golightly? Żeby mnie ostrzec? I nauczyć, że jeśli marzę o szczęśliwym zakończeniu, muszę stworzyć je sama?

Poniewczasie chcę ją prosić, żeby nazywała mnie Molly. I dodać, że nie całkiem o to mi chodziło. Lecz w przeciwieństwie do mnie Cheryl emanuje niezmaconą pewnością siebie. Naraz spoglądam na siebie jej oczami i widzę smutną, samotną staruszkę, która szuka schronienia w filmowej rzeczywistości i kurczowo trzyma się swoich drobnych przyzwyczajzeń. Wszystko musi być lepsze niż to, nawet Jimmy i jego humory. Przynajmniej Jimmy istnieje naprawdę. I należy do niej.

- Wierzę, że tym razem rzeczywiście chce się zmienić. Naprawdę się stara. Dla dobra Paula. - Uśmiecha się trochę zbyt szeroko. - Kiedy go bliżej poznać, nie jest taki zły.

Żaden z niego Cary Grant, ale... Przynajmniej jest prawdziwy. I ona pewnie go kocha, na swój sposób. Nieprawdaż?

- Przynieść świeżą herbatę? Ta zupełnie wystygła.

Jej prostoduszna życzliwość prawie wyciska mi łzy z oczu.

- Nie, dziękuję. Może tym razem sama się pofatyguję?

Dobrze maskuje zdziwienie.

- Zawołam którąś z dziewcząt.

- Później. - Oko mi się rozmaże, stwierdzam w duchu. - Będę za tobą tęsknić, Cheryl.

- Ja za panią również.

Chwilę patrzymy na siebie bez słowa. Naraz uśmiecha się nieoczekiwanie.

- Dalej, panno Golightly. Niech pani to powie. Jeden, ostatni raz. - Odwraca się do Paula i mocno obejmuje go ramionami. - Zaraz zobaczysz, dziadku. Mówi zupełnie jak ona. Są nie do odróżnienia.

Wiem, o które słowa jej chodzi. To kwestia ze „Śniadania u Tiffany’ego”, kiedy Audrey Hepburn opowiada o trzęsionce, o strasznym, niewytłumaczalnym lęku. Owo uczucie strachu i zagubienia ogarnia mnie i teraz; zastanawiam się, czy Polly odczuwa to samo w swoim pokoju w Meadowbank, w towarzystwie znudzonej pielęgniarki i w poczuciu straconych złudzeń. O tak, dobrze je znam. Przekonałam się, że najlepiej mi robi, kiedy wsiądę w taksówkę i pojedę do Tiffany’ego. To od razu działa na mnie kojąco.

- Może innym razem.

Chce zaprotestować, ale mały Paul zaczyna się niecierpliwić: podskakuje i macha pulchną rączką. Na twarzy Jimmy’ego maluje się rezygnacja. Czeka.

- Dobrze. - Cheryl prostuje plecy i przyklepuje włosy. - Jak pani chce.

Pan Jedenasta Czterdzieści, Paul, przytrzymuje jej rękę.

- Jest pewna, kochanie? - pyta. - Będziemy w kontakcie? Poradzisz sobie?

Kiwa głową.

- Jasne. Nie mówię, że będzie łatwo... - Raptem ponownie staje się Bette Davis, macha wymagowanym papierosem. - Mężczyźni to dranie. - Beztrosko przekręca kwestię, jej rubaszny śmiech jest cieniem jej dawnego śmiechu. - Ale co, u diabła, by bez nas zrobili?

Następnie odwraca się do swoich mężczyzn - wyprostowana, komicznie dostojna postać w czarnych baletkach i rybaczkach - i nagle wiem, kogo mi przypomina: Charliego Chaplina, niepokonanego małego trampa, który często obrywa, ale nigdy nie daje się złamać, wiecznie optymistyczny w obliczu smętnego, obojętnego świata. Ku własnemu zdumieniu wybucham najpierw śmiechem, a potem płaczem.

Pan Jedenasta Czterdzieści w milczeniu czeka, aż mi przejdzie. Podniósłszy wzrok, widzę, że przyniósł imbryk ze świeżą herbatą Earl Gray, mleko w tycim dzbanuszkę i dwie kostki cukru na talerzyku. Starannie wycieram oczy chusteczką; na materiale zostają czarne smugi. Nie mam wątpliwości, że żadne z nas nie zobaczy więcej ani Cheryl, ani jej dziecka.

Herbata jest doskonała. Smakuje domem i dzieciństwem, rozmiękłymi herbatnikami i przebaczeniem. Wszystko da się naprawić, powtarzam w duchu, co wywołuje kolejną falę łez. Jedenasta Czterdzieści czeka cierpliwie.

Ponownie wycieram oczy. Mam opuchnięte powieki - co za farsa. Przywołuję się do porządku: jestem stara, moja próżność jest nie tylko niewskazana, lecz wręcz idiotyczna. Ale Paul z uśmiechem wyjmuje z wazonu czerwony goździk, kładzie go na blacie i przysuwa w moim kierunku.

- Lepiej? - pyta. Szczery uśmiech mężczyzny przypomina uśmiech Cheryl. Podziwiam jego hart ducha. Biorę głęboki oddech i na chwilę przymykam oczy. Kiedy je otwieram, czuję lekką poprawę nastroju. Wprawdzie nie jesteśmy u Tiffany'ego, ale tutaj jest bezpiecznie: słońce świeci przez szyby, w powietrzu unosi się woń świeżego pieczywa, słychać odgłosy krzątania. Tutaj nie zdarzy się nic napraw dę złego.

Ściągam rękawiczki i poprawiam włosy; na szczęście mam w torebce puderniczkę i paroma zręcznymi ruchami naprawiam szkody. Żadna ze mnie Audrey, ale Paula też trudno nazwać Georgem Peppardem. W jego spojrzeniu dostrzegam aprobatę.

- I co? - pytam z uśmiechem. - Jak się prezentuję?

Pański numer, panie Lowry!

To żadna tajemnica, że liczby rządzą naszym życiem. Pewnie dlatego tak ich nie znoszę.

Jestem kolekcjonerem. To moja praca i moje hobby. Kolekcjonuję ryzyko. Oceniam konsekwencje. Zbieram oderwane przykłady zjawisk statystycznie marginalnych i na ich podstawie tworzę wielkie równanie. Główny cel mojego działania jest dość prozaiczny: zarabiam pieniądze dla dużej firmy ubezpieczeniowej, która mnie zatrudnia. Cel drugorzędny, egzystencjalny, związany jest z dążeniem do zrozumienia oraz - śmiem twierdzić - rozrywką. Jak wspomniałem, jestem kolekcjonerem.

Na przykład czy mieliście pojęcie, że przeciętny londyńczyk płci męskiej w wieku od dwudziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat - przy nienagannym stanie zdrowia i dobrym wzroku - ma jedną szansę na mniej więcej jedenaście tysięcy, że podczas przechodzenia przez jezdnię zostanie potrącony przez samochód? Gdy uwzględnimy czynniki stresu - genne w pracy (nieobecność na ważnym spotkaniu, nagły dzwonek telefonu komórkowego), prawdopodobieństwo wyniesie jeden do sześciu tysięcy. Jeśli już zostanie przejechany, ma jedną szansę na trzy, że przeżyje. Co ciekawe, w centrum Londynu dochodzi prawdopodobieństwo jak pięć do jednego, że samochód okaże się taksówką.

Dlatego zawsze jestem bardzo ostrożny, przechodząc przez ulicę. Uważam również na to, co jem i piję - przynajmniej tak było do niedawna. Z tymi statystykami nigdy nic nie wiadomo: niektóre, podobnie jak choroby, latami leżą uspięne, zanim postanowią uderzyć; inne zaś przypuszczają atak czołowy jak szarżujący bizon. Tak czy inaczej, przez całe życie unikałem ryzyka, które szacuję na co dzień: nie latam samolotem, nie uprawiam niebezpiecznych sportów, nie jadłem niepasteryzowanego sera, czerwonego mięsa oraz żywności zmodyfikowanej genetycznie. Życie w Londynie samo w sobie niesie zagrożenie, lecz co pół roku przechodzę rutynowe badania lekarskie, unikam tytoniu, jem tłuste ryby i regularnie badam mosznę, co daje mi przekonanie, że zmniejszam ryzyko zachorowania, nie obniżając jakości mego życia.

Moja żona uważa, że statystyki są nudne jak flaki z olejem. Być może mnie też uważa za nudziarza. W gruncie rzeczy mam podstawy, by tak sądzić. Niemniej jednak kobiety nie posiadają naszej precyzji, celują w niedomówieniach i nielogicznym myśleniu oraz bezmyślnie szastają pieniędzmi. Kiedy zaś człowiek wytknie im wspomniane niedociągnięcia, zazwyczaj (dziewięć razy na dziesięć) obrażone uciekają do łazienki w obłoku Chanel numer

5, wykrzykując, że odbierasz im radość życia, masz spać na sofie, a na dodatek jesteś samolubnym bydlakiem, któremu w głowie tylko liczby.

Lecz bez względu na dezaprobatę mojej żony, naszym życiem rządzą właśnie liczby. I czy chodzi o banalny cud zapłodnienia (pięćdziesiąt tysięcy plemników uczestniczących w maratonie pływackim o złote jajo), czy też pojedyncze, dziwne i przykuwające uwagę zdarzenie (mężczyzna wypada z uszkodzonego samolotu, po czym bezpiecznie ląduje na grzbiecie olbrzymiego orła), w każdy wybór, każdy etap podróży, od przekroczenia jezdni do wejścia na pokład feralnego samolotu, wpisane są nieskończenie zróżnicowane możliwości.

Weźmy na przykład następującą sytuację. W roku 1954 pewien Francuz o nazwisku Joseph Dumont postanowił popełnić samobójstwo, skacząc z wieży Eiffla. Rzucił się z pierwszego pomostu widokowego i zdążył przelecieć pięćdziesiąt siedem metrów, kiedy porwał go potężny podmuch wiatru i bezpiecznie osadził na metalowej konstrukcji. Czynniki ryzyka wynosił, jak wyliczyłem, prawie milion do jednego, gdy uwzględnić wagę, wiek oraz kondycję niedoszłego denata, warunki pogodowe, porę dnia, prędkość oraz kąt spadania, no i, oczywiście, czynnik X - przysłowiowy palec boży, ową nieskończoną (tudzież urojoną) liczbę - który jest nieokreślony, niezidentyfikowany, niewysłowiony i tym podobne.

Pozostali mieli mniej szczęścia. Spośród trzystu sześćdziesięciu dziewięciu samobójców skaczących z wieży większość spadała na rozszerzające się ku dołowi podpory. Ciała niejednokrotnie zaplątują się wtedy w metalową konstrukcję, skąd wydobywają je strażacy. W roku 1974 pewien mężczyzna skoczył z wieży przy dużym wietrze, który - podobnie jak w przypadku monsieur Dumonta - zniósł go w stronę budowli, po czym nabił na barierkę ochronną. Nieszczęśnik tkwił tam jak na rożnie, z kością udową sterczącą między obojczykami, przez blisko godzinę, zanim wreszcie wyzionął ducha, co po pierwsze świadczy, że czynnik X nie zawsze jest łaskawy, choć nie brakuje mu swoistej ironii, po drugie zaś dowodzi, że nie warto lekceważyć warunków atmosferycznych.

Nie zdołałem ustalić, czy monsieur Dumont (pod wrażeniem owego cudu prawdopodobieństwa, do którego się nieświadomie przyczynił) obrał inny kierunek i postanowił sycić się radością życia, czy też ponownie skoczył z wieży, by dokończyć dzieła. Jakkolwiek było, szanse na powtórzenie całej sytuacji są tak nikłe, że właściwie nie istnieją - tak jak prawdopodobieństwo wygranej na loterii - a więc monsieur Dumont na zawsze opuszcza scenę, mając na koncie ów ekscentryczny wkład w folklor skrajności.

Co dziwne, chyba nikt nie rozważa tej kwestii podczas zakupu kuponów loteryjnych. Moja sąsiadka, pani Parsons, uboga emerytka, od początku istnienia loterii co tydzień wysyła kupon, zawsze wybierając te same numery w błędnym przekonaniu, że tym samym zwiększa

swoją szansę na wygraną. Wspomniane numery to: data urodzenia, data ślubu ze świętej pamięci panem Parsonsem (wypadek w miejscu pracy, nieszczęśliwy, choć niezbyt zaskakujący, zważywszy na nieostrożność zmarłego oraz fakt, że rzadko przestrzegał zasad bezpieczeństwa) oraz - co najważniejsze - jej „szczęśliwy numer”, siódemka, strażnik wszechwładnego czynnika X, który pewnego dnia (jak wierzy pani Parsons) przyjmie ją do grona wybrańców bożych.

Powinienem uświadomić sąsiadce, że w losowo zebranej grupie Europejczyków w wieku od osiemnastu do sześćdziesięciu pięciu lat osiemdziesiąt dwa procent wskaże siódemkę jako swoją szczęśliwą liczbę. Lecz pani Parsons jest tak gorliwa i pełna nadziei, że nie mam serca tego uczynić ani też przestrzec, że szanse na wygraną - jej czy kogokolwiek innego - są tak niewielkie, iż zakup kuponu minimalnie je zwiększa. Prawdopodobieństwo znalezienia szczęśliwego kuponu na ulicy bądź otrzymania go od przyjaciela niemalże równa się szansom biednej pani Parsons, która od dwudziestu lat z nabożnym zaangażowaniem co tydzień skreśla cyfry. Mimo to nie traci nadziei, co chyba stanowi główną atrakcję przedsięwzięcia. Ostatecznie, cóż innego jej pozostaje? Niedzielna msza, codzienny odcinek ulubionego serialu, siedemdziesiąt funtów zapomogi tygodniowo (jako nieco chybiona rekompensata za śmierć pana Parson - sa, który powinien był włożyć kombinezon ochronny), fryzjer co dwa tygodnie (szampon, płukanka i modelowanie, cztery funty pięćdziesiąt; mąż bardzo by to docenił) oraz promyk nieustającej nadziei, że Szczęśliwa Liczba Siedem któregoś dnia wkroczy na scenę niczym bohaterka jednego z jej ulubionych romansów.

Może tak się stanie. Niech staruszka ma coś z życia. Jednakże szczęścia nie liczy się w liczbach. Weźmy takie dwadzieścia dwa. Po dwudziestu dwóch latach małżeństwa uwielbiana dziewczyna - lat osiemnaście, 90-60-90, w wyniku okrutnej alchemii czasu przeobrażona w osowiałą grubaskę, która ożywia się tylko na „Przyjaciół” tudzież okazjonalną porcję chińszczyzny - oświadcza, że pragnie odnaleźć siebie. Następnie odchodzi, zabierając ze sobą dzieci (szesnaście i dziewięć lat), dom (sto dwadzieścia tysięcy funtów), psa (osiemdziesiąt pięć lat psich), samochód (nissan sunny, rocznik 1988) oraz tajemniczy czynnik X - zapach lakieru do włosów (Elnett, 75,99), ryczący godzinami telewizor, odgłosy obecności drugiego człowieka i nagrzaną stronę łóżka, kiedy co rano wstawiała do pracy, a ja leżałem kolejne pięć minut w błogim oczekiwaniu na aromat parzonej kawy.

„Odnaleźć siebie” znaczy oczywiście znaleźć kogoś innego. W tym wypadku jest to Facet z Roboty (metr siedemdziesiąt dziewięć, trzydzieści jeden lat). „Kocha dzieci, polubiłbyś go, nadal możemy być przyjaciółmi” - spośród setki rozwodników dziewięćdziesiąt jeden procent słyszy (bądź wypowiada) identyczne frazesy. Oto ja, jeden na

czterech, wciąż żyjący liczbami, lecz pozbawiony mistycznego czynnika X, którym raduje się pani Parsons i który zainicjował sławetny lot monsieur Dumonta.

Poniżej przedstawiam niektóre ze wspomnianych liczb.

Czterdzieści pięć tysięcy (dochód roczny brutto, w funtach).

Dwieście pięćdziesiąt (czynsz za kawalerkę w Shepherd's Bush).

Dwieście pięćdziesiąt (liczba włosów wypadających każdego dnia, głównie na czubku głowy).

Czterdzieści osiem (wiek, w latach).

Sto trzydzieści na dziewięćdziesiąt (ciśnienie krwi, w spoczynku).

Ósma piętnaście (metro do Hammersmith).

Ósma trzydzieści pięć (metro na Leicester Square).

Ósma czterdzieści pięć (pokonanie krótkiego odcinka do biura).

Ósma czterdzieści siedem (przypadkowe odkrycie małej karteczki przyklejonej do buta).

Był to kupon loteryjny. Schowałem go do kieszeni. Wydarzyło się to trzy tygodnie temu.

Pani Parsons była szczerze uradowana. Sądzę, iż w mniemaniu staruszki potwierdza to istnienie czynnika X i jednocześnie przybliża do celu ją samą. Dziesięć milionów funtów - dziesięć milionów! - przy prawdopodobieństwie wygranej wynoszącym jeden do jakichś piętnastu milionów.

Konsekwentnie odmawiam wywiadów. Moja żona - była żona - nie ma podobnych obiekcji. Moi, i wkrótce dawni, współpracownicy również nie omieszkali wyrazić własnego zdania. Właściciel poprzedniego mieszkania odmalował wzruszający obraz mojego dotychczasowego życia - określił mnie jako człowieka punktualnego, kurtuazyjnego, pogrążonego w niemej desperacji. Podobnie wyrażali się byli sąsiedzi, których część rozpoznała mnie na zdjęciach.

Tylko pani Parsons okazała się niewzruszona. „Zostawcie biedaka w spokoju!”, krzyknęła do grupki fotografów, którzy powitali mnie w drodze do pracy. „Dajcie mu żyć!”. Lecz ich zaciekłość narasta proporcjonalnie do mojego oporu. Przeniosłem się do nieumeblowanego mieszkania w Knightsbridge, wziąłem trzytygodniowy urlop w ramach wypowiedzenia i zgoliłem wąsy. Cóż więcej mogę zrobić? Czuję się jak monsieur Dumont, nieoczekiwanie zmieciony z kursu i zmuszony do ponownego określenia trasy lotu. Zastanawiam się, czy był wdzięczny losowi. Czy stał sparaliżowany, na rozdygotanych nogach, na skraju przepaści, z przerażeniem patrząc w dół?

Przez pierwszych kilka dni znajdowałem się w stanie bliskim euforii. Po raz pierwszy w życiu poszedłem na zakupy nie z konieczności, ale czystej, frywolnej pasji kolekcjonowania liczb. Kupiłem następujące rzeczy:

Dla żony, jeden zegarek Patek Philippe z diamentami (?12 500).

Dla córki, jedna sukienka koktajlowa, czarna, rozmiar dziesięć, Miu Miu (?800).

Dla syna, jeden zdalnie sterowany samochód, Hamley's (?299).

Dla współpracowników, jedna mała skrzynka szampana Veuve Cliquot (?150).

Dla pani Parsons, apaszka (Hermes,?150), płaszcz przeciwdeszczowy (Aquascutum,?490), bukiet róż (różowych,?95), prenumerata czasopisma „Prawdziwy romans” oraz dożywnie dostawy do domu kuponów loteryjnych (ze wskazaniem numerów), w każdy poniedziałek rano.

Ostatni punkt sprawił mi szczególną frajdę. Niebawem poczułem się jednak dziwnie wypalony, jak dziecko w sklepie z zabawkami, któremu powiedziano, że przejmuje na własność nie tylko ów sklep, ale i całą fabrykę, co spowodowało, że tygodniowe kieszonkowe w wysokości pięćdziesięciu penów (od Bożego Narodzenia skrzętnie ciułane na nową kolejkę) stało się raptem żalną kwotą.

Zmobilizowawszy się na kolejne dwa dni, dokonałem zakupu smukłego zestawu stereo u Banga & Olufsena, cukierkowo różowej lodówki Smega w Harrodsie oraz niedużego, ale pięknego tureckiego dywanu w butik przy Knightsbridge. Do tego doszła kolekcja jedwabnych krawatów, sześć koszul od Thomasa Pinka, spinki do mankietów Paula Smitha oraz buty Lobba. Siłą rozpędu zakupiłem też trzy garnitury u krawca z Savile Row, zanim poniewczasie zdałem sobie sprawę, że skoro rzuciłem pracę, zabraknie okazji, aby je wkładać.

Następnie zadzwoniłem do żony. Jak było do przewidzenia, ulotny czynnik X zadziałał i tutaj - kobieta zaczyna snuć wizję ewentualnego pojednania, lustrując jednocześnie mój nowy garnitur baczny i zaciekawionym spojrzeniem, zarezerwowanym dotąd na wyłączność „Przyjaciół” oraz niektórych rodzajów lodów czekoladowych.

Jednakże obiecana zażyłość niebawem okazuje się stricte powierzchowna: po odwiedzeniu kilku butików oraz wydaniu paru tysięcy funtów dochodzę do wniosku, że szanowna małżonka widzi we mnie nie faceta (choćby byłego), lecz swą własną Szczęśliwą Liczbę Siedem, która wprowadzi ją w świat sukni od Chanel, brylantów Graffa, w tajemnicy przeprowadzonej liposukcji oraz dalekomorskich rejsów, zwieńczonych ognistymi romansami. Mówi, że Facet z Roboty to prehistoria. Wierzę (przecież widzi dla siebie lepszą

przyszłość), lecz to nie ja wpłynąłem na zmianę decyzji. Prawdę mówiąc, bardziej niż kiedykolwiek czuję się jak monsieur Dumont.

W drugim tygodniu rozważyłem własną przyszłość. Ignorując telefony od żony oraz przyjaciół, których zyskałem w ciągu ostatnich kilku dni, przeanalizowałem los niedoszłego samobójcy z Francji. I podobnie jak niegdyś pojawiły się dwie opcje. Według jednej należało podziękować Bogu za cudowne ocalenie i należycie wykorzystać kolejną szansę. Według drugiej zaś człowiek wypinał się na Boga i wkraczał w nieznanne. Być może to jedyna wolność, jaka mi pozostała. Mój szczęśliwy numer.

Pani Parsons wierzy, że milion funtów odmieniłby jej życie. Gdybym podzielił zdanie staruszki, podarowałbym jej ten milion. Lecz pani Parsons ma coś, czego forsa nie może mi zapewnić. Ma nadzieję. Ma cel. A ja?

Dlatego właśnie pod koniec drugiego tygodnia postanowiłem ze sobą skończyć. Czysto i bez zbędnego bałaganu, zamknąwszy uprzednio szereg niezłatwionych spraw. Owa decyzja wywołała przyływ desperackiej euforii, która zapewne towarzyszyła monsieur Dumontowi pamiętnego dnia na wieży. Widzicie, trup nie ma nic do stracenia, a człowiek, który nie ma nic do stracenia, przekracza granice rozpacz i osiąga stan bliski nirwanie.

Dałem sobie tydzień. Tydzień na zrobienie wszystkiego. Wszystkiego, na co dotąd nie miałem odwagi. Na ryzyko, którego nie śmiałem podjąć. Uświadomiłem sobie, że wkroczyłem na płaszczyznę wolności dotąd mi nieznaną; każda chwila przypominała nieoczekiwane wakacje, każda godzina wyznaczała kolejną rundę w coraz bardziej ryzykownej grze. I tak w ciągu tygodnia, niepomyślnie analizując dane statystyczne:

Zamówiłem w herbaciarni Fortnum & Mason pięć porcji kleistego puddingu karmelowego i zjadłem je za jednym posiedzeniem.

Wypaliłem kilka kubańskich cygar.

Skosztowałem kawioru (po raz pierwszy w życiu).

Zacząłem ćwiczyć skoki na batucie.

Sporządziłem czytelny i prawomocny testament, zapisując wszystkie pieniądze byłej żonie - z jednym zastrzeżeniem, że przytyje dwadzieścia pięć kilo i nigdy więcej nie wyjdzie za mąż.

Odbyłem stosunek bez prezerwatywy z dwiema blondynkami w skórzanych ubraniach w samochodzie zaparkowanym opodal Shaftesbury Avenue.

Wytatuowałem sobie na lewym pośladku podobiznę monsieur Dumonta, mego duchowego współnika.

Wypiłem w kąpieeli różowy szampan Laurent-Perrier, czytając przy tym lekką powieść i słuchając V Symfonii Mahle - ra na nowym stereo, nastawionym na pełny regulator.

Wziąłem kokainę (dostarczoną przez jedną z wyżej wspomnianych blondynek).

Zarezerwowałem lot do Paryża prywatnym odrzutowcem (w jedną stronę).

Zjadłem krwisty stek z podwójną porcją frytek.

Zakupiłem nieduży pistolet (od znajomego jednej z blondynek, również odzianego w skórę), przenośny minibatut, melonik, parasol oraz woskowe zatyczki do uszu.

Kilka razy przeszedłem przez jezdnię, nie patrząc na boki.

Strzeliłem Facetowi z Roboty dwukrotnie w brzuch z pistoletu ukrytego w nowym parasolu.

Jedna uwaga: przyływ adrenaliny w podobnych przypadkach jest bardzo silny; podziałał na mnie niezwykle energetyzująco. Miałem na sobie nowy garnitur, melonik oraz przepiękny krawat z różowego jedwabiu, miły dla oka i elegancki, moim zdaniem. Nabycie zatyczek również okazało się rozsądną decyzją (i pomyśleć, że żona opisywała go jako cichego mężczyznę).

Podróż do Paryża pobudziła mnie ponad wszelkie wyobrażenie, choć może zadziałała tak kokaina. Szkoda, że to mój ostatni lot - jeśli nie liczyć skoku z wieży, który zapewne też dostarczy niezapomnianych wrażeń.

Pierwsza podróż zagraniczna. Zdaniem pani Parsons Paryż jest najbardziej romantyczny wiosną. Z przyjemnością potwierdzam, że zaiste wygląda uroczo. Błękitne niebo, lekki wietrzyk, wiśnie kwitnące wzdłuż brzegów Sekwany. Kwiaty wiśni stanowią przejmujący symbol: unoszą się na wietrze i wirują jak płatki różowego śniegu. Odcień doskonale pasuje do nowego krawata. Czy ja też uniosę się i zawiruję? Dzień jest dosyć wietrzny. Przy dużym wietrze wyższe piętra wieży są zamknięte dla zwiedzających. Z rozbawieniem przyjmuję informację (od ulicznego sprzedawcy na Trocadero, gdzie kupuję pozłacaną figurkę wieży), że pomosty dostępne dla zwiedzających otoczono grubą siatką, uniemożliwiając tym samym próby samobójcze. Siatkę rozpięto również w pustej przestrzeni pomiędzy czterema gigantycznymi podporami, tak aby śmieci tudzież inne przedmioty nie leciały na głowy przechodniów. Nie stanowi to dla mnie żadnej przeszkody.

Wzorem monsieur Dumonta postanawiam pieszo wejść na górę. Na pierwszy (i w moim przypadku ostatni) pomost prowadzi trzysta czterdzieści siedem metalowych schodów. Wspinaczka ma wielce satysfakcjonujący, wręcz nabożny charakter: czuję się bez mała jak pielgrzym. Widok drutów kolczastych, niepozwalających zboczyć z drogi wytyczonej schodami, trochę psuje nastrój; nawet na stosunkowo niewielkiej wysokości, na poziomie

pierwszego podestu, umieszczono szereg umocnień, odbierając potencjalnym monsieur Dumontom demokratyczne prawo do skoku. Wszystko przewidziałem. Mijam drugi podest. Schody są coraz węższe i bardziej kręte. Zostało jeszcze pięćdziesiąt. Na szczęście, dzięki dobrej kondycji pokonuję je bez większego trudu. Jeszcze trzydzieści. Dwadzieścia.

Dane dotyczące wieży Eiffla:

1887 (rozpoczęcie budowy).

18 038 (oddzielnych elementów).

9700 (ton wagi).

31 000 (metrów sześciennych usuniętej ziemi).

2 500 500 (nitów).

312,27 (metrów wysokości).

8 000 000 (koszt budowy w złotych frankach).

57,63 (metrów spadku z pierwszego pomostu).

Wydaje się niezbyt wysoko, prawda? Oczywiście, wysokość jest pojęciem względnym. Przy wzroście metr osiemdziesiąt pięć uchodzę za raczej wysokiego, choć mężczyźni o tak zwanym przeciętnym wzroście są niżsi o zaledwie siedem centymetrów. Pole Marsowe leży u moich stóp niczym cudowny, szarozłoty kobierzec. Mam na sobie nowy garnitur, różowy krawat i melonik; w rękę trzymam walizkę i parasol. Nie znam szczegółów dotyczących ubioru monsieur Dumon - ta owego pamiętnego dnia, ale mam nadzieję, że docenił powagę chwili i ubrał się stosownie do okazji. Francuzi są w tym dobrzy. Lubię myśleć, że prezentował się bez zarzutu.

Z zadowoleniem stwierdzam, że nie ma wielu zwiedzających. Być może z powodu wiatru albo wczesnej godziny. Stanąwszy poza zasięgiem wzroku strażnika w szklanej budce, pośpiesznie wyciągam z walizki minibatut. Rozłożenie go trwa niespełna minutę (przećwiczyłem to starannie). Rozpięty na lekkim, aluminiowym stelażu, ma rozmiar TAŃCU ry pokrywy od pojemnika na śmieci. Porządne odbicie pozwoli przelecieć nad siatką. Dokładnie obliczyłem wytyczoną trasę. Cóż, nie biorę odpowiedzialności za czynnik X. Zresztą, co by to była za przyjemność, prawda?

Chwilę podziwiam panoramę. Niezbyt długo; strażnik zauważył mnie i na jego twarzy maluje się bezmierne zdumienie. Wolę nie ryzykować, że mi przeszkodzi. Dwa lekkie podskoki na próbę (co za miłe uczucie; szkoda, że nie trenowałem wcześniej), a potem jeden większy. Dachy paryskich domów przechylają się zachęcająco.

Podskakuję dość wysoko. Okrzyki zbliżającego się strażnika nakłaniają do pośpiechu. Muszę wstrzelić się między dwa metalowe słupy i skacząc pod kątem jakichś czterdziestu pięciu stopni, przelecieć nad siatką z drutu. Paryż wiosną. Pani Parsons byłaby zachwycona.

Rzecz jasna, prawdopodobieństwo powtórzenia imponującego skoku monsieur Dumonta jest dość nikłe. Wprawdzie wiatr dmucha solidnie, ale nie uniesie osiemdziesięciu kilogramów spadających z prędkością (wedle mojego rachunku) prawie stu kilometrów na godzinę, z przyspieszeniem co sekundę. Szansa jak jeden do piętnastu milionów, i to w znacznym przybliżeniu. W rzeczywistości szanse mogą być dużo, dużo mniejsze. To prawdziwe wyzwanie. I kiedy nie odrywając wzroku od celu, sprawdzam moje usytuowanie, muszę przyznać, że czuję się jak szczęściarz. Akt wiary, jak powiedziałyby pani Parsons. Wiara. Nadzieja. Prawie można uwierzyć, że człowiek umie latać.

Czekając na Gandalfa

Ponieważ czasami rzeczywistość nie wystarcza.

Bycie potworem to nie zawsze gratka. Wprawdzie ktoś musi to robić i czasem ma frajdę, mogąc dołożyć elfowi albo czarodziejowi, lecz spójrzmy prawdzie w oczy: przeważnie zabawa polega na czatowaniu w krzakach albo brodzeniu po kostki w lodowatej wodzie w oczekiwaniu, aż główni bohaterowie wpadną na ciebie przypadkiem albo w ogóle cię ominą, przechodząc do następnej potyczki. A ty marzniesz na kość, dopóki ktoś nie raczy poinformować, dokąd poszli.

Oczywiście na początku masz nikle rozeznanie w sytuacji. Wszyscy ci wmawiają, że bycie potworem to najlepsza zabawa. Bez poczucia winy, bez stresu, superkostiumy oraz możliwość zmartwychwstania w dowolnej chwili. Czego chcieć więcej?

Cóż, rzeczywiście bywa nieźle. Pamiętam swój pierwszy raz: miałem szesnaście lat; byłem chuderlawym, zdesperowanym mołem książkowym. I pamiętam tamtą dziewczynę, dwudziestoletniego półelfa z chmurą rudych włosów i uszkami z lateksu. Boska. Tak naprawdę wstąpiłem do grupy, żeby znaleźć się blisko niej, chociaż prawie nie zwracała na mnie uwagi, sporadycznie obsypując gradem strzał lub dźgając mieczem. Mimo to zawsze uśmiercała mnie w przyjazny, serdeczny sposób (tak przynajmniej sądziłem), w związku z czym podczas ataków dawałem z siebie wszystko, aż w końcu oskarżyła mnie o molestowanie i jej chłopak (wojownik z klatą gladiatora oraz nadwyżką testosteronu) musiał mnie postraszyć.

Ale i tak wpadłem po uszy. Byłem poniewierany, maltretowany, ćwiartowany na kawałki, polewany wodą święconą, rozstrzeliwany, katapultowany, zakluwany nożem, zamieniany w upiora, dym tudzież kupę śluzu. Mimo to w każdą sobotę stawiałem się na posterunku i bez względu na pogodę toczyłem nocną walkę przeciw siłom dobra.

Oto demoniczny powab zabawy w odgrywanie ról. Człowiek zaczyna od Tolkiena - czasem nawet zachęca go do tego szkoła - po czym za sprawą Steve'a Jacksona lub Games Workshop jego nawyk umacnia się, jest kamuflowany, ba, staje się groźny. Rodzice narzekają, że nie wychodzi z domu, a z jego pokoju dolatują dziwne zapachy. Przyjaciele zaczynają go unikać; snuje się samotnie w pobliżu sklepów Oxfam [Oxfam - międzynarodowa organizacja humanitarna. Prowadzi m.in. sklepy z używanymi rzeczami. (Przyp. tłum.)] i zaczyna podzielać fascynację swej młodszej siostry „Xeną, wojowniczą księżniczką”. Wreszcie triumfalnie wchodzi na scenę w wełnianym swetrze (pomalowanym

srebrną farbą w sprayu, żeby przypominała kolczugę) oraz pelerynie z zasłony okiennej i unosząc gumowy miecz oklejony srebrną taśmą, obwołuje się Scrudem Wspaniałym.

Jak można przewidzieć, jego bliscy zazwyczaj reagują strachem bądź odrazą. Lecz ziarno zostało zasiane: wkracza w świat inscenizacji i w ciągu trzech tygodni zamienia oklejony miecz na broń z lateksu, sporządza kolczugę z tysięcy podkładek hydraulicznych i rozprawia z krasnoludem o imieniu Snorri o zaletach rękawów doszywanych nad rękawami stanowiącymi całość ubrania.

Odtąd już nie ma powrotu. W każdy sobotni wieczór grupa protagonistów, grupa potworów oraz sędzia zbierają się na skraju lasu. Przez całą noc dwa wrogie oddziały, uzbrojone po zęby i żądne krwi, ścigają się wśród krzaków. Widzicie, to naprawdę wciąga: ciemność, atmosfera polowania, prymitywna broń, zwierzęcy strach. Dla niektórych zaś - słabeuszy takich jak ja, desperatów, samotników, outsiderów lub dziwaków - jest upragnioną szansą, by na jedną noc stać się kimś innym.

Przeważnie odgrywałem rolę potwora. Kiedyś byłem walecznym księciem o imieniu Lazar, którego dopadła banda orków. Potem stałem się Waylandem, strażnikiem leśnym, który zdołał osiągnąć trzeci poziom, zanim wpadł w zasadzkę zastawioną przez nikczemnego duchownego. Następnie czarodziejem Doomcasterem, ofiarą magicznego pocisku, oraz barbarzyńcą o imieniu Snod, wyeliminowanym z powodu słabego zdrowia (był styczeń, brnęliśmy w śniegu po kolana, a barbarzyńcy nie noszą podkoszulków).

Moi bohaterowie rzadko dożywali świtu, co początkowo składałem na karb braku szczęścia. Inni stali uczestnicy gry awansowali, zdobywali kolejne poziomy i umiejętności; w końcu stali się wręcz niezniszczalni. Po trzydziestu latach nadal stanowimy zgrane grono: Tytania, kobieta-elf, wciąż piękna i rudowłosa; złodziej Litso; wojownik Bekane, który rozpowiada naokoło, że w weekendy trenuje w oddziałach obrony cywilnej; stary rycerz Philbert Srebrzystogrzywy: kiedy zaczynaliśmy, miał ponad czterdzieści lat - nadal dotrzymuje kroku pozostałym, choć zamiast walki preferuje obecnie łyk eliksiru z piersiówki. Wciąż jest z nami Snorri, specjalista od topora, czarnoksiężnik Jupitus, rycerz Vel - darron oraz uzdrowicielka Morąg, jego dziewczyna. Morąg towarzyszy nam głównie z uwagi na Veldarrona, który ciągle łapie kontuzje. Prawdę mówiąc, nie umie podnieść miecza, żeby nie uderzyć się nim w twarz, lecz dzięki staraniom Morąg właściwie osiągnął nieśmiertelność oraz reputację niezrównanego fechmistrza.

Zaangażowanie Morąg budzi moje wątpliwości. Bycie uzdrowicielem to żadna atrakcja. Obserwuję ją, kiedy sądzi, że nikt nie patrzy; ma zwyczaj odpowiadać „wszystko

jedno”, kiedy ktoś poprawia jej zaklęcia. Prawdopodobnie rzecz w tym, że Veldarron zawsze miał słabość do Tytanii (jak zresztą wszyscy) i pewnie Morąg woli trzymać rękę na pulsie.

No i wreszcie Pająk. Szczerze mówiąc, trochę się o niego martwię: fikcja to jedno, a rzeczywistość to drugie, wątpię zaś, czy Pająk widzi między nimi jakąkolwiek różnicę. Zaczniemy od tego, że on nigdy nie wychodzi z roli. Każde z pozostałych ma zwykłą tożsamość: Tytania prowadzi księgarnię z literaturą New Age, Veldarron jest księgowym, Lit - so pracuje w biurze podatkowym. Ale Pająk jest Pajakiem na okrągło. Nikt nie zna jego prawdziwego imienia, nikt też nie widział go bez kostiumu. Inni przychodzą w dzinsach, wymieniają życzliwe uwagi, a czasem wpadają przed walką do pobliskiego pubu na kilka piw. Ale nie Pająk. On nie lubi strzępić języka. Zapytaj go, czy oglądał wczoraj film w telewizji, a w odpowiedzi obdarzy cię przeciągłym spojrzeniem, jakbyś był czymś, co właśnie znalazł pod głazem. Nikt nie wie, gdzie mieszka. Trudno wyobrazić go sobie w zwykłym domu, z sofą, tosterem czy choćby łóżkiem Owszem, zajrzy do pubu - nawet wypije, jeśli ktoś postawi - zawsze jednak przychodzi w pełnym rynsztunku: miecze, kusza, peleryna, kolczuga, plecak, tunika, butelka z eliksirem, pas, święty symbol. Wszystko w najlepszym gatunku. Pozostali sami klecą kostiumy i ekwipunek. Większość ma tylko jedną rzecz z prawdziwego zdarzenia - zazwyczaj broń. Lecz w przypadku Pajaka każdy element przebrania nosi wszelkie znamiona autentyczności.

Na przykład kolczuga kosztuje majątek, robiona na miarę - jeszcze więcej. Porządna broń z lateksu osiąga nieraz cenę trzystu funtów, a Pająk nosi przy sobie cały arsenał: miecze długie i krótkie, tarcze, sztylety, kusze ze specjalnymi zasuwami oraz prawdziwą broń, z którą defiluje dla większego efektu (rzecz jasna, nie może użyć jej w walce). Do inscenizacji jak znalazł, lecz w pubie wywołuje zrozumiałe poruszenie.

Pająk ma to w nosie. Jest obojętny na kpiny i znaczące spojrzenia. Poza tym od zeszłorocznego incydentu z tłumem kibiców piłkarskich większość ludzi omija go szerokim łukiem i unika żartobliwych nawiązań do „Władcy pierścieni”. Ponieważ, w przeciwieństwie do Veldarrona, Pająk potrafi walczyć; jako etatowy potwór mam na ten temat coś do powiedzenia. Dużo trenuje. W ciągu trzydziestu lat doznał zaledwie kilku kontuzji. A kiedy już zostanie zraniony, podchodzi do sprawy śmiertelnie poważnie, oblewając „rany” fiołkami sztucznej krwi i umieszczając w ich miejscu „blizny”. Co więcej, podejrzewam, że później je sobie tatuuje - nadal ma bliznę w miejscu, gdzie przed pięcioma laty jako nikczemny duchowny trafiłem go magicznym pociskiem. Ów cios w plecy miałby dla mnie żałosne skutki, gdyby Tytania - pełniąca rolę sędziego - nie uznała go za uczciwy, a pierwsza Morąg

(jedna z poprzedniczek obecnej) nie pośpieszyła na ratunek. Od tamtej pory widok Pająka budzi we mnie pewien niepokój.

No i, oczywiście, mamy potwory. Dzisiaj przyszło nas dziesięciu, w większości uczestnicy dorywczy, a nie stali gracze jak Tytania, Pająk i ja. Uniwersytet to dobre miejsce, by szukać „mięsa armatniego”; studenci mają dużo wolnego czasu, są weseli, energiczni i zazwyczaj łatwo nimi pokierować. Wymagają jednak opieki doświadczonego gracza; dlatego tu jestem. Nowe potwory czasami dają się ponieść: nie zgłaszają ciosów, ulegają nadmiernym emocjom. Muszę trzymać ich w ryzach. Dopilnować, żeby przestrzegali zasad. No i żeby nikt nie oberwał na serio. W lesie wszystko może się zdarzyć: ciemno, człowiek jest nabuzowany i skłonny uwierzyć, iż rzecz dzieje się naprawdę, a opodal grasują orki, wilkołaki albo duchy. W dobrą noc wydaje ci się, że przebywasz z dala od cywilizacji, drogę oświetla ci tylko księżyc, a każdy cień może oznaczać wroga. Jeden fałszywy krok i po tobie: świadomy tego, jesteś w ciągłym napięciu i masz wyostrzone zmysły.

W złą noc leje deszcz, skręciłeś kostkę, psie gówno klei ci się do buta, a w pobliskim pubie ktoś fałszuje do mikrofonu. Na domiar złego przyjeżdża policja, zawiadomiona o zakłóceniu porządku, ty zaś - jako najbardziej doświadczony członek grupy - musisz się gęsto tłumaczyć, dlaczego biegasz nocą po lesie w stroju goblina, ubłocony od stóp do głów. Jak wspomniałem, bycie potworem to czasami nic przyjemnego.

Dzisiaj jest nieźle. Wprawdzie trochę pada, ale nad głowami płyną poszarpane chmury, księżyc jest w pierwszej kwadrze, a ziąb nie daje się zbyt mocno we znaki. Jest - rzekłbym - nastrojowo. Właśnie siedzę pod drzewem w płaszczu przeciwdeszczowym, przeglądając plan wieczoru. Będę sędziował. Cieszę się na samą myśl.

Potwory już się zjawily. Przed nadejściem stałych graczy trzeba wprowadzić je w szczegóły, żeby miały jakieś rozeznanie w sytuacji. Trzeba przydzielić role i wyłuszczyć zasady. Zdarzają się nadgorliwi nowicjusze w moro. Dzisiaj jest ich trzech, wszyscy rozchichotani i nakręceny. Nie znam imion: z powodu intensywnej rotacji nie ma sensu ich zapamiętywać. Pozostali to moi uczniowie, siedemnasto-, osiemnastoletni. Matt, Pete, Stuart, Jase i Andy. No i, oczywiście, ja. Smithy. Etatowy potwór.

Wiem, że nie traktują mnie poważnie. Lat czterdzieści sześć, chudy, łysiejący, zdesperowany. Wiem, że bez kostiumu wyglądam jak nauczyciel geografii (w sumie dobrze się składa, bo nim jestem); zauważam kłopotliwe milczenie, którym witają moje nadejście, oraz ukradkowe spojrzenia, kiedy sądzą, że nie patrzę. Biedny, stary Smithy, myślą, zawsze trzy kroki z tyłu. Jezu, co za frajer. Jezu, spraw, żebym nigdy nie był taki żaloszny.

Lecz gra kryje w sobie coś szlachetnego. Oni tego nie rozumieją, osiemnastoletni i nieśmiertelni, ale ja tak. Traktują to jak zwykłą rozrywkę; za parę tygodni znajdą sobie następną lub, co gorsza, stworzą konkurencyjną grupę pętaków w swoim wieku, po czym będą łamać zasady i pękać ze śmiechu. Myślą, że robimy to dla samych przebieranek, że jesteśmy garstką fetyszystów oraz wrogów postępu, podobnych do zagorzałych wielbicieli „Star Trek” oraz zwariowanych ekologów, którzy mieszkają w szałasach i obywają się bez centralnego ogrzewania.

Ale tu nie chodzi o przebieranki. Liczy się honor, zasady oraz dobro i zło. Liczy się śmierć i chwała. Oraz prawda - nie, że smoki istnieją, ale że można je pokonać. Wraz z upływem czasu coraz goręcej pragnę wierzyć, że to istotnie możliwe. Philbert wie, co mam na myśli - jego żona zmarła dwadzieścia lat temu na raka i jedynie my mu pozostaliśmy. Tytania również, bezdzietna i dobiegająca pięćdziesiątki, no i Litso, który tylko w sobotnią noc nie musi udawać, że jest hetero. Te dzieciaki nie mają pojęcia, co to znaczy wracać do mieszkania, do smutnego, urojonego życia w dwóch pokojach, z kominkiem z trzema kłodami drewna, ze śpiącym kotem. Nie wiedzą, co znaczy ksywka „Żalony Smithy” wśród pokoleń uczniów geografii ani jak to jest leżeć po ciemku ze ściśniętym żołądkiem, kierując wzrok na elektryczne gwiazdy, z których każda jest oknem, każda domem. To nie dla nas, mówi Pająk, jeśli w ogóle zabiera głos. Nie dla nas dom, żona, dzieci. To dobre dla pospólstwa. Dla zwykłych ludzi. Ludzi wiodących urojone życie.

- Długo jeszcze? - pyta jeden z nowicjuszy, spoglądając na zegarek. Znacie ten typ: niecierpliwy, bezczelny, wzgardliwy i zimny jak lód; przyszedł tylko dlatego, że ktoś (pewnie ja) wspomniał o możliwym niebezpieczeństwie, czymś magicznym i zakazanym.

- Niedługo. - Właściwie to są spóźnieni; dochodzi jedenasta i wokół panuje głucha cisza. - Włóżcie kostiumy.

Rzuca mi pogardliwe spojrzenie i nakłada maskę. Jest lateksowa i dość realistyczna - robię je własnoręcznie, są znacznie lepsze od kupnych. Mimowolnie wyrażam życzenie, by poległ jako pierwszy.

- A mogło mi się dzisiaj poszczęścić - dodaje stłumionym głosem. - Wpadłem w oko jednej cizi w Woolpack.

Żalony, naprawdę. Obaj wiemy, jak wygląda jego życie. Wiemy też, że nigdy mu się nie poszczęści. Ale nie ma czasu na rozważania; zza drzew wyłania się jakiś cień. Po hałasie oraz rozmiarach miecza przerzuconego przez plecy wnioskuje, że to Veldarron. Towarzyszy mu Morąg, wyraźnie znużona i niezadowolona; pewnie znów darli koty. Mimo to cieszę się, że przybyli pierwsi: ekscentryczny wygląd pozostałych mógłby zaskoczyć nowicjuszy, a tego

wieczoru wolałbym uniknąć kłopotów. Poza tym znam tych studentów - połowa przyszła skuszona wizją poderwania jakiejś ślicznotki w skórzanym kostiumie. Wprawdzie Morąg nie przypomina Xeny, ale to ostatecznie kobieta i jako dwudziestodziewięciolatka bardziej pasuje wiekiem do smarkaczy.

Witam przyjaciół tradycyjnym pozdrowieniem „Dobry dzień na śmierć” w nadziei, że wprowadzę ich w bojowy nastrój. Lecz gdy podchodzą bliżej, widzę, że Morąg jest jakaś niewyraźna. Ma kamienną twarz i zaciśnięte wargi; co gorsza, ubrała się całkiem zwyczajnie, w dżinsy i kurtkę zamiast rytualnej szaty z kapturem. Jasny gwint, myślę. Na dodatek ten cholerny Veldarron ostentacyjnie podchodzi do uschniętego drzewa, czekając, aż sam rozwiążę problem.

- Co się stało? - pytam Morąg. - Dlaczego nie jesteś przebrana?

-Wracam do domu, Smithy.

- Dlaczego?

Morąg patrzy na mnie bez słowa. Ogarnia mnie desperacja. Oczywiście, nie po raz pierwszy dziewczyna Veldarrona wystawia nas do wiatru w decydującym momencie (doprawdy nie mam pojęcia, co one widzą w tym nieczułym łądaku), ale stracić uzdrowiciela, jedyne uzdrowiciela o godzinie jedenastej w sobotnią noc, to szczyt wszystkiego.

- Potrzebujemy cię - mówię wreszcie. - Mam tu grupę młokosów, którym przyda się uzdrowiciel.

- Nic na to nie poradzę - odpowiada Morąg, wzruszając ramionami. - Rezygnuję. Powiedz Darrenowi, żeby znalazł sobie inną naiwną. Ja spadam.

- Ale Morąg...

Nieoczekiwanie wpada w złość.

- Nie nazywam się Morąg! - wrzeszczy. - Przychodzę tu od sześciu lat, Smithy, a ty nawet nie znasz mojego pieprzonego imienia!

To dopiero niestałość. Po cholerę mam znać jej imię, myślę, odprowadzając ją wzrokiem przez polaną skąpaną w blasku księżyca. Poza tym po sześciu latach powinna wiedzieć, że nigdy - przenigdy - nie należy podczas sesji wymieniać prawdziwych imion uczestników gry. Nic dziwnego, że Veldarron jest taki poirytowany. Tak czy inaczej, jestem święcie przekonany, że przed następnym spotkaniem zwerbuję kolejną Morąg. Odejście uzdrowicielki nastęrcza mi nieprzewidzianych trudności, zwłaszcza że mam pod sobą grupkę nieopierzonych potworów. Za późno na zmiany, pozostaje nam liczyć na krótką potyczkę, łut

szczęścia oraz dyscyplinę nowicjuszy. Byle tylko obyło się bez kolejnych niemiłych niespodzianek.

Nadchodzi reszta grupy z Philbertem na czele. Nadał sobie miano Srebrzystogrzywy, chociaż wszyscy wiemy, że nosi perukę. Zgięty pod ciężarem zbroi wygląda na niższego, niż jest naprawdę, ale mimo to prezentuje się dość imponująco. Ma w sobie pewną szlachetność, jak stara wieża stojąca w szczerym polu, bezużyteczna, lecz obdarzona swoistym urokiem. Oczywiście nie zawsze tak myślałem: przyznaję ze wstydem, że w młodości - kiedy czterdziestolatek zasługiwał na miano starca - szydziłem zeń bezlitośnie.

No tak, od grupki nowicjuszy dolatują śmiechy. Philbert nie słyszy - jest nieco przygłuchy - ja jednak, poirytowany incydem z Morąg, czuję przyływ irracjonalnej złości. Rzucam ostrą komendę, nakazując potworom utworzyć szereg za pokaźnym krzakiem. Stali uczestnicy przysli prawie w komplecie. Jest Litso, jak zwykle w kobiecych łaskach, Bekane w bardzo nieśredniowiecznym ubraniu pod kaftanem, Jupitus, powolny i ociężały w stroju czarnoksiężnika, oraz Snorri z toporem.

Kolejna fala chichotów. Spodziewałem się tego; część kostiumów budzi rozbawienie młodych, zwłaszcza niecodzienny strój Litso, ubranego w kabaretki ze spuszczonej oczkami i skórzaną spódnicę. Mimo to czuję wściekłość. Być może z powodu odejścia Morąg albo dlatego, że dzisiaj ja dowodzę. Poza tym to niegrzeczne. Przecież i tak dostaną baty. Nie podoba mi się ich nastawienie. Litso też jest zde gustowany. Przyjęliśmy zasadę, że nikt nie komentuje wyglądu drugiej osoby, choćby jego zdaniem prezentowała się wyjątkowo dziwnie. Philbert (który w innym życiu był profesorem psychologii) twierdzi, że odgrywanie ról przynosi oczyszczenie, umożliwia człowiekowi realizację fantazji, których stłumienie odbyłoby się ze szkodą dla ego. Podczas naszych sesji odrzucamy poczucie winy, strach i szyderstwo, kończymy je odnowieniem duchowym i oczyszczeniem. Uświadomiłbym to nowicjuszom, ale czas nagli; nadchodzi Pająk, stąpając bezszelestnie wśród krzaków, tuż za nim podąża Tytania.

Tytania. Serce niezmiennie zaczyna mi szybciej bić. Prawie się nie zmieniła. Kilkakrotnie trzeba było trochę poszerzyć jej kostium, ale dla mnie wciąż jest tak samo piękna. Rude włosy spływają jej na ramiona, w dłoni trzyma lekki miecz.

Za moimi plecami padają jakieś słowa. Nie rozróżniam ich, ale brzmią obraźliwie. Odwracam się pośpiesznie, lecz twarze młodych nie wyrażają żadnych uczuć. Regularni uczestnicy - Matt, Pete, Stuart, Scott, Jase i Andy - przybrali maski wystudiowanej obojętności. Nowicjusz, który narzekał na opóźnienie, bębni palcami. Pozostali stoją

nieruchomo. Świetnie. Przynajmniej mają dość oleju w głowie, żeby zachować powagę w obecności Pajaka.

Pada deszcz. Pajakowi to nie przeszkadza; kiedy wychodzi na polanę, na jego zaplecionych włosach lśnią krople wody. Podaję mu plan - zapisany runami, bo Pajak nie czyta normalnej czcionki - i prowadzę oddział potworów na wyznaczone miejsce.

Słyszę głosy protagonistów. Omawiają utratę uzdrowicielki, weryfikują strategię i rozdzielają eliksiry.

- Posłuchajcie - mówię do potworów. - Musicie dziś wy kazać szczególną ostrożność. Straciliśmy jednego gracza i nie mamy nikogo na jego miejsce, dlatego musimy ściśle przestrzegać zasad. Podczas pierwszej potyczki jesteście upiorami, każdy przyjmuje tylko trzy ciosy. Załóżcie maski i zajmijcie pozycje. - Przyglądam się potworom, zwłaszcza nowicjuszom, którzy wyraźnie nie mogą ustać w miejscu. - Pamiętajcie - upominam - trzy ciosy. Tylko trzy. Nie mamy uzdrowiciela i musimy za wszelką cenę nie dopuścić do wypadku.

Ktoś prycha śmiechem; to jeden z nowicjuszy, ten niecierpliwy.

- Co to ma znaczyć? - pytam ostro.

- Nic. - Każde słowo brzmi w jego ustach jak obelga.

Chętnie nauczyłbym go moresu, ale nie ma czasu. Zresztą zobaczymy, czy za chwilę będzie mu do śmiechu. Ostatnia myśl nieco poprawia mi nastrój. Upiory chowają się w krzakach, ale niezbyt skutecznie: to stosunkowo powolne, głupie istoty, których pokonanie nie jest zbyt trudne. Będzie to potyczka w ramach rozgrzewki, dla rozruszania kości. Dmucham w gwizdek. Czas start.

Moment radosnego uniesienia. Oto powód całego przedsięwzięcia. To znacznie więcej niż tylko gra, więcej niż katharsis. Młodzi nie czują tego tak jak my: Tytania, Philbert, Pajak i ja. To odurzające. Magiczne. Być bohaterem, jak w piosence Davida Bowiego, znaleźć się poza czasem i (na jedną minutę, godzinę, noc) dołączyć do grona nieśmiertelnych.

Oho, nadchodzą. Bekane i Veldarron na czele grupy, Pajak osłania tyły, Litso na zwiadach. Potwory kipią gotowością do walki, niecierpliwy nowicjusz paraduje na tyłach grupy, trochę zbyt energicznie jak na upiora. Cóż, przynajmniej się stara; trudno go za to karać.

Jeden z etatowych potworów atakuje pierwszy. To Pete, który starannie odgrywa swoją rolę, maszerując ociężałym krokiem, z rozpostartymi ramionami. Dołącza do niego Scott, a potem Andy i razem odcinają Litso od pozostałych, rzucając się na niego we trójkę.

Pozostali protagoniści wkraczają do akcji: Bekane walczy z Jasem i Mattem, a Veldarron (najwyraźniej pomny nieobecności Morąg) zachowuje dystans.

Nowicjusze trzymają się z tyłu, zbyt przezornie jak na upiory; mimo to protagoniści bez trudu powinni ich rozgromić. Litso otrzymuje kilka ciosów w prawe ramię, jego słaby punkt od dawien dawna, a Veldarron dostaje mieczem po żebrach. Pozostali protagoniści z łatwością dają odpór napastnikom. Ale po trzydziestu sekundach tylko nowicjusze stoją o własnych siłach. Ich przywódca (niecierpliwy szczeniak, który poprowadził atak) sprawnie walczy z Beltanem, chociaż trudno mi uwierzyć, że nie otrzymał jeszcze trzech ciosów. Reszta beztrzesko ignoruje razy i atakuje ile wlezie.

- Powstrzymać natarcie! - krzyczy ze złością Tytania, uderzona w twarz płazem miecza, lecz trzech nowicjusze nie odstępują. Na domiar złego pierwszy zdziera z twarzy maskę i z bojowym okrzykiem rzuca się w sam środek bitwy.

- Hej, nie wszyscy na raz! - woła Veldarron, będący celem ataku trzech potworów. Oczywiście ma rację, to jedna z naszych podstawowych reguł, którą jasno wyłożyłem nowicjuszom. W ferworze walki musieli o niej zapomnieć. Przejęty Veldarron chyba raz po raz. Gdy Pająk przychodzi z odsieczą, bezwzględnie atakując upiory od tyłu ciosami miecza, fehmistrz pada na ziemię z poważnymi urazami.

Po bitwie następuje niemałe zamieszanie. Nie pozostaje mi nic innego, jak wykluczyć Veldarrona z pozostałych potyczek, ku jego niezmiernej irytacji i ostentacyjnemu zadowoleniu potworów. Litso też doznał upokarzających obrażeń, a Tytania skarży się, że musiała uderzyć swojego upiora co najmniej dwadzieścia razy, zanim raczył paść na ziemię i skonać. Rozmawiam o tym z potworami: stali uczestnicy pokornie przyjmują zarzuty, ale nowicjusze nie przestają się stawiać.

- Dwadzieścia razy? Ona chyba żartuje. Zapewniam, że nie trafiła mnie ani razu.

- Ciosy muszą być przekonujące. Skoro nic nie czułem, to się nie liczy.

Jeszcze raz powtarzam zasady dotyczące przyjmowania i rozdzielania ciosów. Jestem niemal pewny, że prowodyr się krzywi.

- Co znowu? - pytam.

Wzrusza ramionami.

- Nic.

Incydent popsuł nastrój. Czuję przez skórę, że w oddziale narasta atmosfera rewolty. Po kolejnych dwóch potyczkach oddział protagonistów napotyka grupę rozbójników, którzy stawiają nadspodziewany opór. Litso obrywa jeszcze dwukrotnie, Philbert otrzymuje cztery ciosy, a Tytania i Bel - tane po jednym, choć czarnoksiężnik Jupitus kończy starcie sprytną

sekwencją zakłóć. Potwory protestują, napomykając coś o karze, i znowu muszę przypomnieć im o zasadach.

- Przecież to tylko gra - burczy jeden z nowicjuszy. - Nie chodzi o walkę na śmierć i życie.

Ależ tak. Szkoda, że nie mogę mu tego uświadomić, dzieli nas zbyt duża przepaść. Życie rozpoczyna się jako gra, po W TAŃCU czym przeistacza w śmiertelną walkę. Staram się możliwie sprawnie zorganizować kolejną potyczkę, lecz zabiera to dużo czasu; jeden z nowicjuszy zaczyna marudzić i ku mojej irytacji dołączają doń inni.

Protagonistom doskwiera brak uzdrowiciela. Po piątej potyczce Litso nie nadaje się do dalszej walki, Philbert ma się niewiele lepiej, a Beltane otrzymuje kolejnych pięć ciosów. I tylko Pająk, wciąż nietknięty, powala przeciwników pewnymi ciosami miecza. Niecierpliwy nowicjusz patrzy z niezadowoleniem, ale nie mówi ani słowa. Oto przykład, jak Pająk działa na ludzi.

Siódma potyczka. Bez dodatkowych ofiar wśród protagonistów, ale wszyscy prócz Pajaka mają na koncie liczne obrażenia. Wyczuwam wyraźny spadek morale. Mam wyrzuty sumienia, choć wiem, że to nie moja wina: po prostu niektóre noce są lepsze od innych, a nowi gracze zawsze wnoszą element ryzyka. Czuję też, że tracę panowanie nad grupą; doskwiera mi to, jakby część mojego urojonego życia przeniknęła do tego prawdziwego.

Podczas przerwy jeden z nowicjuszy zapala papierosa. To wbrew zasadom, niemniej jednak czuję się tak niepewnie, że wolę nie reagować. Etatowe potwory - Scott, Matt, Jase i reszta - również wykazują pewien niepokój, jakby udzielił im się nastrój pozostałych. Za plecami słyszę pomrukiwanie i stłumione śmiechy. Coraz więcej we mnie niepewności. Jako nauczyciel znam niebezpieczeństwo, jakie niesie obecność wicherzyciela; z każdą chwilą narasta przekonanie, że nowicjusze (zwłaszcza jeden) burzą jasno ustalony porządek. Wystawiają na próbę moją cierpliwość, sprawdzają reakcje na wysoki, podważają autorytet.

- Dobrze - mówię oschle, rozdając kartki z opisem kolejnego starcia. - Tym razem nie macie wrogich zamiarów. Jesteście oddziałem żołnierzy z innego obozu, protagoniści mogą od was wynegocjować eliksiry uzdrawiające.

Jest to próba rozwiązania problemu Morąg. Niecierpliwy nowicjusz robi minę; widzę, że nie bawi go perspektywa pokojowych rozwiązań.

- A jeśli nas zaatakują? - pyta.

- Będziecie walczyć - odpowiadam. - Sami nic nie inicjujecie.

- Inicjujecie. Co oznacza ten wyraz? - pyta z krzywym uśmiechem.

Rzucam mu wściekle spojrzenie.

- Masz problem?

Wzrusza ramionami.

- Pytam, czy masz problem?

Uśmiecha się beczelnie i zarazem głupkowato.

- Wszyscy traktujecie to tak poważnie - odpowiada w końcu. - Jakby chodziło o prawdziwą walkę. Przecież to tylko pierdolona zabawa, na miłość boską. Spójrzcie na sie bie. Stary dureń w peruce, stuknięty transwestyta, ruda grubaska...

Coś we mnie pęka. Och, wielokrotnie byliśmy wyśmiewani i obrzucani obelgami, nazywani zбочeńcami, cudakami, mutantami itp. Jednak słysząc, jak wyszydza Tytanie, moją Tytanie, a przede wszystkim jak deprecjonuje grę, chwytam pierwszą broń, która nawija mi się pod rękę (miecz z długą klingą), i staję do walki.

- Ja ci dam zabawę, potworze.

Nowicjusze niepewnie cofają się o krok. Furia popycha mnie do działania, a w głowie kołacze tylko jedna myśl: ten chłopak - gówniarz jeden! - obraził Tytanie, wojownika mającego na koncie wiele udanych kampanii, kobietę o legendarnym wdzięku i urodzie. Ta zniewaga, wymierzona w nas wszystkich, nie może ująć mu płazem.

- Czas start! - ryczę. - Wojownicy, do mnie!

Katharsis. Nigdy dotąd nie wpadłem w szal; niektórzy gracze latami nie ulegają nadmiernym emocjom, choć najlepszym zdarzyło się to przynajmniej raz, zwykle w obliczu szczególnych przeciwności losu. Pamiętam incydent z udziałem Pajaka w pubie w Nottingham, jeszcze w czasach, kiedy ludzie wyśmiewali go za plecami. Nieraz bezskutecznie próbowałem sobie wyobrazić, co się wtedy czuje: gwałtowny przypływ uczuć, euforię, wyzwolenie. Teraz już wiem. Gdy przyjaciele na mój znak ruszają do boju, zaczynam rozumieć, że naszym rzeczywistym wrogiem nie jest ten chłopiec, niewychowany nowicjusz o niewyparzonym języku. Nasz wróg jest nieskończenie bardziej niebezpieczny, wstrętny i odrażający; to wielogłowa bestia o licznych twarzach, naznaczonych identycznym wyrazem młodocianej pogardy i bezmyślnego zadufania. Przez trzydzieści lat tropiliśmy naszego adwersarza, nie bardzo wiedząc, na co właściwie polujemy; przez trzydzieści lat wybieraliśmy drugorzędne alternatywy, podczas gdy prawdziwa zwierzyna znajdowała się na wyciągnięcie ręki.

Pozostali też to czują. Oburącz chwytają broń, by raz jeszcze walczyć w jednym szeregu - Litso atakuje oszczepem zastępy wroga, Pajak dzierży dwa miecze, krew cieknie mu z rany na ramieniu. Philbert pada, ale go pomścimy; dostrzegam w przelocie skrzywioną twarz Tytanii wykrzykującej zaklęcia, po czym ruszam na przeciwnika.

Veldarron pada; dookoła słyszę wrzaski potworów atakujących kijami, mieczami i toporami. Widzę Matta z zakrwawioną twarzą; przejrzałem go, przejrzałem ich wszystkich. Oto wróg nie do pokonania, szydercza armia młodych, wielogłowa i niezniszczalna.

Beltane pada, Snorri jest otoczony. Rąbiemy na prawo i lewo, głusi na jęki i błagania potworów. Ciosy walą się na moje plecy, ale prawie ich nie czuję. Jupitus pada, potem Tytania, moja Tytania. Rozszalałe serce mało mi nie pęka.

Zostaliśmy tylko ja i Pająk. Wymieniamy spojrzenia ponad placem boju; na jego twarzy dostrzegam nieznan mi dotąd wyraz czystej i niekłamanej radości. Przez chwilę przytrzymuje mój wzrok. Ja też to czuję: ogarnia mnie radość bliska ekstazie. Nasi towarzysze polegli. Wróg triumfuje. Ale my jesteśmy wojownikami, Pająk i ja. Dobry dzień na śmierć.

- Bez litości! - krzyczę ile sił w płucach i z rozkoszą patrzę na umykające niedobitki wroga. Tylko niecierpliwy nowicjusz trwa na posterunku. Coś do mnie mówi, ale jestem głuchy na wszystko. Na twarzy chłopaka maluje się niepewność i niedowierzenie, u jego stóp wije się coś miękkiego i zawodzącego.

Razem z Pajakiem atakujemy go jednocześnie, kłując gdzie popadnie. Ostatni przeciwnik pada trupem. Odzyskując jasność spojrzenia, widzę krew na porzuconym mieczu Pajaka, czarną w srebrzystym blasku księżyca, i przypominam sobie broń, którą nosi dla większego efektu i na specjalne okazje, tuż obok broni wykonanej z zachowaniem wszelkich zasad bezpieczeństwa.

Plac bitewny jest usłany ciałami poległych, naszych i ich. Brakuje tylko jednej osoby. Czuję, że tak będzie. Słyszę cichy szelest w poszyciu; wiem, że nie pozostawi za sobą żadnego śladu. Tytania leży na boku, jest oszołomiona, ale cała. Pomagam jej wstać, czując przy tym dreszcz zakazanej radości. Nie licząc zadrapania na policzku, Beltane również nie doznał większych obrażeń; chwilę potem Litso wychodzi zza krzaka, zalękniony i pełen ulgi. Jedyne Philbert nie przeżył: jego znękanе serce nie wytrzymało napięcia. Veldarron mówi, że poległ w bitwie, i tylko to się liczy.

- A potwory? - pyta Tytania, spoglądając na ciała. - Co za bajzel. Czy Pająk nie mógł zachować kilku na następny raz?

- Daj spokój, kochanie - mówię. - To była wspaniała bi twa. Zresztą na uniwerku zwerbujemy kolejnych ochotników.

Nawiasem mówiąc, ostatnio powstał tam klub miłośników fantasy; będą w sam raz. W tydzień nadrobię straty. Spójrz na mnie, Tytanio. - Czule wycieram z jej policzka smugę krwi. - Czy kiedykolwiek cię zawiodłem? No, powiedz.

Waha się.

- Naturalnie, że nie, Smithy - odpowiada. - Chodzi o to...

- Ponownie przenosi wzrok na martwe potwory i marszczy brwi. - Chodzi o to, że czasami obawiam się, co pomyślą in ni. No wiesz, zwykli ludzie. Pospółstwo.

Patrzę na nią ze zdziwieniem.

- Pospółstwo? Kogo obchodzi, co oni myślą?

Uśmiecha się z przymusem.

- Pewnie robię się stara i przeczulona - kwituje.

- Gdzież tam, Tytanio - mówię nieśmiało. - Jesteś piękna.

Jej uśmiech nabiera pewności siebie. Delikatnie całuje mnie w kącik ust.

-To miłe z twojej strony, Smithy.

Cesarzowi, co cesarskie. Gdy była w pubie, jej włosy nasiąkły zapachem dymu; usta mają słonawy posmak. Całuję ją na oczach Veldarrona i pozostałych, którzy spoglądają na nas z zawiścią i zdumieniem.

- I co teraz? - Snorri patrzy markotnie na ciała powalonych potworów.

- Posprzątam. - To moje zadanie, jestem sędzią.

Snorri nie wygląda na przekonanego.

- Cholerny Pająk chyba trochę przesadził, co? Wiadomo, że nowicjusze są na odstrzał, ale ze świecą dziś szukać stałych graczy.

- Pozostaw to mnie - odpowiadam. - Zasięgnę języka.

Następuje chwila krępującej ciszy.

- Pewnie teraz będziesz chciał walczyć w nowej roli - mówi wreszcie Tytania. - Przyda nam się wojownik, skoro zabrakło Philberta. Dużo ćwiczyłeś, prawda? Nieźle władasz mieczem.

To wzruszająca (i kusząca) propozycja. Kiedy rozważam wszystkie za i przeciw, wśród moich przyjaciół narasta napięcie. Nagle ogarnia mnie tkliwość na widok ich znajomych twarzy, własnoręcznie uszytych kostiumów, zbroi z podkładek hydraulicznych, zmarszczek oraz niezłomnej wiary. Co by zrobili, gdyby Smithy nie trzymał ręki na pulsie? Bycie potworem to wątpliwa gratka, lecz wymaga zaangażowania, zaangażowania i rozwagi. Pająka nie byłoby na to stać, podobnie jak pozostałych. Tytania czeka na moją decyzję z pobladałą, zaciętą twarzą. Wiem, ile kosztowała ją ta propozycja, ale znam swoje miejsce.

- Raczej nie - odpowiadam, potrząsając głową. - Zostanę przy tym, w czym jestem najlepszy.

Napięcie ustępuje.

- Dobry stary Smithy - mówi Veldarron, poklepując mnie po plecach.

-Tak. Dobry stary Smithy.

Spoglądam na zebranych.

- Spotykamy się w przyszłą sobotę?

Kiwają głowami.

- Jasne.

-W tym samym miejscu, o tej samej porze?

- Czemu nie.

Jak wspomniałem, bywa fantastycznie. Kiedy odprowadzam wzrokiem przyjaciół kierujących się w stronę drzew, ogarnia mnie niezmacony, niemal magiczny spokój. Wróg został pokonany, przynajmniej tym razem. Kto wie, co przyniesie kolejny tydzień? Bez względu na moje skrupulatne metody usuwania ciał, są nikłe szanse, że zaginięcie dziewięciu studentów długo pozostanie bez echa. Możliwe, że za tydzień (lub dwa) trzeba będzie poszukać nowych terenów łowieckich. Cóż, przyjemność, płynąca z tego zajęcia, bierze się po części z niepewności. Wiem jednak, że cokolwiek zdarzy się w bliżej nieokreślonej przyszłości, wspólnie stawimy temu czoło - Veldarron, Pająk, Tytania i ja. Zwykli ludzie, którzy wiodą nudne, pospolite, urojone życie, nigdy tego nie zrozumieją, uświadamiam sobie w nagłym przyplywie współczucia. I kiedy wyciągam łopatę i kopię, ku własnemu zdumieniu zaczynam pogwizdywać.

I ty możesz być dziewczyną CandyKiss!

Pomysł na tę przekorną opowiastkę zrodził się podczas zakupów z córką. W sklepie odzieżowym natknęliśmy się na dziewczynkę w kusej bluzeczce z napisem CANDYKISS [Candy kiss (ang.) - słodki całus. (Przyp. tłum.)]. DLA MAŁEJ MISS - SEKSOWNEJ, ALE NIEŚMIAŁEJ. Miała nie więcej niż pięć lat.

Jej pełne nazwisko brzmi Dolores CandyKiss. W skrócie Dolly, Lolly lub Lo. Nadanie imienia typowej przedstawicielce grupy docelowej ma wiele plusów: daje poczucie, że projektujesz dla prawdziwej osoby, a nie anonimowego konsumenta bez marzeń i osobowości. Założenie CandyKiss (naszego domu mody) opiera się właśnie na osobowości. Tej idei zawdzięczam popularność mojej serii (projektuję dla Dolly, najmłodszej spośród siostr CandyKiss); ona też sprawia, że klientki utożsamiają się z Dolly, kochają ją, a nawet jej odrobinę zazdroszczą. Oczywiście, jestem tylko jednym z projektantów, współtwórcą linii Letnie Skandale Dolly, lecz doskonale znam tę dziewczynkę i darzę ją głębokim uczuciem.

Jej wygląd nie jest jasno określony. Może być blondynką, ale równie dobrze brunetką lub rudowłosą. Staramy się nie narzucać określonej wizji, podkreślając, że każda dziewczyna, bez względu na wzrost, tuszę i karnację, znajdzie u nas coś dla siebie. Skupiamy się raczej na trybie życia i osobowości: te dwa elementy sprawiły, że CandyKiss stała się wiodącą marką w modzie młodzieżowej tego dziesięciolecia.

Dolly to niezależna, energiczna i nowoczesna panienka. Wie, czego chce, i nie boi się o to prosić, co odzwierciedlają nasze najnowsze letnie modele. Kuse topy, seksowne hasła i śmiałe kontrasty (koronka i skóra, guma i szyfon) w połączeniu ze spódniczkami z kilku rzędów falban oraz szortami składają się na obraz kuszącego urban retro.

Dolly nie boi się własnych uczuć - w tej chwili syrena, a w następnej niegrzeczna dziewczynka; strojem wyraża swoje wewnętrzne ja. Głębokie dekolty nadają nowoczesny charakter bordowej skórce lub złotej kolczudze, a srebrne kozaki żartobliwie nawiązują do estetyki science fiction. Dolly ma poczucie humoru, a jakże. Lubi oryginalne zestawienia (krótka biała sukienka z futrzanym obszyciem, do tego zielone botki z aplikacją w kształcie ust) oraz ironiczne hasła postfeministyczne (z dumą informuję, że koszulki ze sloganem mojego własnego pomysłu, PRZELEĆ MNIE, PARSZYWY SUKINSYNU, rozeszły się w ciągu jednego dnia). Na przyjęciach preferuje odważny szyk wyzwolonej królowej dyskotek, czyli ściągniętą talię, haftowany džins i obcisłe gumowe wdzianka, blad różowe, czarne bądź pomarańczowe.

Oczywiście usłyszeliśmy liczne głosy krytyki. Jednakże świat mody zawsze był buntowniczy: dzisiejsza awangarda to przecież klasyka jutra. Popularność ubrań Dolly mówi sama za siebie - zeszłoroczne minisukienki z różowej gumy (wspomnę, że to jeden z moich projektów) już zyskały wartość kolekcjonerską, a pomysłowe dodatki: torebki, buty, apaszki oraz majtki z logo CandyKiss (różowe usta zaciśnięte na czerwonym lizaku), miały entuzjastyczne recenzje w prasie dla dziewcząt.

Mimo to odbieram krytykę naszego etosu jako osobistą zniewagę. „Groteskowa karykatura Doiły, maskotki Candy - Kiss (jak podaje wrześnieowy „Guardian”) to prawdziwa zgroza. Plastikowa, cyniczna mała damulka w markowych ciuszkach i zdefasonowanych butach uosabia to, co najgorsze, w kondycji współczesnej młodzieży: utratę niewinności, piękna, a przede wszystkim godności”.

To boli. Naprawdę boli. Kocham moją Dolly. Kocham wszystkie dziewczęta CandyKiss i dokładam wszelkich starań, aby za pomocą moich projektów mogły wyrazić siebie. Świat dorosłych zawsze pogardza gustami młodszego pokolenia; czuje się zagrożony, seksualnie i emocjonalnie. Napastliwe docinki pod adresem mojej biednej Dolly i jej sióstr uświadamiają skalę zjawiska. Jasne, ich zdaniem jest za młoda. Na widok jej niezwykłych ubrań oburzony głos dorosłości krzyczy: „Masz natychmiast się przebrać!”. Głos zawiści, powracający z pokolenia na pokolenie.

Jednak CandyKiss słucha klientki, a nie jej rodziców. Znamy jej frustracje, potrzebę buntu. Dlatego właśnie linia Letnie Skandale (moje dziecko, z którego jestem szczególnie dumna) zrewolucjonizuje rynek odzieżowy na całym świecie. Stringi z naszym logo, w kolorze limy lub fuksji, koszulki z nowym sloganem SEKSOWNA, ALE NIEŚMIAŁA, odlotowe kozaczki oraz sprytne kombinezony z klasycznym deseniem CandyKiss będą wiodącymi wyrobami w kolekcji, która nareszcie zapewni mi miejsce w pierwszej lidze. Bowiem Dolly (bez względu na moje przywiązanie do niej) to dopiero początek. Działy jej sióstr (Lolly i Lo) podlegają znacznie łagodniejszym restrykcjom co do modeli i rozmiarów, jeśli więc awansuję do Lolly - albo nawet Lo - dopiero tam rozwinę skrzydła. Dolly to świetna zabawa i prawdziwe wyzwanie, lecz uważam, że ktoś z moim talentem marnuje się w dziale odzieży niemowlęcej. Wpuśćcie mnie do działu dla dziesięciolatek, a wtedy pokażę, na co mnie stać.

Mała syrenka

Pomysł na to opowiadanie przyszedł mi podczas ćwiczeń w sali gimnastycznej. Znam przyjemniejsze miejsca.

Każdy wtorek jest w ośrodku rekreacji Dniem Dziwoląga. Podejrzewam, że dyrekcja woli nie drażnić stałych klientów: ludzie przychodzą tu, żeby ćwiczyć i oglądać atrakcyjne ciała, a nie patrzeć na tabun kalek, mongołów i brzydali, taplających się w basenie. Dlatego wyznaczono nam specjalny dzień, nasz osobisty dzień odnowy biologicznej, kiedy (w godzinach między jedenastą a drugą po południu) możemy się zataczać i ślinić do woli, nie zakłócając spokoju sprawnym bywalcom ośrodka.

Nie myślcie, że przemawia przeze mnie gorycz. Do diabła, sam też wolałbym na siebie nie patrzeć. Rozdęta klatka piersiowa, małe dyndające nóżki i blizny wprost nie do opisania, a wszystko to dzięki uprzejmości ciężarówki dostawczej na obrzeżach Manchesteru. Kierowca z uchem przyklepionym do telefonu komórkowego i moje kawasaki z silnikiem suszarki, od którego musieli mnie odrywać szczypcami. Możecie to sobie wyobrazić. I tak pozostawiłem tam część siebie - a dokładnie dwie części, ale nie będę wchodzić w szczegóły, żeby nie urazić pań. Powiem tylko, że owego dnia stałem się istnym cudakiem, choć nadal mogę pływać, poruszając ramionami, co przerasta możliwości niektórych członków naszej wtorkowej gromadki, dziękuję bardzo.

O tak, we wtorki zwieramy szyki. Rozchwiana armia monstrów kurczowo uczepionych życia. Mam swój wózek i stażystkę, która go popycha. Większość pozostałych również przychodzi z opiekunami, czasem z krewnymi (ci są najgorsi: szczerze się troszczą; to boli), przeważnie jednak z fachowcami o szerokich, profesjonalnych uśmiechach i bolących plecach, doświadczonymi w obsłudze wózków. To dobrzy ludzie, choć widzę, jak na nas patrzą - w przeciwieństwie do co poniektórych pokurczów jestem zupełnie *composmentis* [*Composmentis* (łac.) - w pełni władz umysłowych. (Przyp. tłum.)] tudzież *kompost mentis*, jak mawiał mój wiekowy dziadek. Nie wiem, czy to skaza czy błogosławieństwo. Ten na Górze ma ciekawy sposób rozdzielania swoich łask. Osobiście wolałbym, żeby dał sobie spokój.

Ironia losu, nieprawdaż? Dawniej lubiłem dziewczęta, które zresztą gorliwie zabiegały o moją uwagę, i choć raczej stroniłem od siłowni, obecnie wiele bym dał, by wylądować wśród spoconych ciał, które powabnie prężyły się i rozciągały przy przeszklonej ścianie z widokiem na basen. A tak pozostaje mi tylko widok innych połamańców, choć dysponuję za

to osobistym miejscem do parkowania i osobnym wejściem (od tyłu) dla ich oraz własnej wygody.

Poznałem bliżej paru z nich. To nieuniknione, jeśli ludzie przychodzą tu co tydzień i przesiadują razem w brodziku do hydroterapii albo w basenie. Poznajesz ich z widzenia, choć niewielu podaje swoje imiona; dowiadujesz się, z którymi nie pływać (wierzcie mi, żółta smużka w wodzie mówi sama za siebie), z którymi możesz porozmawiać, a którzy siedzą tylko na krawędzi basenu i płaczą.

Niektórzy są bez nóg, podobnie jak ja: ofiary wypadków, wybryki natury, osoby po amputacji. Ci ostatni mają szczęście, czasami dostają protezy do chodzenia; większość przyzwyczajone radzi sobie w pływaniu. Jeden gość ma aż trzy nogi, wszystkie pozbawione kości i szczątkowe, które zwisają mu z miednicy jak makabryczna spódnica. Nazywam go Mątwą: kiedy płynie, nogi telepią się za nim, podrygując na wodzie. Co za widok.

Przychodzą też pensjonariusze domu starców Meadowbank. Trafili tu w wyniku chybionej decyzji jakiegoś biuro - kretyna, który uznał, że terapia wodna wyjdzie im na dobre. Garbate starsze panie o gąbczastych ciałach ukrytych pod workowatymi kostiumami, starsi panowie o przekrwionych, kaprawych oczach, z włosami sterczącymi z nosa. Większość to przypadki Alzheimera; niektórzy płaczą, kiedy się ich opuszcza do wody, inni korzystają z okazji, żeby uszczypnąć pielęgniarkę (oto przykład żądy prawdziwej kompost mentis) albo burczą obraźliwe uwagi pod adresem niepełnosprawnych. Nie przepadam za nimi. Nie odzywają się do mnie, sprawiając wrażenie eksponatów z galerii Damiana Hirsta - beznadziejne, smętne ochłapy szarego mięsa zatopionego w formalinie.

Jest też Liszaj. Nie pytajcie o szczegóły. To mężczyzna pełnosprawny fizycznie, lecz tak szpetny, że w wyniku licznych skarg zwykłych użytkowników basenu relegowano go na wtorki, oczywiście ze znacznym upustem. Wygląda na najbardziej zgorzkniałego z nas wszystkich, chociaż jego choroba jest tylko powierzchowna i zupełnie nieza - raźliwa. Ostentacyjnie nie zwraca na nas uwagi, nurkuje z potężnym chlupnięciem i popisuje się kombinacją akrobatycznych (i przeważnie bezcelowych) wymachów nóg, jakby chciał zmanifestować, że znalazł się tu przypadkiem.

Jest również Jessie. Mam do niej słabość, pewnie z uwagi na jej młody wiek. To dziewczyna z zespołem Downa (kiedyś nazywaliśmy takie osoby mongołami), trochę niedorozwinięta, ale słodka i ładniutka. Rozmawia ze mną, o ile używam prostych zdań i dużo się uśmiecham.

No i wreszcie Płetwa. Rozumiecie, nie ja wymyśliłem to przezwisko, przyłgnęło do niej od urodzenia. Jest młoda, dwadzieścia pięć, góra trzydzieści lat. Rude włosy i przejrzysta cera nadawałyby jej wygląd prerafaelickiej piękności, gdyby miała wszystko na swoim miejscu. Oczywiście nie ma - dlatego przychodzi we wtorki - a mimo to jest inna niż pozostali, a raczej była.

Przede wszystkim umiała pływać. I to jak. Większość z nas próbuje; sam jestem niezły - lepszy od Liszaja, mimo jego podrygów - ale Płetwa to urodzona pływaczka. Nie ma rąk ani nóg, tylko cienkie kikuty z paznokciami i zrogowaciałe podeszwy. Na lądzie nie miała z nich pożytku; jest za duża, by mogły utrzymać jej ciężar, ale w wodzie to bez znaczenia. Woda stanowiła jej żywioł, kikuty zaś - w innych okolicznościach dziwne i jakby nie na miejscu - wirowały jak skrzydła ptaka. Pomimo znacznej tuszy zwinnie zsuwała się do wody i tyle ją widzieliśmy.

Możecie mi nie wierzyć, ale był czas, kiedy Płetwa pobijała z kretesem sprawnych pływaków. Pruła jak strzała; nawet delfin z trudem wytrzymałby jej tempo. Liszaj darzył ją głęboką nienawiścią, gdyż w wodzie sam wyglądał przy niej jak kaleka, co nie dawało mu spokoju, bo chciał za wszelką cenę pokazać, że nie dorastamy mu do pięt. Mogłem mu powiedzieć, że nie ma szans z Płetwą, która z uśmiechem pokonywała długości, a rude włosy sunęły za nią niczym warkocz komety. Pozostali trzymali się z daleka; dla kogoś, komu pozostało w życiu równie mało przyjemności jak mnie, był to wspaniały widok. Ponieważ jeśli ktokolwiek z nas mógł pokazać figę Temu na Górze, była to właśnie Płetwa, ze swoim delfinim uśmiechem, obłymi kształtami, wdzięcznie i niezmordowanie pokonująca długości turkusowego basenu.

Lecz Płetwa skrywała pewną tajemnicę. Odgadłem to pierwszy, gdyż obserwowałem ją najuważniej, podziwiając jej grację oraz niezachwiany hart i pogodę ducha. Na wózku wyglądała po prostu jak kolejna pokraka, lecz w wodzie czuła się jak u siebie w domu. Człowiek był prawie skłonny uwierzyć, że to tamci - opiekunowie i pielęgniarki, ze swoją litością i maskowaną pogardą - stanowili wybryk natury, podczas gdy Płetwa reprezentowała nową i cudowną linię ewolucji, prowadzącą nas z powrotem do morza, którego, po prawdzie, nigdy nie powinniśmy byli opuszczać.

Wyczytałem to w jej oczach. Nie od razu, dopiero gdy ich rywalizacja przybrała na sile i stała się bardziej agresywna. Początkowo wyglądało to na grę. Płetwa traktuje wszystko jak zabawę - ale taką, której stawka jest tajemnicza i niewypowiedziana, a między zawodnikami tworzy się groźne napięcie.

Jej rywalem był, oczywiście, Liszaj. Od szyi w górę wyglądał jako tako, a ciało, choć guzowate i podobne do worka z kartoflami, miał jędrne i muskularne. Może to ją pociągało, a może jego furia, gorzka demonstracja rzekomej wyższości oraz fakt, że pragnął prześcignąć własną niedoskonałość i dobić do brzegu normalności. Mogłem mu powiedzieć, że to na nic, ale ten typ nigdy nie słucha. I tak, im dłużej na nich patrzyłem, tym bardziej utwierdzałem się w przekonaniu, że między Płetwą a Liszajem coś się dzieje, przepływa jak rtęć, jak trucizna.

Zacznijmy od tego, że jej dokuczał. To było niemile, a co więcej, sprzeczne z naszymi zasadami. Nie myślcie sobie, że jako banda cudaków nie mamy zasad; „żadnych wyzwisk” jest chyba najważniejszą z nich. Lecz Liszaj nie należał do naszego grona, w związku z czym nie obowiązywały go żadne reguły. I tak zaczęły się wyzwiska, nie tylko zwyczajowe „Płetwa”, ale inne, okrutniejsze. Była czuła na punkcie swojej wagi, co natychmiast wykorzystał, nazywając ją kluchą, wielorybem, słonią itp.

Dokuczał jej z powodu włosów, długich, rudych i prześlicznych, oraz zwinnych kikutów stóp podkutych zrogowaciała podeszwą. Wymyślił sobie, że śmierdzi (co było nieprawdą) i na jej widok zatykał nos, szydząc z uciechą: „Hej, czuję rybę. Nie sądzicie, że tu jedzie tranem?”. A delfini uśmiech Płetwy gasł, szarobłękitne oczy powlekały się mgiełką i pływała nie dla przyjemności, ale żeby zagłuszyć ból wywołany słowami Liszaja.

Dreczę ją też z powodu kalekich kończyn.

- Spójrzcie na to - oznajmiał dźwięcznym głosem. - Popatrzcie na tego wieloryba. Co to w ogóle ma być? Kobieta? Ryba? Czy ktoś może mi powiedzieć?

Raz czy dwa próbowałem przemówić mu do rozsądku.

- Odczep się od niej, stary - rzekłem, kiedy zaczął kolejną tyradę. - Na miłość boską, daj jej spokój.

Spojrzał na mnie i wyszczerzył zęby.

- Zjeżdżaj - odparł. - A ty co, jej brat? - I odpłynął, głośno rozchlapując wodę, bo jego zdaniem tak należało. Tym sposobem mógł zaprezentować swoje nogi - chude, lecz nietknięte chorobą - i opryskać nieszczęśników, którzy mieli pecha dzielić z nim wtorkowy pobyt na basenie.

Pewnego dnia zagadnąłem Płetwę, kiedy wszyscy siedzieliśmy w brodziku - oprócz Liszaja, który rzucał się w wodzie jakby w nadziei, że w końcu wyskoczy ze skóry i na powrót dołączy do ludzkości.

- Nie przejmuj się, mała - powiedziałem. - Jest okropny i nikt go nie lubi. - To była prawda; Liszaj zalał za skórę każdemu, nawet Jessie, słodkiej jak kotek bez pazurów, której nikt, nawet najbardziej złośliwe staruchy, nie miał by serca dokuczać.

- To nie jego wina - odparła łagodnie, spoglądając w stronę basenu. - On cierpi. Tylko popatrz, jak pływa. Skrzywdzono go; potrzebuje pomocy. Szkoda tylko, że sam o tym nie wie.

- Wszyscy zostaliśmy pokrzywdzeni przez los - odpowiedziałem cierpko - a mimo to nie skaczemy sobie do oczu. Powiedz, co ty mu zrobiłaś? Jakie ma prawo cię obrażać? - Ale Płetwa obdarzyła mnie tylko delfinim uśmiechem i nadal patrzyła na samotnego pływaka, który młócił wodę rękami i nogami, łączywie chwytając oddech. Wówczas zrozumiałem, że Ten na Górze jednak dopiął swego, ponieważ Płetwa zakochała się po uszy w Liszaju - wprost nie mogła oderwać od niego oczu - co wstrząsnęło mną nie do opisania. Jak to możliwe, rozmyślałem, podczas gdy woda bulgotała wokół moich niezdatnych do niczego nóg. Płetwa, zagubione ogniwo między nami a lepszym, bardziej zaawansowanym gatunkiem, i Liszaj - Liszaj, na miłość boską?

- O nie - mruknąłem, bardziej do siebie niż do niej. - Tylko nie on. - Ponieważ gdyby się dowiedział, zgnębiłby ją doszczętnie, dosłownie wdeptał w ziemię, gdyż w jego sercu nie było miejsca ani na współczucie, ani na miłość. Nie mam pojęcia, na co liczyła - a niewątpliwie na coś liczyła, widziałem to gołym okiem - była jednak tak słodka (poza tym sam byłem chyba trochę zakochany), że miałem w jej imieniu nadzieję, iż to szaleństwo wkrótce minie, Liszaj znajdzie sobie inny basen (albo nawet wyzdrowieje), a ona przestanie tak na niego patrzeć. Nikt bowiem nie umie gorzej dochować tajemnicy niż zakochana kobieta, ten sekret zaś nigdy nie powinien ujrzeć światła dziennego.

Mniej więcej w tamtym okresie przestałem na pewien czas odwiedzać ośrodek. Wypadek częściowo zrujnował mi jedno płuco, co zaowocowało niezwykłą podatnością na infekcje. Może za długo siedziałem na basenie albo wyklął się kolejny szczep wirusa grypy; tak czy inaczej zapalenie płuc przykuło mnie do łóżka na sześć tygodni i zmusiło do rekonwalescencji przez kolejne trzy.

Brakowało mi ośrodka, a ponieważ wpatrywanie się w mokrą plamę na szpitalnym suficie nie należy do szczególnie pasjonujących zajęć, siłą rzeczy oddałem się rozmyśleniom na temat Płetwy i Liszaja. Byłem ciekaw, co u nich słychać i na czyją stronę przechyliła się szala zwycięstwa.

Nie robiłem tego bez przerwy (przez większość czasu kaszlałem ile wlezie), kiedy jednak choroba nieco ustąpiła, myśl o Płetwie zaczęła budzić we mnie rosnący niepokój. Wspominałem dziwny wyraz jej oczu oraz spojrzenie Liszaja, który obserwował dziewczynę jak rekin szukający miękkiego podbrzusza delfina upatrzonego na ofiarę. Przeczucie, że przyjaciółce grozi coś złego, stopniowo przerodziło się w niezbitą pewność.

Moja opiekunka - stażystka o imieniu Sophie - to poczciwa dziewczyna. Któregoś dnia przedstawiłem jej swoje obawy; dla świętego spokoju zgodziła się zajrzeć do ośrodka i zdać mi relację z bieżących wydarzeń. Przyniosła niepokojące wieści. Płetwa zniknęła. Mątwą - facet z trzema nogami - twierdził, że nie widziano jej od kilku tygodni, a Liszaj panoszył się jak kogut w kurniku, królując w basenie niczym pokraczny Neptun wśród kalekich dworzan.

Najgorsze zaś było to, dodał Mątwą, że przed zniknięciem Płetwy między nią a Liszajem wytworzyła się swoista zażyłość. Bynajmniej nie w sensie pozytywnym - nadal wyzywał ją i dręczył jak poprzednio - po prostu zaczęli chować się po kątach i przesiadywali w brodziku do hydroterapii (czego Liszaj nigdy wcześniej nie robił) lub w saunie. „Para jak z samowara”, prychnął z uśmiechem Mątwą, choć wyglądało na to, że nie łączy ich nic prócz rozmowy prowadzonej cichymi, żarliwymi głosami.

- Pewnie twoi przyjaciele znaleźli wspólny język - pocieszyła mnie Sophie podczas wieczornej kąpieli. Mimo to nie byłem pewny; Sophie nie widziała drapieżnego wzroku Liszaja ani tęsknoty w oczach Płetwy. Poza tym była młoda, ładna i miała wszystko na swoim miejscu, dlatego nie mogła zrozumieć sił, które nami targały.

Osoby zdrowe w dobrej wierze robią z nas świętych; zakładają, że cierpliwością i zrozumieniem wykroczyliśmy poza własne kalectwo, chwalą nasze dążenie do normalności i zachwycają się miernymi osiągnięciami. Nie podejrzewają, że kaleka może być równie bezwzględny i głupi tudzież kłamliwy i nikczemny jak człowiek o zdrowych rękach, nogach i sercu.

Tak właśnie było z Liszajem. Kilka tygodni później poznałem prawdę, a przynajmniej znaczną jej część. Nie ma istoty równie ślepej ani bezbronnej jak zakochana kaleka; Liszaj musiał odgadnąć tajemnicę Płetwy i wykorzystał to na swój użytek.

Ona sama nigdy o tym nie mówi; właściwie w ogóle nie mówi, lecz widziałem, jak tęsknie patrzy na turkusową wodę ze swego specjalnie dostosowanego wózka. Protezy na nogach i rękach nadal sprawiają jej ogromny ból. Opiekun Płetwy utrzymuje, że tak już zostanie, gdyż kości, do których dołączono stalowe słupki podtrzymujące protezy, są nienaturalnie miękkie, bardziej jak rybia chrząstka niż ludzka tkanka. Kikuty - owe dziwnie delikatne skrawki ciała z paznokciami i zrogowaciałymi podeszwami - zniknęły, lecz pomimo skomplikowanych zabiegów chirurgicznych lekarze dają dziewczynie szansę na jedynie minimalną sprawność. Jej waga stanowi tylko częściowy problem; czynnikiem najistotniejszym jest niezwykle budowa, nienaturalna krzywizna kręgosłupa i łączenia szczytkowych kończyn (z których większą część usunięto, żeby przygotować miejsce pod

protezy). A jednak ma, czego chciała: nogi i ramiona różowe jak u lalki oraz balkonik, na którym sunie bolesnymi, orientalnymi kroczkami na krawędź basenu, gdzie godzinami obserwuje niezdarne płąsy współtowarzyszy. I Liszaja, gładkiego i nijakiego, który jak rekin pruje wodę, nie oglądając się na nią ani na kogokolwiek innego.

Płetwa naturalnie nie może już pływać, choć czasem wchodzi do brodzika. Trzy pielęgniarki lokują dziewczynę w wodzie; muszą to robić bardzo ostrożnie, gdyż operacja trwale zaburzyła jej zmysł równowagi. Pozostawiona bez opieki dziewczyna może się utopić.

Dlaczego to zrobiła, nie wie nikt. Liszaj nigdy nie zabiera głosu w tej sprawie, choć raz czy dwa widziałem, jak na nią patrzy. A któż może wiedzieć, jakie myśli kryją się w głowie dziewczyny, nieruchomej w plastikowo-metalowej kołysce wózka? Któż wie, co obiecał jej w zamian za duszę?

Mogę się jedynie domyślać. Nieodparcie nasuwa mi się historia opowiadana przez dziadka w czasach, kiedy wszyscy byliśmy młodzi, wolni i kompost mentis; historia o małej syrence, która tak bardzo zakochała się w ludzkim księciu, że była skłonna poświęcić wszystko, byle tylko znaleźć się blisko niego. A zatem (Ten na Górze lubi takie paradoksy) zawarła układ, w myśl którego oddała swój syreni głos i prześliczny rybi ogon w zamian za stopy - chociaż każdy krok kosztował ją niewypowiedziane męczarnie, straciła głos i nie mogła poskarżyć się ani słowem - po czym opuściła bezpieczne zacisze swego żywiołu i wyszła na ląd, aby odnaleźć ukochanego.

Lecz miłość nie obejdzie się bez ofiar. Książę znalazł kobietę swego życia, gładkolicą księżniczkę ziemskiego królestwa, i syrenka umarła w samotności, okaleczona i niema, niezdolna do powrotu do rodziny ani nawet do płaczu.

Co jej obiecał? Jak to wyraził? Powtarzam, mogę się wyłącznie domyślać. Wiem tylko, że wtorki nie są już takie same. Uleciała radość i magiczny nastrój; ot, parada brzydali. I chociaż woda nadal jest turkusowa, a w pogodne dni słońce prześwieca przez przeszkloną ścianę niczym wyraz błogosławieństwa bożego, nie postrzegamy tego tak jak kiedyś. Ponieważ na tym basenie Płetwa nie była równie dobra jak zdrowi ludzie; była od nich lepsza, lepsza o głowę, będąc przy tym jedną z nas.

Czasem tylko, kiedy noce robią się dłuższe i zimniejsze, a moje płuca nie radzą sobie z przetwarzaniem powietrza, zastanawiam się, czy istotnie tak było. I choć nie należę do poszukiwaczy prawd wiekuistych, odnoszę wrażenie, że Ten na Górze rozmyślnie zniekształcił matrycę Nas na Dole, umieszczając w niej coś w rodzaju czujnika reagującego na przejaw samowoli, takiej jak nadmierna radość lub nadzieja. Zagrzebawszy go dość

głęboko, aby uniemożliwić jakąkolwiek interwencję z zewnątrz, pogrążył się w oczekiwaniu, aż świat obierze własny kurs. I czeka, uśmiechnięty jak rekin, z tajnym zamysłem w głowie.

Każdy wtorek jest w ośrodku rekreacji Dniem Dziwoląga. Lecz my właściwie przestaliśmy korzystać z basenu. Siedzimy, obserwując w milczeniu Liszaja. Pływa tam i z powrotem, obłąkańczo machając kończynami i rozchlapując wodę. W ciągu kilku ostatnich tygodni stan jego skóry uległ znacznej poprawie; dyrekcja poinformowała go nawet, że nie musi już przychodzić we wtorki. On jednak przychodzi nadal, jakby mógł przez to udowodnić coś sobie i nam. Milczy. Lecz czasem w akwariowej ciszy basenu, wśród pluskania i oddechów samotnego pływaka słyszę coś, co przypomina szloch, a za barwionymi szklami okularów pływackich dostrzegam strużki wody, które mogą, ale nie muszą być skroploną parą. Co nie znaczy, że to ma jakiegokolwiek znaczenie; zgodnie ze słowami Płetwy Liszaj nosi w sobie skazę, defekt, który nie nadaje się do naprawy.

W każdy wtorek pływa w pustym basenie, czerwony na twarzy, nogi młóć wodę, a płuca proszą o zmiłowanie. Ale już nigdy jej nie dogoni. I w każdy wtorek o godzinie drugiej po południu zgrupowani na wózkach niczym pluton egzekucyjny, patrzymy, jak wychodzi z wody. Ci z nas, którzy są jeszcze kompost mentis, spoglądają nań, mieląc w kółko jedno i to samo słowo; pozostali tylko patrzą. Mija nas z nieznacznie pochyloną głową, uparcie patrząc przed siebie, a długie, chude nogi niosą go coraz dalej od basenu, w kierunku pryszniców.

Nikt nie wie, po co przychodzi ani co myśli, powracając do świata rzeczywistego. Może z wyjątkiem Płetwy, ale ona nie powie. Obserwuje go przez rudą woalkę włosów (cudownych włosów, które w innym życiu mogły należeć do syreny) i odczekawszy, aż pozostali opuszczą basen, odwraca się i odchodzi chwiejnie na nowych, różowych stopach, milcząca jak zawsze.

Ryba

W Neapolu mówią: spędzisz tu noc, a znienawidzisz to miejsce; zostaniesz tydzień, a je pokochasz; zostaniesz dłużej, a już nigdy go nie opuścisz. Jest to opowiadanie ku przestrodze.

Melissa i Jack byli małżeństwem niespełna tydzień, a już im się nie układało. Wesele okazało się spełnieniem marzeń oblubienicy: pięciuset gości, wiązanki białych róż, dwa karaty w złotym złocie, tort zaprojektowany z większą wprawą architektoniczną niż większość biurowców oraz dwadzieścia cztery skrzynki (najtańszego) szampana. Wszystko zostało opłacone przez rodziców panny młodej i uwiecznione przez najdroższego fotografa w South Kensington.

Mimo to po trzech dniach miesiąca miodowego Jack wyczuwał w ukochanej pewne rozdrażnienie.

Przecież to nie jego wina, że hotel okazał się mały, ulice zatłoczone, a podczas pierwszego spaceru Melissie skradziono torebkę. Nie ponosił też odpowiedzialności za to, że większość restauracji neapolitańskich wykazywała całkowity brak szacunku - czy wręcz zrozumienia - dla wegetarianizmu Melissy, jej skazy białkowej, a przede wszystkim niechęci do produktów pszennych. Pomimo trzydniowej przymusowej głodówki brzuch Melissy wzdął się tak bardzo, że tutejsze kobiety (do obrzydzenia przyjazne) pukały weń znacząco, pytając łamaną angielszczyzną o spodziewaną datę narodzin bambino.

Jednak to właśnie Jack (w jednej czwartej neapolitań - czyk po kądzieli) wybrał owo miejsce na ich miesiąc miodowy. Jako student spędził tu trzy tygodnie i miał mnóstwo czasu (jak zaznaczyła Melissa), żeby poznać to cholerne miejsce.

Melissa była dwudziestosześcioletką o urodzie będącej wynikiem połączenia młodości, szykownego ubioru, kosztownych zabiegów dentystycznych oraz nadmiaru wolnego czasu. Nie miała ambicji zawodowych, za to jej rodzina posiadała wręcz nieograniczone koneksje; ojciec był właścicielem sieci supermarketów, matka córką lorda Jakiegoś tam. Jack, młody i zdolny doradca finansowy z City, obdarzony srebrnym lexusem, urodą południowca odziedziczoną po babce oraz dyrektorską skłonnością do tycia w okolicy brzucha, postrzegał ich związek jako doskonałe połączenie interesu i przyjemności.

Jednakże w Neapolu sprawy przybrały niespodziewany obrót. Melissie nic się nie podobało: ulice, zapachy, urwisy na skuterach, targowiska, kutry, złodzieje, sklepy. Natomiast Jack był w siódmym niebie. Wszystko budziło jego zachwyty: wąskie uliczki, pranie

rozwieszane na powykrzywianych balkonach, ludzie, sprzedawcy uliczni, kawiarnie, wina, jedzenie. Zwłaszcza jedzenie. Nigdy tak naprawdę nie znał swojej włoskiej rodziny poza babcią, która umarła, kiedy był małym chłopcem. Pamiętał tę energiczną, krągłą kobietę z włosami upchniętymi pod czarną chustą, która większość życia spędziła w kuchni, zajęta przyrządzaniem grillowanych bakłażanów, ravioli ze świeżych grzybów, tagliatelle z truflami oraz małych pizz z sardelą, które pachniały morzem i smakowały niczym esencja słońca.

Od początku pobytu towarzyszyło mu niejasne uczucie ulgi, niezmacone nawet wiecznym utyskiwaniem Melissy, przekonanie, że oto po latach wygnania wreszcie wraca do RYBA domu. Bolało go niezadowolenie Melissy, tym bardziej, że podkreślała to przy każdej okazji.

- W ogóle nie chciałaś tu przyjeżdżać - odezwał się, kiedy w zwarzonych humorach przebierali się do kolacji.

- Pewnie, że nie - odburknęła małżonka. - Jesteś potwornym sknerą. Dizzy Flore-Harrington w czasie miesiąca miodowego miała dla siebie całą wyspę na Pacyfiku, India Scott-Parker pojechała z całym towarzystwem w Himalaje, a Humphrey Pulitt-Jones zabrał narzeczoną na biegun południowy. O czym opowiem przyjaciołom? Że pojechałam do Neapolu i od razu skradziono mi torebkę?

- Daj spokój, kochanie - powiedział Jack, siłąc się na spokój. - Przecież i tak nie miałaś w niej pieniędzy.

Melissa rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- To była wieczorowa torebka Lulu Guinness - odrzekła ostrym tonem. - Miała wartość kolekcjonerską!

- No tak. - Sprzeczka kompletnie nie miała sensu. Na wet nie zapłaciła za tę torebkę, pomyślał z goryczą Jack.

Pod tym względem Melissa przejawiała istic królewskie upodobania. Z tą różnicą, że królowa miała własne pieniądze, nawet jeśli ich przy sobie nie nosiła. Pojednawczo rozłożył ręce. - Kupimy ci inną torebkę - powiedział, usiłując nie myśleć o kosztach w postaci nieustannych przeprosin, prezentów oraz zakupowych szaleństw. - Tylko nie krzycz.

W tych starych budynkach ściany są okropnie...

- Tylko mi znowu nie wciskaj, jakie to wszystko interesujące! - wrzasnęła Melissa, nie zważając na jego słowa. - Żebracy i kieszonkowcy na każdym rogu, wszędzie wisi pranie, żadnych porządnych sklepów, a jeśli jeszcze raz zobaczę cholerną pizzerię... - W tym momencie rozległ się stu kot, jakby ktoś walił butem o ścianę.

- Spójrz na to obiektywnie, skarbie - łagodził Jack. - Skąd mogłem wiedzieć, że z dnia na dzień staniesz się zago rzałą wegetarianką i przeciwniczką węglowodanów. Skoro musisz przestrzegać tych modnych diet...

- Dietetyk powiedział, że mam nietolerancję!

- Cóż, chyba od niedawna. Jeszcze trzy tygodnie temu jadłaś wszystko.

Melissa popatrzyła na niego ze złością.

- Dobrze wiesz, że od pszenicy dostaję wzdęcia. Poza tym cywilizowani ludzie nie jedzą mięsa. To w zasadzie morderstwo.

Jack, który od czasu do czasu lubił zjeść stek (i od trzech dni miał nań wielką ochotę), poczuł, że czerwienieje na twarzy.

- Jakoś nie zauważyłem, żebyś na weselu stroniła od sałatki z kurczaka.

- Kurczak to nie mięso - odparowała Melissa - tylko drób.

- Faktycznie, ale ze mnie głupek. Drób. Przecież to słynne warzywo.

- Przestań, Jack! To, że sam jesz jak dzikus...

- A ryby? Możesz jeść ryby? Wiesz, jesteśmy w Neapolu, restauracji rybnych nie brakuje...

- Mogę jeść ryby - odrzekła Melissa. - Po prostu za nimi nie przepadam i tyle.

- Jednym słowem ryba awansowała na warzywo? Fajnie.

Poza tym to afrodyzjak. Może powinnaś spróbować.

Oczy Melissy wezbrały łzami.

- Czasem myślę, że powinieneś urodzić się rybą, Jack - powiedziała, odwracając się plecami. - Zimnokrwisty, śliski i głupi.

Była to ich pierwsza kłótnia małżeńska. Jack robił sobie wyrzuty - w pracy rzadko tracił panowanie i podobna bez - kompromisowość była do niego niepodobna. Niepodobna i całkowicie nieprzydatna, stwierdził w duchu; ostatecznie małżeństwo stanowiło pierwszy etap długofalowego planu, którego powodzenie w dużej mierze zależało od dobrego nastawienia Melissy i jej rodziny. Spójrz na to od tej strony, pomyślał, po co wszczynać kłótnię, skoro za chwilę trzeba się kajać? I to z jakiego powodu! Na miłość boską, jakie znaczenie ma jadłospis Melissy? Sam Jack lubił dobrze zjeść, co starannie ukrywał w pracy, gdzie koledzy żywili się chyba tylko kawą i papierosami. Tutaj jednak udawanie kosztowało go więcej zachodu. Być może z powodu jego włoskiej krwi. Albo neapolitańskiego powietrza, przesyconego zapachem benzyny, popiołu, soli, oleju oraz smażonego czosnku (przypominającego woń seksu, innej pasji, której Melissa również zdawała się nie podzielać). Nie ma sensu

wyładowywać na niej złości, doszedł do wniosku. Tak czy inaczej, im szybciej się pogodzą, tym wcześniej zjedzą kolację.

Pomimo starań przywrócenie romantycznego nastroju zajęło mu blisko godzinę. Casa Rosa, mała portowa restauracja, nie zasługiwała na miano wytwornego lokalu, lecz po namyśle Melissa uznała łaskawie, że być może znajdzie tu coś dla siebie. Odrzuciwszy propozycję grzanek z sardelą, pasty caponata, pancetty, risotta z owocami morza, smażonych kalmarów oraz pizzy z leśnymi grzybami, zamówiła wreszcie skromną porcję grillowanego okonia morskiego (bez tłuszczu i sosu) oraz sałatę z dresingiem w osobnej miseczce.

Za to Jack był głodny jak wilk, czy to na skutek stresu, czy też morskiego powietrza. W mgnieniu oka spałaszował tuzin ostryg, solidną porcję homara oraz dwie barweny w ostrym zielonym sosie. O ósmej restauracja wciąż była prawie pusta - tłok robił się zazwyczaj koło dziewiątej albo dziesiątej - i pulchna, wesola kobieta, która przynosiła talerze, czujnie acz nieco natrętnie kręciła się w pobliżu, pilnując, by nie zabrakło im chleba czy wina. Kiedy zabierała puste talerze Jacka, jej okrągła twarz pojaśniała z aprobatą.

- Dobrze, tak?

- Bardzo dobre. - Z uśmiechem popuścił paska. - Buonissimo.

- Ja dziś rano złapać barwena. Wszystkie ryba - prosto z wody.

Jack dostrzegł kątem oka, że Melissa marszczy brwi. Prawie nie tknęła kolacji, tylko przesunęła sałatę z jednego końca talerza na drugi. Pulchna kobieta też to zauważyła i jej ożywiona twarz przybrała beznamiętny, kamienny wyraz.

- Moja ryba była dość sucha - oświadczyła Melissa, odkładając sztućce.

Nieruchoma twarz drgnęła. Okolona ciemnymi włosami głowa podskoczyła jak boja. Pulchna kobieta (zapewne Rosa we własnej osobie) pośpiesznie zebrała talerze i odeszła przygarbiona.

- Nie musiałaś tego mówić - powiedział Jack, odprowadzając ją wzrokiem. - Przecież sama chciałaś danie bez tłuszczu. - Jego ryba dosłownie pływała w oleju i kaparach; zgarnął resztki sosu ostatnią kromką oliwkowego chleba.

Melissa popatrzyła na niego z ukosa.

- To, że ty się opychasz, nie znaczy, że muszę robić to samo. Spójrz na siebie. Od przyjazdu przytyłeś co najmniej trzy kilo.

Jack wzruszył ramionami i dolał wina. Melissa ledwie zamoczyła usta. Rosa wyszła z kuchni, niosąc dwa talerze i misę z pokrywą.

- Danie specjalne - powiedziała z niepewnym uśmiechem, stawiając naczynia na stole.

- Przecież niczego więcej nie zamawialiśmy - zaproponowała Melissa.

- Danie specjalne - powtórzyła kobieta, po czym zdjęła pokrywę z glinianego naczynia, uwalniając pikantną, aromatyczną woń. Na talerzu spoczywały kawałki ryby otoczone dużymi krewetkami, małżami, przegrzebkami oraz tłustymi, brązowymi sardelami sycylijskimi. Było tam białe wino, liście laurowe, oliwa z oliwek, świeża pietruszka, czosnek oraz chilli; za obłokiem pary widniało pospolite, sympatyczne oblicze Rosy, lekko zaróżowione w nadziei i oczekiwaniu, z nieśmiałym uśmiechem błędzącym na ustach.

- Ale przecież my niczego... - zaczęła Melissa.

Jack wpadł jej w słowo.

- Wspaniale - powiedział głośno. - Na pewno skosztuję.

Melissa patrzyła, jak Rosa nakłada jej mężowi kopiastrą porcję.

- Więcej chleba, tak? - spytała Rosa. - Mamy oliwkowy, orzechowy, sardelowy...

- Cudownie - odparł Jack.

Kiedy Rosa znikła w kuchni, Melissa zwróciła się do ukochanego.

- Co ty wyprawiasz?

- Złożyłaś skargę - odpowiedział Jack.

- I co z tego?

- To, że ona jest neapolitanką. Gościnność zmusza ją, żeby ci to wynagrodzić.

- Co za idiotyzm - oświadczyła Melissa. - Nie wezmę tego do ust.

- Wobec tego zjem wszystko sam - odparł Jack. - Nie mogę zlekceważyć jej uprzejmości. - Wiedział od babki, że odmowa poczęstunku to najgorsza zniewaga. Rosa boleśnie odczuła krytyczną uwagę Melissy i odrzucenie jej przeprosin byłoby niewybaczalne.

- Daj spokój - rzekła wzgardliwie Melissa. - Po prostu szukasz wymówki, żeby się nażreć. Zobaczysz, że każe nam za to zapłacić. Chyba nie liczysz na jej wspaniałomyślność, co?

Jack wpełznął do ust solidną porcją ryby ociekającej tłuszczem, winem i przyprawami.

- Pyszności - powiedział prowokująco i Rosa, która właśnie przyniosła chleb, poróżowiła z zadowolenia. Pomimo znacznej tuszy emanowała niezwykłym czarem: skóra o barwie kawy z mlekiem nie miała najmniejszej skazy; z upiętego luźno koka wystawały pojedyncze kosmyki lśniących kruczonych włosów. Piersi uwypuklające się pod czystym, białym fartuchem przypominały puchowe poduszki, a kiedy pochyliła się, żeby podać Jackowi dokładkę, podchwycił rześką woń wanilii i chleba.

- Spójrz na siebie - powiedziała ściszym głosem Melissa, kiedy pustą skorupą małża czerpał sos i wlewał do ust. - Myślałby kto, że nie jadłeś od tygodnia.

Jack wzruszył ramionami i oderwał głowę krewetki. Mięso było różowe i soczyste, nasączone winem i przyprawione oliwą.

- Obrzydliwość - oznajmiła Melissa, kiedy wyssał sok z głowy krewetki i odłożył pancerz na bok talerza. - Jesteś obrzydliwy. Chcę wracać do hotelu.

- Jeszcze nie skończyłem. Chcesz, to idź.

Melissa nie odpowiedziała. Jack doskonale wiedział, że bez niego nigdzie się nie ruszy: Neapol w dzień budził jej lęk, a w nocy nieopisaną zgrozę. Zacisnęła usta (nie był to przyjemny widok - stwierdził Jack, zabierając się za rybę - gdyż w ten sposób łudząco przypominała własną matkę) i przez kilka minut siedziała w milczeniu, z miną cierpiętnicy, ostentacyjnie nie zwracając uwagi na męża, co zresztą bardzo mu odpowiadało.

W rogu pomieszczenia Rosa układała owoce w dużej glinianej misie. Upał w kuchni wymalował kolory na jej policzkach; wyglądało to bardzo oryginalnie, niczym rumieniec dojrzałej brzoskwini. Z uśmiechem popatrzyła w kierunku Jacka (chwilę po tym, jak zlustrował z uznaniem krągły zarys pośladka pod opiętą spódnicą), który uświadomił sobie ze zdumieniem, że ma przed oczami młodą kobietę. Początkowo wziął ją za osobę w średnim wieku, teraz jednak zobaczył wyraźnie, że jest w wieku Melissy, może młodsza. Stwierdził też, że sama Melissa wygląda na bardzo zmęczoną, ma suchą skórę ze śladami poparzeń od słońca, a między wyskubanymi brwiami rysuje się sroga, podwójna zmarszczka, dodatkowo ją postarzając. Bardziej żyłasta niż szczupła, przypominała przypieczonego kurczaka. Wiedział, że przed ślubem schudła, z rozmiaru dziesięć przeszła na osiem: głęboki dekolt obnażał łańcuch zwiótczałej skóry, spod której przebijał zarys kości.

Poniewczasie odkrył, że wypychała stanik żelowymi wkładkami; tak zwanymi filedami. Wzdrygnął się na wspomnienie tamtej chwili. Doznał wówczas swoistego szoku, zawsze lubił kobiety hojnie wyposażone przez naturę. Następnie obrócił to w żart, który niestety nie spodobał się Melissie. Ciekawe, czy filety kwalifikują się jako mięso czy drób, przeszło mu przez myśl. Dolewając sobie wina, stwierdził, że opróżnił butelkę.

Zjadł do końca potrawę oraz niemal cały chleb. Kiedy Rosa przyszła po talerze, jej twarz promieniała.

- Dziękujemy - powiedziała oziębło Melissa.

- Dobrze?

- Wspaniale - odparł Jack.

- Może deser, tak? Kawa?

- Poproszę o rachunek - zażądała Melissa.

Rosa wyglądała na nieco dotkniętą.

- Deser nie? Mamy tiramisu, torta delia nonna i...

- Nie, dziękujemy. Proszę przynieść rachunek.

Cała ona, pomyślał Jack, czerwony na twarzy. Myśli wyłącznie o sobie, kompletnie nie bierze pod uwagę potrzeb innych ludzi. Zresztą wcale nie miała zamiaru sama zapłacić; kwestia wspólnego rachunku bankowego wywołała kiedyś takie poruszenie i wrzawę, że Jack przezornie odstąpił od tematu, odkładając go na czas bliżej nieokreślony.

- Poproszę o deser - powiedział głośno. - Do tego grappę i espresso.

Na pobladłej, ściągniętej twarzy Melissy malowała się furia. Policzki Rosy czerwieniały jak maki w słoneczny dzień.

- Menu? - spytała.

Pokręcił głową.

- Lubię niespodzianki.

Przy kawie, której w ogóle nie tknęła, Melissa świdrowała Jacka szklistym, rozzłoszczonym spojrzeniem.

- Robisz to specjalnie - syknęła.

- Dlaczego tak sądzisz? - spytał Jack, popijając grappę.

- Niech cię diabli, Jack, ja chcę stąd wyjść!

Wzruszył ramionami.

- Jestem głodny.

- Jesteś świnią.

Drżał jej głos. Zaraz się rozplacze. Po co ja to robię, pomyślał z nagłym zdumieniem Jack. Tyle się namęczył, żeby zdobyć Melissę, dlaczego jej to robi? Dlaczego robi to sobie? Owa myśl utkwiała mu w głowie niczym bryła lodu pośrodku rozmiętego creme brulee; Jack odstawił kieliszek z niejasnym podejrzeniem, że dosypano mu coś do jedzenia. Melissa spoglądała na niego z nienawiścią w niebieskich oczach, zaciśnięte usta wyglądały jak cienka kreska.

- Dobrze. Pójdziemy.

Ależ ona jest brzydka, pomyślał. Te wytapirowane farbowane włosy. Korony na zębach. Chuda szyja, wyciągnięta jak linowa drabina aż po filety upchnięte w kosztownym staniku La Perłą. Rosa wyszła z kuchni, miękka, jasna i promienna. Postawiła tacę i przeniosła na Jacka roziskrzone spojrzenie, bursztynowoczekoladowych oczu.

- Po deserze - dodał bezwiednie.

Melissa zeszywniała. Pochłonięty widokiem Rosy Jack prawie o niej zapomniał. Zrozumiał, że gospodyni przyniosła mu nie jeden, ale wiele deserów: malutkie porcje

wszystkich pozycji specjalnego menu. Było tam tiramisu oprószone czekoladą i rozkosznie wilgotne, cytrynowa polenta i czekoladowe risotto, cieniutkie płatki migdałów, kokosowe makaroniki, gruszkowe tarteletki, lody brzoskwiniowe oraz mocno przyprawione waniliowe brulee z pokruszonymi migdałami i miodem.

- Chyba żartujesz - szepnęła rozwścieczona Melissa.

Jack puścił jej słowa mimo uszu i z lubością oddał się degustacji. Towarzyszyło mu narastające uniesienie. Rosa obserwowała go z matczynym uśmiechem; ręce splecione na piersi przypominały anielskie skrzydła. Jakim cudem uznał, że jest brzydka: była olśniewająca, dojrzała niczym truskawka w pełni lata, zmysłowa jak bita śmietana. Przeniósł wzrok na kobietę siedzącą naprzeciw z kwaśną miną, usiłując przypomnieć sobie, co ona tu robi; miało to jakiś związek z pieniędzmi, perspektywami i interese. Nieważne, Jack znowu pogрузzył się w świecie smaków i aromatów, będących dziełem wspaniałej neapolitanki.

Rosa zdawała się w pełni podzielać jego zachwyty. Stała z lekko rozchylonymi ustami i roziskrzonym spojrzeniem, na jej policzkach malowały się rumieńce. Skinęła mu głową, najpierw z aprobatą, potem z tłumionym podnieceniem. Zobaczył, że drży - splata i rozplata ręce na białym tle fartucha. Skosztował kremu orzechowego i na chwilę przymknął oczy, pewien, że ona uczyniła to samo; powtórnie sięgając po łyżkę, usłyszał pełne zadowolenia westchnienie.

- Dobre! Tak! - Mimo że prawie niedosłyszalne, posłyszał je wyraźnie: ciche westchnienie, stłumiony jęk rozkoszy. Kolejny ruch łyżką, kolejne westchnienie; palce zadrgały w powietrzu. Był pełny, ale pragnął jeszcze, byle tylko móc oglądać jej twarz. Mglisto przypomniał sobie, jak mówił komuś (tylko komu?), że ryba to afrodyzjak; usiłował przywołać twarz swego rozmówcy, lecz myśl ulotniła się niepostrzeżenie.

Wciąż jadł, kiedy skwaszona kobieta wstała od stołu i zaciskając usta, opuściła restaurację. Nie zareagował nawet wówczas, gdy walnęła drzwiami. Rosa przyniosła kawę, likier i małe babeczki z kandyzowanymi owocami, po czym usiadła obok i rozpięła mu pasek, uwalniając zeszywniały brzuch. Następnie, delikatnie muskając jego ucho, szepnęła głosem jak krew, piżmo i spadziowy miód: „A teraz, caressimo, moja kolej”.

Nigdy nie dawaj draniowi równych szans

Pisząc swą pierwszą powieść „Złe nasienie”, doszłam do wniosku, że literatura o wampirach jest bardzo elitarystyczna. Miejsce akcji jest zawsze romantyczne, sami krwiopijcy zaś niezmiennie atrakcyjni, arystokratyczni i elegancy. To, rzecz jasna, nasuwa pytanie o wampirów innego typu. Wampirów pospolitych, wampirów z klasy robotniczej oraz wampirów z kiepskim PR. I tak pewnego dnia pojechałam na wycieczkę do Blackpool...

Będę walił prosto z mostu: wampiryzy interes diabli wzięli. Nie tylko w Whitby, choć stamtąd rozeszła się zgnilizna, i bynajmniej nie z braku zainteresowania społeczeństwa (wręcz przeciwnie). Podobno popyt przekracza podaż. Wreszcie padliśmy ofiarą systemu rynkowego, ulegliśmy naciskom na dostosowanie, modernizację oraz wykreowanie odpowiedniego wizerunku w oczach klientów.

Na przykład ja. Reggie Noakes. Siedemdziesiąt pięć lat w branży, obecnie zepchnięty na margines. Nie bierz tego do siebie, Reggie, mówią. Po prostu już tutaj nie pasujesz. Nie ten typ.

Spójrzcie na moją twarz. Okrągła i czerstwa, twarz handlarza ryb z Grimsby, którym niegdyś byłem. Spójrzcie na moje krótkie nogi, żałośnie obwisły brzuch. Dawniej nie miało to znaczenia. Człowiek się cieszył, gdy go nie zauważano. W obecnych czasach trzeba odpowiadać wizerunkowi. Wiktoriańskie ulice. Mgła. I nowe pokolenie klientów, w skórce, z czarną szminką na ustach, którzy przyczajają się przy cmentarzach w nadziei, że zobaczą któregoś z nas. Trudno nawet dostrzec różnicę między żywymi a umarłymi. To jakiś obłęd. Poza tym wszyscy nie mogą bez przerwy afiszować się, z kłami i w czarnych pelerynach, rozprawiając o bezbożnej ekstazie i nieopisanej zgrozie. To dopiero byłby ubaw.

Nie będę przepraszał za to, że się zasymilowałem. Tak jest tu łatwiej. Chodzi tędy mnóstwo ludzi. Nikt nie zadaje pytań. Zresztą po przyjeździe nasuwała mi się niekiedy myśl, że Whitby było dla mnie zbyt ekskluzywne. Od razu powinienem był pojechać do Blackpool. Hałaśliwego, wesołego Blackpool, z arkadami i sklepami rybnymi (nadal z przyjemnością raczę się dorszem w panierce) oraz plażą zapchaną rozgrzanymi, spoconymi ciałami, w których, tak jak we mnie, buzuje szczęście, wściekłość, zazdrość i głód. Nigdy nie chodziło mi tylko o krew. Prawdę mówiąc, niezbyt za nią przepadam, a poza tym trudno liczyć na jej zdobycie, kiedy jest się łysawym tłuszczochem, którego żadna dziewczica nie zaszczyci choćby spojrzeniem. Ale w tłumie jestem szczęśliwy. Tutaj dotknę, tam uszczknę. Nic wielkiego. Nie, żeby zabić. Raczej zebrać z wierzchu, jak pianę z piwa, bardzo delikatnie. Dziewczyna

krzycząca w wagoniku lunaparku. Jej chłopak, który nie może utrzymać rąk przy sobie, myślami błądząc gdzie indziej. Dwóch wyrostków okładających się przed pubem. Jednym słowem, okolica tętni życiem, dlatego siedzę na molo, popijając piwo, w oczekiwaniu na ciepłą rodzinę, z której wyssam trochę energii życiowej.

Idą w moim kierunku, jest ich czworo. Dwoje dzieci o zdrowych, puchowatych buziach, jedno pałaszuje kanapkę przełożoną frytkami, drugie lody. Rodzice: jej schodzi skóra z zaczerwienionych, pulchnych ramion, on ma na sobie podkoszulek i czapkę baseballową. Oddadzą mi odrobinę, myślę sobie. Mają mnóstwo.

Opatentowałem starą sztuczkę. Kiedy mijają mnie dosłownie o krok, na wprost odwracam się, po czym tracę równowagę i upuszczam puszkę. Napój chlapie na bluzkę matki i spodnie ojca.

- Przepraszam, kochani. Najmocniej przepraszam. - Schylam się, żeby niby podnieść puszkę, i niepostrzeżenie podchodzę do dzieci. Czuję ich zapach: zapach oleju do smażenia frytek, gumy do żucia i życia.

Matka otrzepuje bluzkę.

- Cholerny niezdara - mówi.

Udaję, że podtrzymuję jedno z dzieci. Chłopiec jest ciepły, nie może ustać w miejscu. Z dobrotliwą miną podchodzę bliżej.

- Tylko nie wypadnij za barierkę, mały. Rekiny miałyby używanie! - Idealnie. Teraz powinienem poczuć falę energii, ożywczy strumień płynący od chłopca. Ale nie. Czuję się dziwnie, ogarnia mnie nagłe znużenie. Prawdopodobnie za dużo wypilem. Niepewnie poklepuję chłopca po głowie, czując pod palcami złociste loki. Skup się. Potrzebujesz życia, gorącego życia, kulek do gry i gumy balonowej, kaszta nów i naklejek. Sekretów szeptanych w uliczce przyjacielowi. Pierwszego roweru. Pierwszego pocałunku. Zastygam w oczekiwaniu.

Nic.

Matka patrzy na mnie z ukosa. Próbuję się uśmiechnąć, ale mi nie wychodzi i padam na deski mola. Jestem jak pijany, pusty w środku, jakbym zamiast zyskać energię, utracił resztki własnej. Chłopiec spogląda na mnie z uśmiechem: wyraźnie go widzę w świetle czerwonego neonu z pobliskiej arkady, rozpromienioną twarz, wielkie, roziskrzony oczy.

Matka pochyla się nade mną; czuję napływającą woń róż, smażeniny oraz preparatu, którym utrwala fryzurę. Zapachy przenikają się nawzajem, coraz mocniej, coraz goręcej... Nie daję rady. Bez tchu wyciągam rękę, wygłodniały i przemarznięty do szpiku kości.

- Pomóż mi - szepczę.

- Cholerny niezdara - powtarza. Mówi lekkim, obojętnym tonem. Ojciec podchodzi bliżej, butami wystukując po wolny rytm na deskach molo. Ręce kobiety są miękkie i pachnące; na brzoskwiniowym meszku pulchnych przed ramion zawisły kropelki potu. Świat dookoła zaczyna się zamazywać. Głos kobiety gęstnieje jak melasa, jakby mówiła z ustami pełnymi ciasta. Chyba słyszę w nim rozbawienie.

- Zostaw go, ojciec - mówi. - Ten jest do niczego.

Kiedy odprowadzam ich wzrokiem, chłód zaczyna ustępować. Świat powoli nabiera znów wyrazistości i mogę usiąść. Czuję się tak, jakbym dostał w twarz. Tamci podążają skąpani w blasku okolicznych neonów. Dziewczynka z lodem rzuca mi zaciekawione spojrzenie. Płyń od niej ta sama intensywna woń, ta sama obietnica życia. Próbuję wyciągnąć rękę, czując w palcach mrowienie wywołane jej bliskością. Emanuje zarem. Życiem. Tak bardzo jej potrzebuję, że jestem bliski omdlenia. Lecz mimo głodu cofam rękę, zdjęty nagłym strachem przed jej witalnością, niewinną łapczywością. Jestem tak osłabiony, że ścięłaby mi krew w żyłach, nawet o tym nie wiedząc.

Klienci mijają mnie obojętnie. Są zdrowi, hałaśliwi, rumiani na twarzach; rozdzielają się, żeby mnie wyminąć, po czym na powrót łączą w gorący strumień przechodniów. Po latach spędzonych w ciasnych, zamglonych uliczkach Whitby prawie zapomniałem, że żywi potrafią tryskać takim zdrowiem. Mimo to łączy ich coś w rodzaju rodzinnego podobieństwa. Coś odrobinę zbyt jaskrawego i świetlistego. Przypominam sobie dawnych urlopowiczów z Whitby, młodych chudzielców w czerni, o smutnych, stężałych twarzach, zszarzałych i pozbawionych wyrazu. Ci są inni; roztaczają blask, który zaczynam rozpoznawać... Czerstwe policzki.

W pasie parę centymetrów za dużo. Prostoduszne oblicza. Przekonujące złudzenie życia. Zatem tu trafiają wyrzutki, ofiary systemu rynkowego. Ich miejsce jest tutaj, wśród jasno oświetlonych arkad, sklepów rybnych i lunaparków. Nie do odróżnienia. Niektórzy powiedzieliby, że nawet lepsi. Nieśmiertelni i niezmienni: weseli urlopowicze na nieustających wakacjach. Powoli stają na nogi i brną przez tłum zalegający molo. Odwracają za mną głowy. Czuję na skórze muśnięcia palców. Zastanawiam się mimochodem, ilu ich jest, w jakiej proporcji przewyższają liczebnie żywych. Dziesięć do jednego? Sto? A może tysiąc? Czy też jest ich tylu, iż żerują na sobie nawzajem, zachłannie i bez rozlewu krwi, ramię w ramię, w milczącej, braterskiej komitywie?

Światła plaży migoczą jak spławik zawieszony na tle pociemniałej tafli. Życie, powiadają. Energia i życie. Zbyt słaby, by nie ulec owej odległej nadziei, znużony podążam w

ich kierunku, próbując uniknąć spotkania z samym sobą. Jeszcze jeden drań na długiej, krętej drodze do Betlejem.

Eau de toilette

Wczasach botoksu, przekłuwania najróżniejszych części ciała oraz nieudanych operacji plastycznych, warto pofantazjować o epokach bardziej romantycznych od naszej. Rzekomo.

Dopiero na pańskim dworze przekonałem się, jak cuchną bogacze. Cuchną jeszcze bardziej niż biedota; na wsi nie mamy przynajmniej wymówki, aby stronić od balii. Tutaj kąpiel przewraca wszystko do góry nogami. Trzeba zagrzać wodę, następnie zanieść ją do komnaty wraz z całym arsenałem gąbek, szczotek, pachnideł, ręczników oraz innych niezliczonych drobiazgów, nie wspominając o samej balii - żelaznej i ciężkiej - którą należy wydobyć ze schowka, oczyścić z rdzy i zataszczyć po schodach do buduaru madame.

Czeka tam, en deshabillee. Ma na sobie strój domowy z różowej lustryny, ze wstążkami o koralowym odcieniu, tak modnym w tym sezonie, który wytworne damy określają mianem soupir etouffé. Widoczny pod spodem gorset jest szary z brudu; zaschnięte plamy od potu tworzą kręgi, przywodzące na myśl słoje wiekowego drzewa.

Ale madame jest bogata; posiada tyle sztuk bielizny na zmianę, że służące piorą ją tylko raz w roku na płaskich, czarnych kamieniach laveraie, na brzegu Sekwany. Jest wrzesień i schówek z brudną odzieżą zapełniono zaledwie do połowy, jednakże gryząca woń nieświeżej bielizny madame płynie schodami przez korytarz aż do gotowalni, gdzie nawet cztery wazony ciętych kwiatów oraz wiszący pomander nie zabijają smrodu.

Mimo to madame powszechnie uchodzi za niebywałą piękność. Panowie piszą sonety do jej oczu, ponoć nieprzeciętnej urody. Nie można rzec tego samego o jej spróchniałych zębach ani brwiach, modnie zgolonych i zastąpionych replikami z mysiej skórki, przyklejonymi do czoła rybim klejem. Na szczęście, w porównaniu z resztą, zapach kleju jest nieznacznym i nie drażni wrażliwych nozdrzy madame. Bo niby dlaczego miałyby drażnić. Monseigneur stosuje te same środki upiększające, a uchodzi za jednego z najwytworniejszych panów na dworze. Potwierdza to sam król (zapach Jego Wysokości również pozostawia wiele do życzenia).

Czekając na kąpiel, madame przegląda się z zafrasowaniem w złoconym lustrze. Jako dwudziestodwulatka pierwszą młodość ma za sobą; w ostatnim sezonie krąg jej wielbicieli niepokojąco zmalał. Monseigneur de Rochefort, jej faworyt, często bawi gdzie indziej; co gorsza, krążą plotki, że dwukrotnie widziano go w towarzystwie La Violette, tancerki z Pigalle.

Madame ogląda w lustrze wędną cerę. Brak rumieńców bardzo ją niepokoi; zastanawia się, co też może być przyczyną. Czyżby zbyt częste bale? Albo zawody miłosne? Poza tym woda, jak wiadomo, to istne utrapienie dla skóry. Madame delikatnie nakłada jeszcze trochę bielidła na policzki z dołeczkami.

Teraz puderniczka; madame wytrząsa odrobinę pudru na houppe z gęsiego puchu, po czym oprósza twarz i dekollet. Może odrobina różu - naprawdę odrobina, nie chce przecież narazić się na kpiny - dla ożywienia karnacji. Następnie La Galante i - czemuż by nie? - La Romance, przytwierdzone tym samym klejem, który posłużył do przytwierdzenia brwi.

Wystarczy. Efekt nie jest jednak doskonały: madame jest dotkliwie świadoma cieniutkich zmarszczek między brwiami oraz czerwonego placka łuszczącej się skóry na upudrowanej piersi. Chwała Panu za dar kosmetyków. Żeby skutecznie zamaskować lizaj, założy na dzisiejszy bal rubinową kolię.

- Jeannette! - Madame traci cierpliwość. - Woda!

Jeannette tłumaczy, że Marie dokłada do pieca, i obiecuje, że zaraz przyniesie gorącą wodę. Przyprowadziła Sza - firka, małego mopsa madame, w nadziei, że tymczasem rozbawi panią, ale madame jest poirytowana.

- Gdzie suknia? - pyta. - Wyczyszczona i wyprasowana?

Gotowa na wieczorny bal?

Jeannette zapewnia, że suknia jest przyszykowana.

- No to ją przynies, niemądra dziewczyno! - krzyczy madame.

Po pięciu minutach przynoszą suknię. Dwie pokojówki muszą przecisnąć ją przez drzwi; jest ciężka nawet bez wiklinowych obręczy, które pójdą pod spód. Spódnice wykonano z karmazynowego zakardu, ozdobionego w całości złotą nicią. Madame założy ją na wielką tiurniurę oraz ciemnozłotą halkę. Rozkołysany stelaż na wysokości bioder nada jej podczas tańca grację wschodniej kurtyzany, a wielbiciel - zwłaszcza monseigneur de Rochefort - oniemieją z zachwyty.

Lecz strój jest ciężki, dodatkowo obciążony czterema livres złotych nici, a buciki madame to chopines na modłę wenecką, zaprojektowane raczej, by cieszyć oko, niż zapewniać wygodę, zaopatrzone w platformy, które pomimo niskiego wzrostu madame nadadzą jej iście królewską posturę. Aby je zasłonić, specjalnie przedłużono spódnice; pomysłowy stołek ukryty wewnątrz lewej obręczy pozwoli madame dyskretnie przycupnąć, jeśli pantofle zaczną uwierać.

Wiem też (gdyż na moim skromnym stanowisku nic nie jest tajemnicą), że stołek odgrywa podwójną rolę: zawieszony na zawiasach, umożliwiających wepchnięcie go do

obręczy bądź wypchnięcie na zewnątrz, pełni również funkcję nocnika. Dzięki temu madame nie musi kucać w krzakach (ani, co gorsza, siusiać w zrolowane pończochy) i może bez przeszkód przetańczyć całą noc z którymś ze swoich kochanków.

- Jeannette, kąpiel!

Biedna Jeannette krząta się żywo; balia pomieści minimum pięćdziesiąt wiader, a madame lubi, kiedy jest pełno wody. Pozostałe pokojówki też nie próżnują: jedna ma przynieść kolekcję wachlarzy, aby madame dokonała wyboru, trzy pozostałe zajmują się peruką.

Jak przystało na prawdziwie elegancką damę, madame ma głowę ogoloną do skóry. Włoży perukę imponujących rozmiarów, o wyrafinowanej konstrukcji. Żadną tam niemodną Chien Couche ani staroświecką Venus; sploty udekorowane piórami i wypchane końskim włosiem mierzą całe trzy stopy wysokości. Szary puder uwieńczy dzieło; pomimo silnej woni piżma i olejku różanego całość nadal zalatuje myszami. Wątpię, by madame zwróciła na to uwagę. Smród nieświeżej bielizny, w połączeniu ze stęchłym potem, rybim klejem oraz sikami zaschniętymi na nocniku ukrytym pod suknią, skutecznie maskuje inne zapachy.

Rozgniewana opieszałością Jeannette madame czeka na kąpiel. Szafirek, równie zniecierpliwiony, warczy i poszczekuje na pokojówki, które pomagają madame wybrać wachlarz. Kolekcja jest imponująca; zawiera egzemplarze z kości słoniowej, piór, cienko wyprawionej skóry kurczaka, sprytnie pokrytej farbą. Te ostatnie wydzielają szczególnie przykry zapach - ich pudełka z daleka śmierdzą kurnikiem. Madame przyjmuje to obojętnie. Za moją radą wybiera złoto-purpurowy wachlarz pod kolor sukni, po czym oddaje się miłym marzeniom o billets-doux, które otrzyma na balu. Może młody monseigneur de Rochefort prześle jeden w bukietku albo serwetce. Ostatnio stał się bardzo kapryśny i skacze z kwiatka na kwiatek, ale dziś wieczorem madame jest pewna zwycięstwa.

- Jeannette, woda!

Kolejny niemiły obowiązek, ale nie ma rady. Raz na pół roku to jeszcze nie tak źle, zresztą za parę godzin zjawią się panowie i madame musi być gotowa na ich przyjęcie. Ogląda swoje nogi. Bąble po ostatnim przypalaniu prawie się zagoiły i włosy, chociaż ciemne, są bardzo nieliczne. Madame usuwa je pincetą. Być może uda się na przechadzkę po ogrodzie z monseigneurem de Rochefort; zaloty z owłosionymi nogami są nie do pomyślenia.

- Madame? Kąpiel? - Nieszczęsna Jeannette ocieka potem. Przydźwiganie wiader zajęło jej ponad czterdzieści minut. Woda nieco ostygła; skropiłem ją stefanotisem [Nazwa rodzajowa pnączy pochodzących z Peru, Madagaskaru, Malezji i południowych Chin. (Przyp.

tłum.)] i szyprem. Kolejną chwilę zabiera nam unieruchomienie Szafirka, który szczeka i kłapie paszczą, zaraz jednak ląduje w letniej wodzie i Jeannette sięga po szczotkę.

Tymczasem madame dokonuje ostatnich poprawek przed lustrem. Tym razem monseigneur de Rochefort padnie jej do stóp. Za plecami pani Jeannette przy mojej pomocy z wysiłkiem owija Szafirka w ręcznik. Odrobina esencji fiołkowej raczej wzmaga, niż tuszuje smród mokrej sierści.

Otrzepując odzież, przyznaję w duchu, że to prawdziwy zaszczyt służyć tak pięknej i wytwornej damie. Jestem dotkliwie świadom swej osobliwej wrażliwości - delikatność powonienia w połączeniu z chłopskimi przyzwyczajeniami mimo wielu starań nie skłaniają mnie do należytego respektu wobec dam (i panów) dworu. Z Bożą pomocą kiedyś to się zmieni. Tymczasem muszę sumiennie wypełniać swoje obowiązki. Pozwólcie, że się przedstawię: nadworny perfumier, monseigneur de Chanel, do usług.